

TOM CCXLII

SERYA 8

De II 1  
**ROK 61**

ZESZYT 725

**BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.**

**M A J.**

**1901.**

---

**TOM II. — ZESZYT 2.**

---

**WARSZAWA.**

**Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.**

—  
**1901.**

## *Treść zeszytu.*

	Str
I. POŻEGNANIE STULECIA,—przez Szymona Askena- zego . . . . .	193
II. ALEKSANDER GIERYMSKI,—przez Stanisława Wit- kiewicza . . . . .	215
III. SPRAWA DOŁĘGI, powieść (dalszy ciąg), — przez Józefa Weysenhoffa . . . . .	232
IV. ZWROT W MODERNIZMIE NIEMIECKIM. IV. POWIEŚĆ,— przez d-ra Józefa Flacha . . . . .	267
V. ZDOBYCZE I KIERUNKI BIOLOGII W MINIONEM STULE- CIU, — przez prof. d-ra Józefa Nus- bauma . . . . .	285
VI. JULIUSZ SZŁOWACKI I POEMAT „W SZWAJCARYI“,—przez Kazimierza Jareckiego . . . . .	317
VII. Z PODRÓŻNEJ TEKLI. I. INWOKACJA. II. NA JEZIORZE. III. W PUSTELNI. IV. W BŁYSKAWICZ- NYM POCIĄGU. V. W CICHEJ DOLINIE (poezye), — przez Maryę Konopnicką . . . . .	346
VIII. PIŚMIENICTWO. Generał Szilder: „Cesarz Mikołaj I i Polska w roku 1825 — 1831“. „Ruskaja Starina“, 1900,—pszez Aleksan- dra Rembowskię . . . . .	356
Ada Negri: „Niedola. Burze“. Przekład Maryi Konopnickiej. Warsza- wa, 1901. Nakładem Bronisława Natansona, — przez Z. D. . . . .	366
IX. KRONIKA MIESIĘCZNA. Działalność Towarzystwa higienicznego w roku 1900-nym. — Ankieta „Gazety Polskiej“ w sprawie traktatów handlowych.—Pamięci Konarskiego. — Zgubny kult obczyzny u nas. — Księgarnia literacka, czy Towarzystwo wydawnicze?—Ś. p. ks. biskup Sotkiewicz.—Ś. p. prof. August Kreczmar . . . . .	372
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	389



De. II. 1.

# Pozegnanie stulecia.<sup>1)</sup>

---

Z hucznej kuźni czasów rewolucyjnych i napoleońskich wyszła obronnie Austria i weszła do letargicznej doby kongresowej, znacznie odmieniona w swojej zewnętrznej postaci geograficznej, lecz zgoła nieporuszona w swoim wewnętrznym systemacie rządowym. Obroniła się, nawet rozpostarła: nie nauczyła się, nie chciała nauczyć się niczego. Tak było z powszechnością restaurowanej monarchii habsburskiej. Tak samo również z jej restaurowaną połacią polską. Królestwo Galicyi i Lodomeryi, po raz czwarty od swego utworzenia, po kolejnych przemianach 1772, 1795, 1809 roku, obecnie, mocą umów wiedeńskich 1815 roku, zmieniło znowuż swoje kształty graniczne. Ale nie przybrało żadnych nowych kształtów ustawodawczych. Skorzystało z powrotów terytoryalnych, przyznanych na Kongresie na rzecz dzielnic polsko-austriackiej. Ale bynajmniej nie wyciągnęło pożytku z rękojmi narodowościowych, przyznanych równocześnie na

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 1; — marcowy, str. 495; — kwietniowy, str. 1.



Kongresie na rzecz ogółu dzielnic polskich. Rząd cesarski austriacki zrealizował powroty, lecz skonfiskował rękojmię. Odzyskał pełną posiadłość, utracone do Rosyi w Galicyi Wschodniej, i część utraconych do byłego Księstwa Warszawskiego w Zachodniej. Wstrzymał się atoli zupełnie od jakichkolwiek rzeczywistych ustępstw autonomicznych, chociażby tylko w połowicznej i dwuznacznej sprawie przyrzeczeń patentowych dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego, cóż dopiero w obszernem i określonym brzmieniu i praw konstytucyjnych dla Królestwa Polskiego. Swojej rozległej prowincyi galicyjsko - lodomeryjskiej, prawie skompletowanej pod względem obszaru i zaludnienia, odnowionej pod względem liczby mieszkańców i mil kwadratowych, rząd wiedeński zaprzeczył wszelkiej zasadniczej odnowy pod względem politycznym, prawnym, lub bodaj administracyjnym, nie dał jej żadnej nowej podstawy bytu, żadnej nowej instytucyi, nawet żadnego nowego człowieka. Ten rząd, pod Metternichowskim sterunkiem, najprzód na samym już Kongresie, potem wszędy w Europie, w Rzeszy, we własnych krajach koronnych niemieckich, czeskich, węgierskich i włoskich, czyniący siebie przednią strażą i naczelnym stróżem reakcyi powszechnej, z najostrzejszą konsekwencyą pozostał wierny swoim nieprzejechanym hasłom wstecznym w zakresie swojej bezbronnej dzielnicy polskiej. Zaś tem bardziej tutaj właśnie pozostał nieprzejechany, że tutaj zarazem po dawnemu nie przestawał czuć się na gruncie wątlwym i chwiejnym, że trwał tutaj po dawnemu w głębokiem wewnętrznem poczuciu tymczasowości swego panowania, w onem fatalnem poczuciu nietyle wieczystego właściciela, ile przechodniego użytkownika, znamionującym, jak się orzekło, istotnego ducha rządów austriackich na ziemiach polskich od samego początku ich nabycia. Wprawdzie, koniec końcem, utrzymała się Austria przy tych swoich niepewnych nabytkach. Wszakże nie bez wielorakich, dotkliwych i niepokojących doświadczeń. W krótkiej kolei ubiegłych lat kilkunastu, po akcie powstania krakowskim 1794 roku, po późniejszych wrzeniach galicyjskich 1797, 1805, 1807 roku, wtórujących coraz jaśniejszem echem bądź odległym okrzykiem legionowym, bądź ościennym strzałem Austerlitzu, Jeny, Frydlandu, wypadło wreszcie Austrii na tym samym podejrzanym gruncie galicyjskim przebyć zasłużone upokorzenie 1809 roku i znieść utratę połowy prowincyi; niebawem, w 1812 roku, w przedeniu wyprawy moskiewskiej, zobowiązać się formalnie do ustąpienia pozostałej połowy w ręce Napoleona, na rzecz Księstwa Warszawskiego; w końcu, przed niedawną jeszcze chwilą, w 1813 i 1814 roku, stanąć wobec podobnej ewentualnej cesyi całości w ręce Aleksandra, na rzecz Królestwa Polskiego. Te wszystkie, świezo

strawione doświadczenia nie sprzyjały żadną miarą umocnieniu i uzdrowieniu samowiedzy rządowej austriackiej względem Galicyi. Udało się jakoś, trochę szczęściem, trochę trafunkiem, zachować posiadanie, lecz nie było nieprzerwanego zasiedzenia, nie było utwierdzenia, uregulowania tytułu własności. Tym sposobem i nadal, jak w okresie poprzednim, podobnież i w niniejszym kongresowym, system rządowy wiedeński, stosowany we Lwowie, nie wyzbył się onej swojej najskrytszej, a najgorszej cechy specyficznej: podejrzliwej niewiary we własną trwałość w zarządzanym kraju, a stąd niemiłosiernego lekceważenia przyszłości krajowej. Z tych dwóch ingrediencji składowych: wyzyskującej, sceptycznej zasady użytkowniczej z dodatkiem obostrzonej, dogmatycznej zasady reakcyjnej, złożyło się górujące znamię duchowe gospodarki austriackiej w Galicyi, nietylko w zamkniętych granicach rozważanej doby kongresowej, lecz daleko jeszcze poza granicami pełnej doby Metternichowskiej.

Organizacya zarządu prowincjonalnego, od spodu aż do wierzchu drabiny administracyjnej, od lokalnych władz obwodowych aż do naczelnej władzy prezydyalno - gubernialnej we Lwowie, pozostała w głównej rzeczy całkiem nietknięta, wedle pierwotnej modły józefińskiej i kilkudziesięcioletniej praktyki rozbiorowej. Wprawdzie przez jedną chwilę, nazajutrz po Kongresie, pod świeżem wrażeniem nominacyi księcia Antoniego Radziwiłła w Poznaniu i Wielkiego Księcia Konstantego w Warszawie, zdobyto się w Wiedniu na nominację księcia krwi, Ferdynanda Wirtemberskiego, w tytule cywilnego i wojennego gubernatora Obojga Galicyi. Lecz niebawem zachnięto się na własną decyzję, nazbyt pono wyjątkową i ryzykowną; powstrzymano, wnet zupełnie odwołano wyjazd Wirtemberczyka do Lwowa, i na jego miejsce, po staremu, wysłano tutaj, naprzód w charakterze zastępcy, wkrótce w pełnym stopniu gubernatorskim, zwyczajnego biurokrateę, rutynowanego Hauera. Była to okazowa starowiedeńska figura dygnitarska, w stylu „dobrych starych czasów“, „dobrego cesarza Franza“, podług uświęconego wtedy szablonu fałszywej patryarchalnej „dobroci“, kiedy to, wstając od biurka po podpisaniu wyroków na szubienicę, lub kazamaty Szpielbergu dla patryotów węgierskich, lub włoskich, chadzało się pogodnie do Wurstelprateru popularyzować się z poczciwym ludkiem wiedeńskim, albo do sali koncertowej słuchać czulego kwartetu Haydna, lub pasterkiej symfonii Beethovena. W zatęchłej atmosferze obyczajowej i rządowej ówczesnego Wiednia wyrósł pierwszy kongresowy wielkorządca Galicyi, ów fałszywy poczciwiec, baron Hauer, będący bar-



dzo *gemüthlich* nad modrym Dunajem, a bardzo *ungemüthlich* nad szarą Pełtwią, układny i niezbędny służbista wobec przełożonej władzy, twardy i niemiłosierny rygorysta wobec podwładnej sobie trzody ludzkiej, typowy karyerowicz urzędniczy dawniejszego, a i późniejszego, austriackiego zakroju, bez wyższych uzdolnień meża stanu, bez szerszej myśli polityka, prostym jeno sprytem i sprawnością biurokraty wznoszący się zwinnie i szybko, szczebel po szczeblu, od skromnego stołka koncepcienta aż do wysokiego stanowiska prokonsula. Wychowaniec Kancelaryi Nadwornej i Izby Nadzorczej wiedeńskiej dla spraw galicyjskich, długoletni w tych sprawach referent w wydziale dominiów, wcześniej on także znalazł sposobność zetknąć się osobiście, na miejscu, z samą Galicyą, skąd nasamprzód, czasu kampanii austerlickiej, jako umyślny komisarz, a właściwie egzekutor cesarski, potrafił wycisnąć niepomierne dostawy w naturze na rzecz gromionej armii austriackiej, i skąd, nieco później, jako kierownik naczelny forsownej wyprzedaży dóbr narodowych, potrafił wydobyć znaczny zasilek w gotowiźnie na rzecz bankrutującego skarbu austriackiego. Z takimi precedensami przychodził pierwszy kongresowy wielkorządca lwowski. Dwóch zwłaszcza rzeczy nauczył się on doskonale w swojej wcześniejszej praktyce kancelaryjnej i komisarskiej: centralizacji i wyzysku. To też obiedwie te nauki uczynił podwaliną swoich ośmioletnich rządów w „restaurowanej“ prowincyi galicyjsko-lodomeryjskiej, po dawnemu pętanej przez ośrodkową dyrektywę wiedeńską, po dawnemu ubożonej przez ssącą administracyę miejscową, w grzeczniejszym zapewne sposobie, w wolniejszym tempie, lecz z dawną w gruncie rzeczy konsekwencyą i bezwzględnością. Następcą Hauera na gubernatorstwie lwowskim został hr. Taaffe. To był znowuż wielkorządca całkiem odmiennego gatunku. Młody, trzydziestoletni panicz, a już były landrat w Brnie morawskim, sędzia apelacyjny w Wenecyi, prezes trybunału w Medyolanie, prezydent gubernium w Karyntyi, nie potrzebował w swojej karierze trzymać się oburącz jednej specjalności służbowej i prowincjonalnej, jak dorobkiewicz Hauer; dużo wygodniej odbywał spacer awansowy po najrozmaitszych dykasteryach i krajach monarchii, awansując oczywiście nie dla jakichkolwiek wysług urzędniczych, lecz po prostu dzięki urodzeniu i dworskiej protekcyi; i oczywiście też, czy to przedtem na fotelu sędziowskim w Medyolanie, czy teraz na gubernatorskim we Lwowie, równie mało troszczył się o zgłębienie tajników administracyi galicyjskiej, jak i prawodawstwa lombardzkiego. Wyniosły, nieprzystępny dla kornego obywatelstwa krajowego, zimny i lekceważący względem nieciekawych spraw krajo-

wych, objawił żywsze zajęcie jedynie w zakresie nieustannych dochodzeń śledczo - policyjnych. Zresztą, za krótkotrwałej, trzechletniej bytności swojej we Lwowie, zdążył także zaznaczyć pewne szczególniejsze zainteresowanie dla miejscowej ludności rusińskiej, wyróżnianej troskliwie od podejrzanego żywiołu polskiego, ściąganej pod skrzydła opiekuńcze c. k. gubernium lwowskiego, zanim, po dalszych latach dwudziestu, podjętą zostanie obszerniejsza próba politycznego niejako upaństwowienia tej ludności na rzecz c. k. rządu wiedeńskiego. Nakoniec trzecim z kolei gubernatorem Galicyi w ciągu niniejszego okresu został inny jeszcze magnat czeski, jeszcze młodszy, dwudziestokilkoletni zaledwo, ks. Lobkowitz, człowiek skądinąd dobrych nawet intencji, ale tej samej, co poprzednik, sfery towarzyskiej, podobnych kwalifikacyi służbowych, i podobnie, ani z dojrzałości, ani z doświadczenia, niepowołany bynajmniej do sprawowania doniosłych i odpowiedzialnych czynności galicyjskiego wielkorządcy. Ci ludzie, albo znali kancelarye wiedeńskie, jak Hauer, albo salony wiedeńskiego Hofburgu, jak Taafe, czy Lobkowitz: żaden z nich nie znał, nie mógł i nie chciał znać, ani też znać był obowiązany, istotnych potrzeb życiowych niefortunnego szmatu osieroconej ziemi, oddanego w ich obce, nieczułe i nieumiejętne ręce. Rozległy i ludny kraj polski, stanowiący właściwie najbardziej skomplikowaną i różnolitą dzielnicę rozbiorową, a stąd najtrudniejszą do zdrowego zagospodarowania pod względem narodowościowym, wyznaniowym, ekonomicznym, w takich rękach takich rządów prowincjonalnych i ich stołecznych naddunajskich mocodawców, popychany był w dalszym ciągu, pod wszystkimi onemi względami, po pochyłości najniezdrowszego rozwoju, albo raczej rozkładu, skazany w dalszym ciągu na wszechstronną, ciężką, ledwo uleczalną, degeneracyę polityczną i społeczną.

Ten kraj, Galicya właściwa, w swoich nowych granicach kongresowych liczył u wstępu doby niniejszej niespełna półczwarta miliona mieszkańców. Było w tem parę tysięcy Ormian, kilkadziesiąt tysięcy protestantów, dwakroć z górą żydów: masa główna, w równej niemal połowie, po półtora miliona, czysto polskiej ludności rzymskokatolickiej, oraz przeważnie rusińskiej ludności grecko - unickiej. Cała ta wielka prowincya, reprezentująca dokładnie jedną ósmą część ówczesnej monarchii austriackiej, pozostała i nadal, na równi z innemi koronnemi posiadłościami niemiecko-słowiańskimi, narówni z Tyrolem albo Karyntyą, Istrią albo Gorycyą, pod bezpośrednim centralistycznym kierunkiem i ciśnieniem ogólnych władz nadwornych wiedeńskich. Pozostała nadal, pomimo wszelkich poręk kongresowych,



w dotychczasowem swoim położeniu bezwłasnowolnej kolonii, bezsobowego, przygodnego zbiorowiska kilkunastu cyrkułów, czy powiatów. Taki charakter prowincyi galicyjskiej natychmiast po kongresie znalazł, między innymi, wcale dobitną ilustracyę pod postacią nader znamiennego aktu administracyjnego. Przywrócono mianowicie niezwłocznie, zniesione od przeszło ćwierci wieku, połączenie administracyjne rzekomego Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Księstwem bukowińskiem. To był niegdyś pomysł cesarza Józefa po pierwszej akwizycyi rozbiorowej; następnie w krytycznej i dla Austrii dobie Sejmu Wielkiego, łaskawie odwołany przez cesarza Leopolda, ze względu na „różność języka i obyczaju tych dwu krajów“: obecnie, pomimo, albo raczej właśnie dla tego namacalnego względu, skwapliwie odnowiony przez cesarza Franciszka w pierwszych zaraz wygodnych dniach Restauracyi. Tego rodzaju mechaniczne skojarzenie dwóch odmiennych jednostek administracyjnych w celu tem snadniejszego osiągnięcia jednostajności organicznej, należało do najbardziej utartych i najulubieńszych środków owoczesnej apteki politycznej. Stary, wypróbowany koncept ciągle w podobnych warunkach bywał stosowany. W tym samym duchu i widokach, prawie równocześnie, jak poprzednio nadmienić wypadło, gdzieindziej jeszcze, w Prusach restaurowanych, dokonane zostało na obszerniejszą skalę zespolenie administracyjne prowincyi zachodnio—i wschodnio - pruskiej. Tym razem dla Galicyi chodziło o przedmiot dużo skromniejszy, o drobną Bukowinę, czyli jeden cyrkuł czerniowiecki, o przystawkę jakich niespełna dwustu mil kwadratowych i trzechkroć mieszkańców. Ale rzecz sama, bądź co bądź, dawała miarę prawdziwych intencji i zapatrywań rządu cesarskiego. Nie mówiąc już o niepożądanych w szczególności konsekwencyach, jak np. o narzuceniu krajowi specyficznych niemieckich i dyzunickich żywiołów bukowińskich,—przedewszystkiem całkiem wyraźnie, a niezawodnie też całkiem świadomie, pogwałconą została tutaj w swojej formalnej podstawie ogólna, uświęcona na Kongresie, zasada odrębności narodowej dzielnic polskich, jako ściśle określonych i prawnie rekognoskowanych, utrzymanych wprawdzie w podziale politycznym, lecz uznanych w związku społecznym, terytoryalnych części składowych byłej Rzpltej polskiej.

Zlekceważenie formalnej zasady wytycznej stanowiło, rzecz prosta, jeden tylko krok na drodze systematycznego, z góry ułożonego obejścia i unieważnienia najistotniejszych pochodnych sankcyi kongresowych. Najcelniejsza z tych sankcyi polegała, jak wiadomo, na uroczystem przyznaniu ludności polskiej trzech dzielnic „przedstawi-



cielstwa i urzędzeń narodowych“. W takim dosłownem brzmieniu weszła ona nietylko do powszechnego Aktu Zamknięcia, podpisanego przez wszystkie osiem mocarstw kongresowych, lecz nadto, do przedwstępnego oddzielnego traktatu, podpisanego przez Austryę z cesarzem Aleksandrem. Mieściło się zatem tutaj dla Austryi nietylko jednostronne zobowiązanie w zamian za gwarancję europejską, lecz zarazem — podobnież, jak dla Prus za powrót Wielkiego Księstwa Poznańskiego—dwustronne zobowiązanie w zamian za powrót ziem galicyjskich od Rossyi i Królestwa Polskiego. Łacno przecie poradzono sobie w Wiedniu z obejściem tego rodzaju niedogodnych zobowiązań umownych. Okupiono się patentem cesarskim o „sejmie galicyjskim“. Wyszukano poprostu pośród starych rupieci zeszlowiecznych i w całej okazałości przywrócono do życia starą józefińską ordynację sejmów postulatowych dla Galicyi. Te t. zw. sejmy od ćwierci wieku z górą nie były zwoływane wcale, bez żadnej zresztą straty dla kraju. Obecnie, bez żadnej dla kraju korzyści, zostały powołane nanowo do bezcelowego istnienia. Zaliczone do sejmu cztery stany: magnacki i rycerski, z właścicieli ziemskich, posiadających indygenat i własność tabularną powyżej określonego cenzusu podatkowego; duchowuy z wyższych dostojników Kościoła katolickiego rozlicznych obrządków; i miejski z dwóch deputatów miasta Lwowa; dopuszczony również w następstwie rektor uniwersytetu lwowskiego. Przy sejmie urzędował stały Wydział stanowy, z deputatów od każdego stanu, w charakterze instytucyi przygotowawczej i pomocniczej, jakoteż dla nadzorowania nad rozkładem podatków: gdy jednak w rzeczywistości wszystko naprawdę załatwiał się w kancelaryi prezydydalnej gubernatora, Wydział, posiadający tę zaletę, że miejsca deputackie były płatne, stanowił poprostu stałe schronisko dla kilku synekurzystów, próżnujących na koszt krajowy. Co się tyczy samego sejmu, zbierał się on corocznie, jesienią, dla „obradowania“, pod przewodnictwem gubernatora, a właściwie dla niemego wysłuchania wnoszonych z urzędu „postulatów“ cesarskich, w których anijednej niewolno było zmienić litery i które nazajutrz najspokojniej można było przeczytać w pierwszym lepszym świstku publicznym, podane wcześniej do gazeciarskich tłoczni drukarskich, aniżeli były uchwalone przez sławetne Stany. Nicość zupełna odrodzonego sejmu lwowskiego, bijąca w oczy już z samej treści przepisów, zawartych w „odnowiciel-skim“ patencie cesarskim, była nadto nieustannie i niedwuznacznie przypominana władzom miejscowym w ostrzegawczych z Wiednia instrukcyach. Przed zwołaniem pierwszego sejmu w październiku 1817 roku, odebrał Hauer od Kancelaryi Nadwornej mocne zalecenie,

iz w redakcyi wstępnych wniosków gubernatorskich, zarówno jak ostatecznych zatwierdzających uchwał sejmowych, przy wprowadzeniu postulatów rządowych, „należy rozmyślnie (*gestissentlich*) unikać wszystkiego, co mogło-by w Stanach zbudzić urojenie (*Wahn*), jakoby od ich zezwolenia było zawisłem opodatkowanie“; albowiem, „jakkolwiek w innych prowincjach—w Tyrolu, albo Styryi,— pewne zwroty, a nawet rewersy monarsze, poręczające nietykalność przywilejów podatkowych, przysługujących tamecznym Stanom, są we zwyczaju i okazały się nieszkodliwemi“, to jednakowoż w Galicyi ustalenie podobnych pojęć nie może i nie powinno być dopuszczone. Jasnem jest, iż wobec podobnych warunków coroczne posiedzenia jesienne kilkunastu sejmów lwowskich, odprawionych w przeciągu niniejszego okresu, utraciły wszelkie poważniejsze znaczenie i zeszyły po prostu na lichą i niedorzeczną dekoracyjną zabawkę. Kiedy się wertuje chude wolumina, napelnione czezą formalistyką, albo bardziej jeszcze czezą gadaniną, gdzie uwieńczone zostały drukiem „Dzieła“, czy też „Czynności“ tych niefortunnych sejmów, mimowoli traci się cierpliwość, o ile na śmiech się nie zbiera. „Te Stany, śmiechu godne“, jak też sprawiedliwie odzywa się o nich wiersz społeczny, pozbawione zupełnie głosu we własnych rzekomych „obradach“, niewięcej także znajdowały posłuchu za pośrednictwem swoich petycyi, kierowanych do tronu. Najpokorniejsze, najusilniejsze petycye sejmowe lwowskie w najprostszych, najniezbędniejszych rzeczach, bądź były zostawiane bez biegu, bądź wręcz odmownie z Wiednia uchylane. Niepodobna było doprosić się, ani Towarzystwa Kredytowego na wzór poznański albo warszawski, ani porządnego wydziału lekarskiego na wszechnicy lwowskiej, ani umiarkowania stopy podatkowej, ani obniżenia ceny soli rządowej. Tym sposobem, nie będąc ani prawodawcą, ani nadzorcą, ani nawet skutecznym petentem w sprawach publicznych, restaurowany sejm stanowy ostatecznie był niczem. Tak przedstawiało się w praktyce Metternichowskiej zobowiązanie traktatowe i kongresowe, zaciągnięte przez Austryę; tak wyglądały przyobiecane „przedstawicielstwo i urządzenia norodowe“ w galicyjsko-lodomeryjskiem tłumaczeniu.

Poczęty w takim duchu system rządowy względem upośledzonej prowincyi polskiej objawił od pierwszej chwili nieprzyjazne swoje działanie we wszystkich gałęziach administracyi miejscowej. Zasadnicze, zakorzenione uprzedzenie rządu wiedeńskiego nietylko przeciw własnym poddanym polskim w szczególności, lecz wogóle przeciw samemu prawnopolitycznemu i kulturalnemu pojęciu polskości, ustalonemu na Kongresie, w każdej odtąd występowało i szkodziło



rzeczy. Już nazewnątrz uwydatniło się wyraźnie i dotkliwie w nieprzyjaznym stosunku władz austriacko-galicyskich względem sąsiedniego Królestwa Polskiego. Doświadczyły tego na sobie liczne i żywotne sprawy demarkacyjne, likwidacyjne, handlowo-celne, zawieszane pomiędzy Galicyą a Królestwem, w rozwinięciu nowych wzajemnych stosunków pokongresowych. Prowadzone z najgorszą wolą, jak z kamienia, układy demarkacyjne, dopiero pod sam koniec, w 1829 zaledwie roku, ostatecznie udało się załatwić. Układy likwidacyjne z tytułu należności wzajemnych, również przewlekane, raz już nieuczciwą konwencją, na niekorzyść skarbu warszawskiego, zamknięte, dzięki tylko energii Lubeckiego powtórnie podniesione, podobnie pod sam ostatek 1828 roku zostały doprowadzone do końca; i wtedy dopiero z głębokiej kieszeni austriackiej udało się przynajmniej wydostać sumy fundacyjne zachodnio-galicyskie w 1809 roku bezprawnie do Wiednia wywiezione. Układy handlowo-celne zgola do żadnego zadawalającego nie przywiodły rezultatu; poręczona na Kongresie stanowcza zapowiedź międzydzielnicowych ułatwień przywozu i wywozu w pełnych granicach byłej Rzpltej, rozbiła się o nieprzełamany opór prohibicyjny rządu wiedeńskiego. Pozostała Galicya i nadal, pomimo tamtej pięknej zapowiedzi, okolona, tak samo jak dotychczas, nieprzebytym na zewnątrz murem zakazów celnych.

Pograżona wogólności, tak samo jak dotychczas, jak od pierwszej chwili zaboru, od lat przeszło czterdziestu, w zabójczem topielisku fiskalnej samowoli i ekonomicznego rozkładu. Zaciśkana coraz mocniej śruba podatkowa. Ziemianin galicyjski o kilkanaście, o szesnaście podobno razy, cięższem obarczony brzemieniem podatkowem, aniżeli sąsiad z Królestwa Polskiego. W ten-to sposób, przy pomocy nadto soli wielickiej i monopolu tytoniowego, skarb wiedeński, w dalszym ciągu, tak samo jak dotychczas, zasilany corocznie znaczną nadwyżką w gotowiznie z bilansu wynędzniałej Galicyi. Ciągłe przytem, podawnemu, roztropna zasada najoszczędniejszego nakładu święcie przestrzegana. Nawet instytucye rządowe, starym obyczajem, w tymczasowych, zwykle poklasztornych, lokowane gmachach; gdziekolwiek tylko, z musu, więzienia i koszary najtańszym budowane kosztem; z nowym ratuszem lwowskim aż dopiero do zawalenia się starej wieży cierpliwie czekano. Upadek ekonomiczny kraju we wszystkich gałęziach wytwórczości nieprzerwany i postępowy, a od rządu dobrze i pogodnie uświadomiony. „Ogromne sumy — pisał Taaffe do Kancelaryi Nadwornej w sprawozdaniu po objęciu gubernatorstwa — płyną stąd za granicę za zboże i bydło“; donosił

o rabunkowej eksploatacji lasów, jako jedynym, przymusowym w wielu miejscach, środkiem ratunku dla właścicieli ziemskich; stwierdzał powszechne przesilenie w produkcji rolnej i samym bycie stanu ziemiańskiego. W rzeczy samej, ten kraj rolniczy już w obecnym okresie zmuszony sprowadzać w znacznych ilościach zboże z Królestwa, bydło z Podola rosyjskiego, już widmo głodu mając za progiem. Żadna przecie od czujnych władz austriackich ziemiaństwu galicyjskiemu nieudzielona pomoc; odmówiona mu wręcz instytucya kredytowa, odmówione ulgi podatkowe; zaś natomiast jego z robotnikiem wiejskim, ze współobywatelom - chłopem, mądrze psowane stosunki przy czynnym zwłaszcza owego właśnie Taaffego współdziałaniu; a więc zjednoczona ostatecznie w rękę władz administracyjnych wyłączna jurysdykcya we wszelkich sprawach poddańczych; biurokrata niemiecki, uczyniony opiekunem i doradcą włościanina polskiego: rzuczone jadowite ziarno, któremu po latach dwudziestu trującym plonem wzejść przeznaczono. O zbudzeniu przemysłu wytwórczego w zbieżnym kraju niema, oczywiście, mowy. Rzadkie w tym kierunku próby ludzi dobrej woli, albo większej przedsiębiorczości, starannie od rządu tłumione. Niektóre początkujące, a bardziej obiecujące, wyroby galicyjskie przymusowo do Wiednia dla ostemplowania kierowane: jednym takim przemysłnym przepisem odrazu, rzecz prosta, zabijana miejscowa produkcya, niezdolna przenieść dodatkowych, tam i z powrotem, kosztów transportowych. Niemożliwy zresztą żaden na większą skalę ruch przemysłowy w kraju, wyssanym doszczętnie z kapitałów i, zamiast zasiłku i zachęty od państwa, dzwigającym rozmyślnie hamulce i zazdrośną nieufność rządową. Istotnie, w dalszym ciągu traktowana od rządu Galicya jako po prostu kolonia barbarzyńska dla zbytu wytwórczości przemysłowej starych koronnych ziem cesarskich, wzmoczonej obecnie i chętnie protegowanej z chwilą przywrócenia pokoju. Kiedy jeszcze w samym roku kongresowym ufundowano w takiej myśli wielki zakład naukowy politechniczny w Wiedniu, natomiast sejm galicyjski nie mógł doprosić się dla Lwowa nawet skromnej szkoły technicznej, na wzór Grazu, lub Pragi. Trzymane zresztą wogóle całe szkolnictwo galicyjskie w stanie, godnym politowania. Około trzystu szkół elementarnych ludowych, trzydziestu trzyklasowych normalnych miejskich, dziesięciu gimnazjów, o liczebnie ograniczonej frekwencji, z językiem wykładowym niemieckim, z czysto-niemieckim ciałem nauczycielskim, — taki przedstawiał się naówczas iloczyn dobrodziejstw kulturalnych, zlewanych na Galicyę w dziedzinie wychowania publicznego ojcowską ręką Austrii Metternichowskiej. Dodać tutaj wypada uniwersytet lwow-



ski, pod nową nazwą Franciszkańskiego, zamiast dawnego Józefińskiego, ponownie otworzony wkrótce po Kongresie; wykłady wszakże wyłącznie po łacinie odbywane; katedra języka i literatury polskiej dopiero po dziesięciu latach, w najskromniejszym nadto zakresie, przyznana; a jednocześnie ten podarunek więcej niż zrównoważony przez zaprowadzenie niemieczyny, jako powszechnego odtąd języka wykładowego na wydziale filozoficznym: cała wszechnica, jednym słowem, nowe narzędzie w służbie wynarodowienia i germanizacji, nowy środek ochronny, zaszczerpiony młodzieży krajowej przeciw zarazie akademickiej warszawskiej i wileńskiej. Cenzura książek i czasopism z gubernatorskim wydziałem policji złączona i od niego sprawowana, w doskonałej harmonii z duchem kierowniczym, wychodzącym z biur stołecznych osławionego naczelnika policji wiedeńskiej, niezrównanego Sedlnitzkiego, oraz pierwszego ministra spraw wewnętrznych, głębokiego Saurau'a, wyuczzonego w Medyolanie, jak tropić i tępić niewczesne zachcianki narodowościowe. Dobadywani też ostro we Lwowie gimnaziści w sprawach śledczych o przestępstwa karbonarskie; w dziennikach mód poszukiwane i uśmiercane zbrodnicze wszechpolskie intencje; wyraz „Polak“ bez pardonu z druku wymazany; zgola piśmiennictwu polskiemu w obrębie słupów galicyjsko - lodomeryjskich możność rozwoju i wprost istnienia odebrano.

W dziedzinie wyznaniowej i nadal, a w najpierwszym rządzie, uczestniczyła Galicya we wszystkich konsekwencyach osobliwszego, obosiecznego systematu kościelno - politycznego, jaki obowiązywał w Austrii kongresowej za rządów Franciszka i Metternicha. Głęboka nieufność obustronna, pod powłoką jak najlepszej zażyłości wzajemnej, tała się, w znacznej części doby niniejszej, pomiędzy Watykanem a Hofburgiem. Odczuwała Kurya swoją zawisłość od wszechwładztwa austriackiego na półwyspie; dopatrywała się intencji wiedeńskich obsadzenia samego Rzymu pod pozorem tłumienia spisków włoskich; widziała naocznie wojsko cesarskie, obozujące u stóp Monte Mario. Nie smakował, z drugiej strony, kanclerz austriacki w popularności rządzącego kardynała sekretarza stanu; w Consalvim dosłuchiwał się Włocha, nieomal karbonara; nie pochwałał ani świeżego konkordatu z Królestwem Polskiem, ani też wielu innych szczegółów współczesnej polityki papieskiej. Zjeżdżał wprawdzie cesarz austriacki na Wielki Tydzień do Rzymu; brat cesarski, arcyksiążę, kładł kapelusze kardynalski; kanclerz cesarski oświadczał się powolnym sługą i gorliwym opiekunem Kościoła. Wszelako, ilekroć do realnych dochodziło sporów, czy to o nominację biskupów w Lombardo - Wene-

cyi, czy o kompetencye duchowne w Galicyi, czy w jakiejkolwiek zasadniczej sprawie domowej, wówczas Franciszek I okazywał się równie nieprzystępnym, jak nieboszczyk Józef II, ks. Metternich nie mniej twardym od nieboszczyka Kaunitza. „Chciał-bym mieć Ojca Świętego pierwszym swoim arcybiskupem, — odezwał się cesarz po swoich odwiedzinach u Piusa VII, — ażeby mózdz go obrócić przeciw przesadnym uroszczeniom Kuryi rzymskiej“. To też istotnie wszelkie usiłowania Kuryi w celu odmiany stosunków kościelno-politycznych, panujących w Austrii owoczesnej, pozostały zgoła bezowocne, i długie w tym kierunku rokowania konkordatowe nie doprowadziły na razie do niczego, oprócz chyba bulli, potępiającej karbonaryzm, a uzyskanej przez rząd cesarski poniekąd na rachunek onych bezpłodnych rokowań. Kościelna polityka Metternichowska, szczególniejsze połączenie ortodoksyi i absolutyzmu, jeśli oplakane dała wyniki we wszystkich krajach monarchii, nigdzie przecie szkodliwszego nie wywarła wpływu, aniżeli na gruncie galicyjskim. Wniesiono tutaj — wedle dobitnej definicyi księdza Kalinki — nieznane dotychczas „potworne pojęcie c. k. katolickiej religii“. Duchowieństwo miejscowe zdegradowane na c. k. biurokracyę w sutannie, kościół — na filię lwowskiej kancelaryi gubernatorskiej. Ścieśniona jak najmocniej, o ile całkiem nie wykluczona, służba wychowawcza księdza polskiego w polskiej szkole średniej i ludowej, w samym nawet zakresie nauki religii; jeden tylko poniekąd uczyniony wyjątek dla Towarzystwa Jezusowego, — nie bez uwzględnienia zapewne jego świeżego współzawodnictwa z narodową dążnością wychowawczą akademii wileńskiej i szkoły krzemienieckiej, — kiedy to, w kilka lat po Kongresie, po wydaleniu Ojców z Litwy i Wołynia, przyjęto ich w Galicyi i gimnazjum tarnopolskie im powierzono. Forytowani na biskupstwa galicyjskie wychowawcy byłych, wojujących z Kościołem, józefińskich Seminarjów generalnych, przy infule zaszczytani zarazem i wiązani tytułem radców tajnych cesarskich. Wybierana starannie co zdatniejsza młodzież, sposobiąca się do stanu duchownego, usuwana od wpływów krajowych i wyprawiana na edukacyę do nowego, czysto niemieckiego i czysto rządowego Zakładu dla księży świeckich w Wiedniu. Natomiast miejscowe seminaria duchowne rzymsko - katolickie we Lwowie, Przemyślu, Tarnowie, obsadzone niemieckimi urzędowymi figurami profesorskimi, sprowadzonymi z Wiednia; nad całym zresztą rozkładem nauk i samą wewnętrzną dyscypliną seminaryjną roztoczony ścisły dozór i kierownictwo władz rządowych, a nawet w szczególności władzy policyjnej. Nie dały długo na siebie czekać fatalne owoce takiego posiewu. Z fałszywą, z żadną dla państwa ko-



rzyścią, poszkodowany ciężko Kościół, poszkodowany przede wszystkim na długie lata kraj. „Zniżone duchowieństwo — żeby znowuż użyć w konkluzji mocnych i prawdziwych wyrazów księdza - dziejopisa, — do rangi urzędniczej, będące jakoby uzupełnieniem policyi gubernialnej, częścią armii, która podtrzymywała tron cesarza, pomocnikiem straży finansowej przeciw kontrabandzie i audytyratu wojskowego przeciw dezertantom, .. nie jaśniało już w Galicyi ani nauką, ani wysokimi cnotami; wciągnięte w jarzmo urzędnicze, jako kółko machiny administracyjnej, nie czuło już w sobie głosu obowiązku, który do pracy, poświęceń i wytrwałości w sąsiednich prowincjach polskich powoływał“.

Tak, z którejkolwiek uważana strony, w tym piętnastoletnim okresie kongresowym, z jednakowo zabójczą konsekwencją rozkładowa gospodarka Metternichowska dokonywała materialnej i moralnej ruiny najwięcej wówczas upośledzonego ze wszystkich odłamów dzielnicowych polskich. Wprawdzie niepodobna było zabić niewyczerpanej, przyrodzonej potęgi żywotnej kraju. Pośród tak lichych warunków bytu, zyskała przecie Galicya w tym smutnym okresie okrążyła milion mieszkańców, a więc pod koniec tego fatalnego piętnastolecia liczyła już przeszło półpiąta miliona ludności. Wszakże położenie materialne tej zwiększonej ludności w zubożonym kraju było cięższe, niż kiedykolwiek. Zaś niemniej dotkliwą, jeśli nie głębszą jeszcze i boleśniejszą od materialnej, była klęska moralna. Zapadło obficie, z ręki rządu, ziarno deprawacyi narodowo - politycznej na wszystkie zagony życia krajowego, i wszędzie, pod okiem rządu, rychło duszącym wybujało kłakolem. Stan, reprezentujący wówczas we wszystkich dzielnicach istotę społeczności narodowej, stan najwyżej wówczas narodowo uświadomiony, i stąd najwyżej przed narodem poczytalny, — tutaj, w Galicyi owoczesnej, znalazł się pod najsilniejszym ciśnieniem znieczulających, lub wręcz znieprawiających wpływów rządowych. W szczególności nowa pół-magnaterya wśród szlachty galicyjskiej, nowe pół-państwo wśród tutejszego obywatelstwa, wyrosłe na dobrach koronnych, skupowanych ze skarbu austriackiego za beczken, na arystokratycznych tytułach, otrzymywanych z kancelaryi austriackiej za ćwierć taksy, okazało się najpodatniejszym żywiołem dla tamtych demoralizacyjnych wpływów. Ale i zdrowsze, i lepsze żywioły, niedość odporne, nie uchroniły się w pożądaney mierze od zakażenia, lub przynajmniej od jawnego zniedołężnienia samowiedzy narodowo-politycznej. Dobijano się na wyszcigi o dygnitarskie godności wielkich czy małych ochmistrzów, sokolników, kredencierzów cesarskich. Popisywano się mundurem stanowym.

„pozwolonym, jako osobliwsze świadectwo łaski monarszej“. Posyła-  
no synów do miejsc stypendyalnych w Terezyanum, albo akademii  
wiedeńskiej. Uczczono wdzięcznie każdego z trzech kolejnych gubernatorów - cudzoziemców, choć co najwyżej który z nich mógł być mniej  
złym od innych, żaden nie mógł być lepszym: owóz uczczono kolejno,  
bez różnicy, wszystkich, jednego pamięć uwieczniając przez stypen-  
dyum obywatelskie, drugiemu ofiarując medal pamiątkowy, trzeciemu  
służąc indygenatem krajowym. Ażeby należycie ocenić charakter  
i wartość tych i podobnych objawów, starczy do nich przyłożyć naj-  
prostszy sprawdzian porównawczy, starczy bodaj zestawić ówczesne-  
go ducha publicznego w Królestwie Galicyi i Lodomeryi ze ściśle  
równoległym nastrojem w takim Królestwie Lombardyi i Wenecyi,  
na drugim krańcu monarchii habsburskiej, lecz wśród całkiem analo-  
gicznych warunków prawno-państwowej presyi i moralno-narodowego  
obowiązku. Starczy chociażby przypomnieć piękne i starożytne na-  
zwiska Confalonierich, Pallavicinich, Belgiojosów i tylu innych wiel-  
kich patryotów, nieszczęśliwych, przedwczesnych bojowników o wy-  
zwolenie Włoch z pod austriackiego jarzma, wstępujących wtedy na  
stopnie szafotu, albo morzonych głodem w ciemnicach Spielbergu,  
a zarazem przez wniosłe swoje poświęcenie godnie okupujących dla  
szlachty i arystokracji włoskiej należne jej przodujące stanowisko  
w narodzie i narodowej opinii publicznej, w tych-to samych właśnie  
beznadziejnych latach niniejszej kongresowej doby. Zaś równocześnie,  
wobec takich nadzwyczajnych naocznych przykładów, gdzieindziej  
tak niedaleko, w obrębie przeciwległej dzielnicy austro-polskiej, — nie  
mówiąc już o jakiegokolwiek niewczesnej i niepożądaney inicjatywie  
czynnej, — żaden nawet odświeżający i szerszy myślowy powiew sa-  
mowiedzy prawa i godności narodowej nie poruszył, nie rozprzestrze-  
nił martwej i ściśniętej atmosfery prowincjonalnej. Skurczało się tu-  
taj, owszem, coraz wyraźniej pojęcie ducha publicznego do jakichciś  
specyficznych kształtów galicyjsko - lodomeryjskich; coraz jawniej  
zatracało się czucie z powszechnością; coraz widomiej słabła wrażli-  
wość na ogólniejsze sprawy zakordonowe, nietylko w czasie powszed-  
nim, lecz nawet wobec najbliższego śmiertelnego przesilenia i śmier-  
telnej potrzeby dzielnic sąsiedzkich. Doskonaliła zresztą i na wszelki  
sposób uzupełniała wszechstronnie swoje dzieło systematyczna akcja  
rządowa. Wgryzała się wsączała wnikliwie we wszystkie warstwy i po-  
kłady społecznego ustroju. Weiskała się pomiędzy pana a chłopą, pa-  
sterza i trzodę duchowną, Polaka a Rusina. Rozbijała pokój pomiędzy  
narodowościami, pomiędzy wyznaniem, pomiędzy stanami. Prowadzi-  
ła kónsekwentnie mnogimi drogami do jednego końcowego celu, do



ostatecznego rozprzężenia duchowego całokształtu prowincyi, do duchowej atomizacyi kraju. Nie dokończyła tej roboty, zaledwo ją należycie napoczęła u zamknięcia niniejszej ery kongresowej. Wykończenie i zastosowanie właściwe miało przypaść dopiero dobie następniej. Zstępować miała jeszcze Galicya, stopień po stopniu, aż do najniższych, najokrutniejszych kręgów potępieńczych nieubłaganej administracyi Metternichowskiej, na samem dnie legnąć okrwawiona, i przez długie późniejsze lata w męce i mrokach lepszej doczekiwać się doli.

W samym ośrodku toczących się dokoła wielkich spraw dzielnicowych rozgrywała się tymczasem mała tragikomedia małej Rzeczypospolitej Krakowskiej. Uznano na Kongresie wiedeńskim Kraków wraz z okręgiem „na wieczne czasy“ za „miasto wolne, niepodległe i ściśle neutralne“, pod wspólną protekcyą trzech mocarstw rozbiorowych. Osobliwszy nowotwór polityczny i międzynarodowy osobliwsze miał koleje. Ażeby ich sens głębszy przeniknąć, na'eży uprzytomnić sobie precedensa sprawy krakowskiej. Była bowiem od dawniejszej już daty taka sprawa, zrodzona jeszcze pod koniec poprzedniego wieku i doby podziałowej. Była wtedy między Austryą a Prusami. Wynikała z samego szczególniejszego, środkującego położenia miasta. Równie blisko z Krakowa do Lwowa, Poznania i Warszawy. Stąd przy trzecim podziale wyciągnęły po Kraków rękę zarówno Prusy, jak Austria. Prusy, stojąc wówczas w Poznaniu, a wkraczając do Warszawy, wielkim głosem dopominały się Krakowa, jako rzeczy, sobie przynależnej. Demonstrowały głośno, że jest on im niezbędny dla zabezpieczenia Górnego Szląska. A pewnie także rozumiały *in petto*, że może być niezbędny na wypadek urzeczywistnienia pruskiej myśli wszechpolskiej, jakiej wtedy nie pozbywał się jeszcze całkiem gabinet berliński. Z drugiej strony, równie dobitnie swoje roszczenia popierała Austria. Demonstrowała, że podobnież musi myśleć o zabezpieczeniu Szląska Dolnego, że zresztą z Krakowa nie bliżej do Poznania, niż — do Wiednia. Zażarte o to poszły spory. Sceny mocno burzliwe, do ucieszności gwałtowne, odegrały się wówczas za stołem podziałowym petersburskim, pomiędzy pełnomocnikami austryackim i pruskim, o krakowskie jabłko niezgody. Swojem przemożnem *quos ego* uśmierzyła krzyki Prusaka i spór na korzyść Austrii rozstrzygnęła cesarzowa Katarzyna. Takim sposobem natenczas była weszła Austria do Krakowa, gdzie uttrzymała się następnie zaledwo o parę lat dłużej, niż Prusacy w Poznaniu, i dokąd o lat trzydzieści później miała powrócić, niż tamci do stolicy wielkopolskiej. W Wiedniu, na Kongresie 1815 roku, zgoła już inne w tej ma-

teryi było położenie, aniżeli w Petersburgu, przy podziale 1795 roku. Zaszła mianowicie ta kapitalna odmiana, że w Warszawie, zamiast Prus, stała Rosya. Zresztą podówczas wojska rossyjskie stały również załogą w samym Krakowie. Przybywał, z natury rzeczy, trzeci do Krakowa konkurent: cesarz Aleksander. Wskazane były, we właściwym miejscu, trudności wyższego rzędu, które na Kongresie zmusiły cesarza Aleksandra do ścięśnienia pierwotnej szerszej zapowiedzi odnowicielskiej do szczuplejszych rozmiarów Królestwa Polskiego. Te trudności, między innymi, stały także na przeszkodzie wcieleniu Krakowa do Królestwa. Skoro zwrócono Poznań, trudno było Kraków zatrzymać. Stworzenie Rzeczypospolitej Krakowskiej, będące, wedle słów pierwszego jej prezesa senatu, „skutkiem krótkiego nieporozumienia między dworami“, było w rzeczywistości jedynym wyjściem z wynikłego drażliwego dylematu. Uwalniając narazie od wydania miasta w ręce Austrii, albo Prus, a zarazem formalnie omijając zakwestyonowane wcielenie go do Królestwa, takie pośrednie rozwiązanie faktycznie zostawiało Aleksandrowi wpływ górujący na dalsze losy miejskiej republiki, otwierało możliwość moralnego oddziaływania, za jej pośrednictwem, na sąsiednie dzielnice: austryacką i pruską, nie zamykało wreszcie ewentualności późniejszego złączenia z Królestwem Polskiem, w sposobniejszej kiedyś porze, może w wypadku zasadniczej przyszłej rekonstrukcji sprawy i karty polskiej. Wszelako, jeśli takie — w fazie początkowej, — były dążenia polityki rossyjskiej w tym przedmiocie, to natomiast, oczywiście, we wprost przeciwnym kierunku, ku sparaliżowaniu onych dążności, zmierzały intencje dwóch pozostałych dworów protekcyjnych: austryackiego i pruskiego, dotychczas tutaj między sobą współzawodniczących, obecnie złączonych wspólną groźbą oskrzydlenia przez trzeciego przeważnego współzawodnika. To wszystko przeciepowtórzyć potrzeba, — odpowiadało dopiero pierwotnej, początkowej fazie sprawy niniejszej, to znaczy, jej postawieniu i przebiegowi w pierwszym pięcioleciu kongresowem. Tak długo, mianowicie, jak okazane, wielkie, powszechniejsze przedsięwzięcia trzymały się cesarza Aleksandra. W następstwie, kiedy, jak wyjaśniono, dokonała się zasadnicza depresja i odwrót w ogólnej polityce cesarskiej, również i sprawa krakowska utraciła pierwotny charakter, puszczone luzem przez Rosyę, zdana na wspólną potrójną zgodę, zdana ostatecznie na łaskę austryacką. W ramach tego dwoistego stosunku wzajemnych stanowisk protektorskich zawarły się losy istotne Rzeczypospolitej Krakowskiej. Tutaj tkwi rdzeń polityczny rzeczy. Reszta — to tylko licha zaściankowa komedia.



Calokształt republiki stanowiła ludność niespełna stutysięcy mieszkańców, w czem około jednej czwartej w samym mieście, około trzech czwartych w okręgu krakowskim, obejmującym nieco ponad dwieście mil kwadratowych. Obdarzony ten drobnoustrój aż dwiema kolejno konstytucjami, z których pierwsza, zasadnicza, nadana w Wiedniu przez samych monarchów, jako część integralna podziałowych umów kongresowych, właściwie nigdy nie pozyskała mocy obowiązującej, zaś natomiast druga, t. zw. „rozwinęta“, nadana po trzech latach w Krakowie przez pełnomocników protektorskich, wyobrażać miała rzeczywiste prawo publiczne Rzeczypospolitej. Rząd w ręku senatu, z dwunastu członków, w połowie dożywotnich, w połowie czasowych, oraz również czasowego prezydenta. Wszakże roczny tylko z pierwotnej litery prawa termin urzędowania senatorów praktycznie do lat kilku przedłużony; na prezydenci przez całe obecne piętnastolecie jedna utrzymana osoba. Obiór prezesa i ośmiu senatorów—przy Izbie poselskiej; pozostałych czterech — w połowie przy kapitule katedralnej, w połowie przy uniwersytecie Jagiellońskim. A więc dwakroć liczniejszy od spólczesnego rządu warszawskiego, od tamecznej Rady Administracyjnej, ten osobliwy, trzynastogłosowy rząd senatorski krakowski. Izba poselska złożona z obieralnych reprezentantów gminnych po jednym z każdej dwutysięcznej gminy miejskiej i półczwartatysięcznej wiejskiej, a nadto z dziewięciu delegatów, po trzech, od senatu, kapituły i uniwersytetu, oraz sześciu urzędników pojednawczych (*magistrats conciliateurs*), pod prezydencją jednego z delegatów senackich. A więc w porównaniu do spólczesnego sejmu warszawskiego, biorąc w rachubę wzajemny stosunek ludnościowy, przeszło dziesięćkroć liczniejsze to osobliwsze, poselsko-delegacyjno-sądownicze zgromadzenie sejmowe krakowskie. Zbiera się Izba w końcu każdego roku,—a więc już z litery po dwakroć, faktycznie czterekroć częściej niż w Warszawie,—na czterotygodniowe obrady, dla ułożenia budżetu, sprawdzenia rachunków rządowych, roztrząsania nowel prawodawczych, obiera senatorów i sędziów. Prawo wyborcze czynne, bezpośrednie, posiadają członkowie duchowieństwa świeckiego, profesorowie uniwersytetu i innych szkół publicznych, celniejsi uczeni i artyści, kupcy hurtowni i fabrykanci, zapisani do giełdy, wreszcie właściciele dóbr nieruchomych, lecz tylko powyżej pewnej oznaczonej normy podatku gruntowego,—ograniczenie w konstytucyi warszawskiej nieznanne. Włóścianie okręgu krakowskiego, acz nie uwłaszczeni, używają jednak pośredniego prawa wyborczego czynnego, i z każdej wsi powyżej dziesięciu domów wieśniaczych—wszakże o tyle, o ile nie masz w niej uprawnionego

wyborcy bezpośredniego, —posyłają jednego zbiorowego, pełnomocniczego wyborcę do właściwych zgromadzeń gminnych. Jakkolwiek w nader ścieśnionej postaci, ostrożna w brzmieniu prawa i mało skuteczna w praktyce miejscowej, mieściła się przecie tutaj nadzwyczaj doniosła nowość zasadnicza: pierwsza próba udzielenia praw politycznych włościanstwu dzielnic polskich. Była to inowacya zasadnicza względem społecznych przepisów konstytucyjnych warszawskich, wyłączających wogólności włościan, jako nie-właścicieli, od wykonywania praw politycznych: a podnieść należy, że ta inowacya, nieobecna w pierwotnym tekście wiedeńskim, wprowadzona dopiero do drugiej, rozwiniętej konstytucyi krakowskiej 1818 roku, zbiegała się najdokładniej z pomysłami uwłaszczenia włościan, snowanemi wtedy przez Aleksandra, i najpewniej też z jego kierowniczej wyszła inicjatywy. Religia rzymsko-katolicka ogłoszona „krajową“, nie „państwową“, jak dotychczas za Księstwa, kiedy zresztą była nawet zrównana z innymi wyznaniem chrześcijańskimi we społecznej konstytucyi warszawskiej. Żydzi w wykonywaniu prerogatywy politycznej zawieszani. Stwierdzona równość wszystkich obywateli przed prawem zwyczajnem, bez różnicy wyznania i stanu. Potwierdzona nadto oddzielnie wolność osobista i swoboda przesiedlania włościanina, domniemany z prawa dwustronny charakter umowy jego stosunku względem dziedzica. Poręczona niepodległość sądownictwa, zakaz konfiskaty, wolność druku. Wszystkie czynności prawodawcze, rządowe, sądowe, w języku polskim odbywane.

Od pierwszego wejrzenia bije w oczy rażąca, nedorzeczna, pro prostu śmieszna dysproporcya pomiędzy znikomą objętością i treścią efemerycznego ciała państwowego, jakim było wolne miasto Kraków, a rozmiarami i całym zakrojem ciężkiego ustawodawczego przyboru, jakim ono zostało obłożone. Nic podobnego dotychczas nie widziano w innych miastach wolnych, w Gdańsku, Frankfurcie, czy Hamburgu; i nawet stara Wenecya, władczyni mórz, ongi dawała sobie radę za pomocą znacznie pono prostszej maszyny rządowej. Zresztą, do wyliczonych kół i kólek maszyny krakowskiej dodać-by jeszcze potrzeba sporo innych pobocznych, mniej lub więcej czasowych, a znakomicie komplikujących całość. Była tedy nasamprzód Komisya Organizacyjna, złożona z pełnomocników trzech rządów protektorskich, i urzędująca bez przerwy, a właściwie rządząca, przez pierwsze trzy lata istnienia „wolnego“ miasta. Było przy niej osobno aż osiem komitetów organizacyjnych miejscowych. Była następnie stała konferencya trzech rezydentów protektorskich, wtrącająca się do wszelakich spraw i notyfikująca swoją wolę senatowi



i Izbie. Były obok zwyczajnych sejmów porządkowych nadzwyczajne sejmy prawodawcze. Były nieustanne wybory, a to do Izby, a to do senatu, a to do sądów, wieczne obrady, rozprawy i zatargi, ciągle odwoływanie się do mocarstw ościennych. Było jakieś sztuczne i nie-normalne podniecenie życia publicznego, jakaś gorączkowa, nieplodna, a niestrudzona politykomania, karmiąca się nieskończoną gadaniwą i pisaniną, była w ostatecznym wyniku nicość ekonomiczna i moralna, była anarchia administracyjna i polityczna. Owóż taki właśnie stan rzeczy odpowiadał jaknajlepiej zakulisowemu spółzawodnictwu protektorów, będącemu od pierwszej chwili istotną sprężyną kierowniczą spraw Rzeczypospolitej Krakowskiej. Pierwszym prezesem senatu, z polecenia Adama Czartoryskiego, został mianowany od cesarza Aleksandra jeszcze na Kongresie wiedeńskim Stanisław Wodzicki, były żołnierz Kościuszkowski, pod koniec za Księżstwa prefekt departamentu krakowskiego, zacny osobiście człowiek, dobrze zasłużony obywatel, ale zarówno z charakteru, jak z głowy, średniej zaledwie tęgości, przenikniony ślepem uprzedzeniem stanowem, niezdolny otrząsnąć się ze względów i względzików partykularza, bez jasnego poglądu na istotne położenie kraju, cóż dopiero kraju wogólności.

Wprowadził on do pierwszego składu senatu dwóch tylko mieszczan, a i to figurantów; zresztą na krzesłach senatorskich osadził samych przedstawicieli szlachty i duchowieństwa. Przypomnieć tutaj wypada, że cztery piąte ówczesnej dyecezyi krakowskiej leżało w obrębie Królestwa Polskiego; biskup krakowski, najpierw wprost nominowany przez cesarza Aleksandra, jakkolwiek skutkiem negocjacji spornej, wszczętej ze strony austriackiej, uznany został w 1820 roku za poddanego mieszanego, nie przestawał jednak aż do końca zasiadać w senacie warszawskim. Takim sposobem rząd właściwy wolnego miasta, wcielony w senacie tutejszym, wyobrażał wpływy polskorosyjskie, pod stałem Wodzickiego przewodnictwem, zachowanego przy prezydium aż do upadku Królestwa. Taki stosunek, z ogólniejszego stanowiska, był zapewne zewszeczmiar usprawiedliwiony w ciągu pierwszego kongresowego pięciolecia, póki trwało obiecujące usposobienie cesarza Aleksandra i póki sprawy wewnętrzne Królestwa normalnym rozwijały się tokiem. Atoli w następnych latach, wobec odmiennych i pogorszonych z gruntu warunków tamecznych, wynikały z takiego stosunku rozliczne nader niewłaściwe konsekwencje, a zarazem ciągle, i nadal praktykowane, reminiscencje i odwoływania się Wodzickiego do protekcji cesarzy Aleksandra i Mikołaja, przybrały poniekąd wcale niepożądaną charakter. Z drugiej strony,

nie zaspąła sprawy przeciwna spółzawodnicząca akcyja protekcyjna. Skoro cesarz rossyjski a król polski miał za sobą szlachtę i duchowieństwo, oraz rząd senatorski krakowski, natomiast Austria i Prusy usiłowały uczynić przeciwwagą w swoich rękach krakowskie mieszczanstwo i Izbę poselską. Zręczny pełnomocnik pruski w Komisji Organizacyjnej, dobry znawca rzeczy i duchów Polski, był sędzia w Kaliszu za czasów pruskich, przemyślny i dowcipny, Reibnitz, pierwszy znakomicie zogniskował te usiłowania. Jego narządziem został Walenty Litwiński, niegdy adwokat, potem prokurator, ostatecznie sędzia apelacyjny, prof. prawa karnego i rektor wszechnicy krakowskiej, zdolny, cięty, popularny, ambitny, a wróg osobisty Wodzickiego. Stał się wnet starożytny uniwersytet Jagielloński nietyle przybytkiem nauki polskiej ile głową zaściankowej fakcyi politycznej. Pod kierunkiem i dzięki agitacyi Litwińskiego, weszło pięciu profesorów czynnych do senatu, dziesięciu do Izby poselskiej. Ustaliła się oplakana kumulacyja zawodu naukowego z politycznym, a raczej naprawdę poszła w kął nauka i górne posłannictwo „rządu dusz“ młodocianych, dla nędznych ambicyi, poswarów i targów płaskiej politykomanii. Zachowało się skandaliczne świadectwo tego szczególniejszego akademickiego zaćmienia: projekt nowej organizacyi uniwersyteckiej, wypracowany przez owoczesny miejscowy komitet akademicki. Dość powiedzieć, że w tym swoim projekcie ci panowie, inspirowani przez pełnomocnika pruskiego, opuścili zupełnie prawo polskie i historję prawa polskiego na wydziale prawnym, a dzieje Polski na wydziale filozoficznym, że zaniedbali zabezpieczenia najcenniejszych przywilejów i rygorów naukowych, przysługujących wszechnicy, że upomnieli się tylko o jeden, to jest przywilej szlachectwa osobistego dla profesorów zwyczajnych a dziedzicznego dla wysłużonych, jedynie widać szacowny w oczach tych rzekomych przedstawicieli nauki i demokracji. Oni-to także w niniejszym kapitalnym swoim projekcie wymyślili nową godność „konserwatorów“ uniwersytetu, z ramienia trzech ościennych rządów protekcyjnych. Sprawować mieli to nowe dostojęństwo „znakomitsi obywatele krajów pogranicznych“. Co przez taki eufemizm należało rozumieć, jedno wymowne objaśni nazwisko: „konserwatorem“ uniwersytetu Jagiellońskiego został radca tajny i senator, Mikołaj Nowosilcow. Poszły stąd niebawem przykre przeprawy akademickie w Krakowie, w związku z odpowiednemi wypadkami w Wilnie i w Warszawie. Zaostrzały się tymczasem coraz bardziej miejskie zatargi wewnętrzne, rozcinane z reguły wyższym zagranicznym wyrokiem. Unieważniony wybór obywatela Nikorowicza, na prezesa senatu; utrzymany



nielegalnie Wodzicki. Przez notę wspólną trzech rezydentów ogłoszone poprostu wszystkie czynności sejmu za „nieprawne i niebyle“ (*illégalux et nuls*). Toczyły się bez przerwy homeryczne boje pomiędzy prezesem Wodzickim a rektorem Litwińskim, pomiędzy senatem a Izbą, pomiędzy arystokracją a mieszczaństwem. Trudno było, oczywiście, wśród tych wielkich politycznych zaprzątnień, dopilnować ostatnich, bardziej poziomych interesów miejskich. Tak więc nie umiano dopilnować należycie interesu wszechniczy i niepowrotnie stracono niemal w całości 14 milionowy z górą fundusz uniwersytecki, ulokowany w sąsiednich trzech dzielnicach. W innej, ogólniejszej sprawie obojętna nieporadność gospodarzy pomściła się na całej jej przyszłości handlowej i ekonomicznej. Otrzymał wprawdzie Kraków na Kongresie wiedeńskim przywilej wolnego składu. Ale zapomniano postarać się o niezbędne tego przywileju dopełnienie: o zabezpieczenie mianowicie wytworcom zagranicznym możliwości cofnięcia napowrót niewyprzedanych towarów bez opłaty cła zwrotnego. Nie zarządzono niczego w tym kierunku, nie zaprowadzono odpowiedniej kontroli urzędowej i gwarancyjnej, ani na pograniczu, ani w samym mieście; stąd każdy towar, skoro nie dało się wyprzedać go w całości na miejscu i przychodziło wycofać z powrotem przez kordon austriacki, pruski, albo polsko-rosyjski, opłacać musiał pełne cło zagraniczne.

Wystrzegali się, rzecz prosta, fabrykańci zagraniczni zakładania, pod takim rygorem, większych na miejscu magazynów, jak czynili we Frankfurcie, Lipsku, albo Tryeście; stracił Kraków wszelkie widoki chociażby w przybliżeniu podobnego rozwoju, jak te światowe rynki pośrednicze. Koniec końcem, „wolnemu“ miastu nie pozostało nic innego, jak albo ssać własną słabą konsumpcją, albo żywić się po dawnemu handlem z zagranicą zbożem polskim i winem węgierskim, — coraz skromniejszy przecie zasilek, odkąd coraz więcej zboża odchodziło drogą gdańską, i odkąd polskie gardła wzwyczały się coraz bardziej do plebejuszowskiej wilgoci, do tańszego swojskiego piwa, zamiast kosztownych wystających tokajów. Pośród niesprzyjających warunków ciężko dźwigał się dobrobyt, o kilka tysięcy za ledwo przez cały okres niniejszy podniosła się ludność. Stał na miejscu, bez postępu, stąd bez żadnej mocy i zdrowia, rozdarty wewnątrz, nazewnątrz bezsilny, mikrokosmos krakowski, czekając pierwszego jeno podmuchu powszechnej burzy, który go z wszelkiej samoistości wykruszy, a niebawem zmiecie bez śladu.

Niepomyślne były pierwsze dzieje Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Oplakane—Królestwa Galicyi i Lodomeryi. Żalodne—Rzeczypospolitej Krakowskiej. Rozlicznej wagi były te rozliczne organy nowożytnej istności kongresowej. Najważniejszy był w Warszawie. Serce biło w Królestwie Polskiem.

SZYMON ASKENAZY.



---

# Aleksander Gierymski.

„Artysta żyje tak, jak musi, a nie tak, jak chce“.

Stanisław Przybyszewski.

## I.

Sztuka jest najszerszym, najbezpośredniejszym wyrazem ludzkiej duszy, ale dusza ludzka jest pojęciem, obejmującym tak olbrzymi świat zjawisk, jest takim niezgłębionym morzem tajemnic, takim zawilem skupieniem i zmieszaniem niezliczonych i nieraz do ostatnich krańców sprzecznych objawów życia, jest płątaniną tak brutalnych i tak subtelnych stanów czuciowych, wzruszeń, wyobrażeń i pojęć, że odnalezienie istotnego związku między dziełem sztuki a duszą jego twórcy przedstawia nieraz niepokonane trudności dla krytyki artystycznej. Zagadnienie to jest właściwie istotną treścią teorii sztuki, i o nie-to rozbijają się zwykle tak dobrze zawile i ciężko obmyślane systemy estetyczne, jak i chwilowe, nagle wybuchające hasła, w których streszczają się ciasne dążenia pewnego kierunku twórczości w sztuce. Stosunek, wzajemne oddziaływanie i zależność choćby kilku zasadniczych, najprostszych objawów życia duszy, jak uczucie, wyobrażanie, myślenie, wytwarza już tak złożoną grę zjawisk, że

na jej uzewnętrznienie potrzeba-by całego bogactwa środków wszystkich odłamów sztuki. Lecz te elementarne zjawiska psychiczne komplikują się w najdziwniejsze odcienie, najszczególniejsze zбочenia, pod naciskiem nieskończone różnorodnego oddziaływania świata zewnętrznego, wskutek nieharmonijnego dziedziczenia cech i przymiotów organicznych, pod wpływem chorobliwych stanów, pod wpływem całego tego chaotycznego cyklonu, jakim jest zbiorowe życie ludzkości, z którym jednostka niesie się, często wbrew własnej woli, ku jakimś nieznanym światom. Wszystko to razem wprowadza w istnienie jednostki takie zamieszanie, taką niekoordynację między uczuciami, myślami i czynami, że nawet człowiek, skądinąd pospolity, staje się nieraz zagadką, nie dającą się ani wtłoczyć w tak zwane normalne warunki życia, ani objaśnić tem, co zwykle za miarę ludzkich czynów się uważa, to jest pewnym konwencyonalnym układem pojęć społecznej etyki. Cóż mówić o ludziach, których uczucia i myśli wychodzą poza normę przeciętną, których osobiste cele, pragnienia i ambicje, których dążenia społeczne są siły niezwykłej, których wola wyteża się do czynów dziwnych i nadzwyczajnych, wymagających krańcowego wysiłku duszy, których indywidualność drży niepohamowaną żądzą całkowitego przejawienia się, i którzy wskutek tego stają w sprzeczności ze współczesnym im życiem społecznym, z moralnymi i materyalnymi warunkami istnienia tłumu, w danej chwili. Życie takich ludzi staje się albo poematem, porywającym ogromem zjawisk, albo też mrocznym szamotaniem się widm ponurych, groźnych i przynębiających, lub chaotyczną mieszaniną wszystkiego, co ludzie czuć i przeżywać mogą. Zestawmy z tem ograniczone środki takiej sztuki, jak malarstwo, a zrozumiemy, z jaką ostrożnością i krytycyzmem należy szukać analogii między tem, co widzimy w obrazie, a tem, co się działo z człowiekiem, który go namalował.

Życie Gierymskiego było jednym z najnieszczęśliwszych, najsamotniejszych i najbardziej męczących istnień. W naturze jego leżała cała moc najniemożliwiej ustosunkowanych sprzeczności. Był on szczerym do brutalności, do cynizmu, a zarazem skrytym i wstydlivym do lęku; był czynnym, energicznym i przedsiębiorczym, a jednocześnie paraliżował go samokrytycyzm, wieczne wątpienie i niepewność, był dobrodusznym i ufnym, jak dziecko, a jednocześnie podejrziwym do prześladowczej manii; był żądnym blizkiego i dobrego stosunku z ludźmi, a razem samotnikiem, który od ludzi stronił, uciekał, który ich obrażał, chcąc się z ich męczącego dlań towarzystwa wydobyć... Wszystko to, na podkładzie nerwowych stanów, sięgających granic obłądu, tworzyło nieustanną, nużącą, niedającą się ukoić mękę życia, w której płątały się wszystkie pierwiastki, składające



duşę człowieka, szarpiącego się w wiecznej niezgodzie z sobą, z otoczeniem, z pojęciami ustalonymi i społecznymi karbami, staczającego rozpaczliwe walki ze środkami sztuki, słowem, przeżywającego całą groźną treść istnień ludzi cierpiących, źródło smutnej, napiętnowanej rozpaczą i pesymizmem sztuki. Kto jednak zna sztukę Gierymskiego, ten ze zdziwieniem zapewne dowie się, że takim był człowiek, którego obrazy ani w anegdocie, ani w odtwarzanych motywach natury, ani w wyrazie nie ujawniają niczem nieszczęsnego życia i dręczącej się duszy swego twórcy, którego obrazy zdają się być wynikiem pracy bardzo obiektywnego i zrównoważonego umysłu, niemającego, poza ustosunkowaniem tonów barwnych i świetlnych, poza doskonałym oddaniem kształtu, nic więcej ludziom do pokazania i powiedzenia.

Jest jednak jedno dzieło Gierymskiego, z którego wyrzała treść jego męczącej się i nie mogącej, nieumiejącej odpoczywać duszy — to jego własny portret.

## II.

W roku 1872 zwiędzaliśmy z Siemiradzkiem szkołę kompozycyjną Pillotiego w Monachijskiej Akademii sztuk pięknych. W każdym przedziale spotykało się obrazy, przedstawiające sceny z historii, lub ilustracje jakichś tekstów; chwile zwykle blizkie, jakiegoś dramatycznego zdarzenia, albo gotowe już dramata z trupami bohaterów i giestykulującymi nad nimi figurami komparsów. Z ciemnej głębi tła brunatnego wydobywały się połyski pancerzy, głębokie tony aksamitów, kanciaste płaszczyzny purpurowych adamaszków, połyski pikowanego atlasu, ogromne krezy, strusie pióra, pyszne rajtarskie buty, olbrzymie ostrogi, halabardy i rapiery, poza którymi ledwie dawały się dostrzedz ludzkie twarze, o schematycznych wyrazach, i giesty, studyowane na konwencyonalnej grze niemieckich aktorów. Wszystko to było ułożone według znanej metody Pillotiego, ze środkowym punktem, zajętym przez bohatera i zgrupowaniami dokoła niego, jak chórzyści koło tenora, drugorzędniemi postaciami, z pierwszoplanowymi figurami, pomagającymi zagłębianiu się dalszych planów, i z wielkiem bogactwem akcesoryów.

W jednym jednak przedziale stał obraz z całkiem innego świata. Długie, wąskie płótno miało w jasnej głębi szereg kolumn o romańskich kapitelach, z których sklepiły się łuki, obramowane mozaiką kolorowych marmurów, ułożoną w drobny, wyrysowany ściśle, jasno i starannie deseń. Na prawo, na podwyższeniu była jakaś postać w czerwonej szacie, przed którą, na ciągnącym się wzdłuż całego obrazu chodniku, klęczał, z ruchem prośby, jakiś człowiek, nad nim, w powłóczystej sukni, stała postać, o twarzy młodego chłopca, czy dziewczyny, za nim, na chodniku, stał szereg ludzi w strojach XV-go wieku. Nie było w tem śladu „Pilloti Schule“, natomiast uderzającym było dążenie zbliżenia się do stylu piętnastowiekowego malarstwa weneckiego, czuć było to rozmyślne, świadome utrzymywanie się w charakterze sztuki pewnej epoki, jakie się widzi u angielskich prerafaelitów. Różnica między miękką, podatną modelacją ciała i sukien, a ostrem, ze ściśłością architektonicznego rysunku skończeniem tła, nie była zatarta żadną manierą, żadnym sposobem technicznym, konwencyonalnem przyciemnieniem, lub rozwianiem. Praca ta wyrwała się swoją odrębnością, swoją świadomością w dążeniu z pomiędzy całej reszty widzianych w Szkole obrazów.

Młody człowiek, o twarzy bladej, prawie zielonawej, szeroko otwartych, jasnych szaro-niebieskich oczach i boleśnie zaciętych ustach, który nas w tym przedziale przyjął i natychmiast wyprawił, nie dając przyjrzeć się obrazowi, był to Aleksander Gierymski.

W owym czasie w Monachium roiło się od polskich malarzy. Byli między nimi i tacy, co, jak Maks Gierymski i Józef Brandt, zajmowali już wybitne stanowisko i między artystami, i na targowisku sztuki, cenieni przez handlarzy, jako twórcy obrazów, na których zarabiano się więcej nieraz, niż sto na sto, byli tu i tacy, którzy ledwie zaczynali pracować po rozmaitych szkołach akademii. Od sal, zastawionych gipsowemi odlewami posągów i biustów, gdzie staruszek Strehuber pilnował czystości linii i proporcji greckiego antyku, od technicznej szkoły Wagnera do szkoły Dieza, gdzie panowała zupełna orgia kolorystów, drwiących z rysunku, linii, antyków „aktów“, i szukająca tylko barwnego zestawienia plam, harmonijnego ich ustosunkowania, wydobycia tonu i świetności kolorytu. Ton i Stimmung, czyli nastrój, były to wyrazy, które powtarzały echa szarych korytarzy akademii, które słychać było wszędzie, gdziekolwiek się zeszli malarze, na ulicach, w pracowniach i w głębi knajp, przy marmurowych porysowanych stolikach, wśród mgły tytoniowego dymu i wyziewów kawy i piwa.

Wielu z nas, większość, przybywało wtenczas z kraju z głową pełną czysto literackich tematów. Dramatyczne postacie Matejki



i jęk duszy zaklęty w Grotgerze mieszały się z tem, co się czuło samemu, nie znajdując na wyrażenie siebie własnej formy. Człowiek czuł i myślał, ale nie wyobrażał, nie miał plastycznego wyrazu, nie wiedział dobrze, jak się ta treść myślowa da złączyć z zagadnieniami malarstwa. Zetknięcie się z tą sferą, w której chodziło głównie o „ton“, o to, jak się maluje, wywoływało u wielu rozczarowanie. Jeżeli dziś nie wszyscy ludzie rozumieją, czem jest samodzielny świat sztuki, jaką jest szczególna niezależna sfera twórczości i źródło wrażeń czysto artystycznych, cóż mówić o owych latach, w których usamowolnienie sztuki i indywidualności artysty zaledwie zaczynało się objawiać. Wyrazić swoją duszę za pomocą białych świateł wiosennego wieczoru i lekkich olszyn, mżących się między wzgórzami, lub niskich pól, obrzeżonych czerniejącymi na widnokręgu lasami, pokazać ją w twarzy, lub postaci bezimiennego zwykłego człowieka, zdawało się niemożliwem dla tych, w których wyobraźni kotłowały się imiona bohaterów historii, lub zagadnienia bytu ludzkości, jej cierpień, złudzeń, nadziei i rozczarowań.

Akademia monachijska była w owych latach najrozumniej zorganizowanym zakładem wychowawczym dla artystów. Mogła ona wyrządzić minimum szkody, jaką zawsze każdy system kształcenia artystów im wyrządza, ponieważ, ściśle biorąc, nie było w niej żadnego systemu. Była ona rozbita na szereg szkół, prowadzonych samodzielnie, przez różnych mniej lub więcej zdolnych lub nudnych i niedołężnych profesorów. Przyjęcie do takiej szkoły nie zależało od uprzedniego pobytu w jakiejś niższej klasie, tylko od zdolności ucznia i dobrej woli profesora. Tym sposobem zostawała uczniowi pewna swoboda pójścia za swemi upodobaniami, pewna możność wcześniejszego określenia się lub uświadomienia się indywidualności. Naturalnie, że pomimo to duch stada i naśladownictwa zbijał uczniów w mniejsze, ale zacieśnione manierą profesora grupy, które można było rozpoznawać z łatwością po rozmaitych cechach malarzkich.

Akademia nie miała jeszcze tego wspaniałego gmachu, jaki ma dzisiaj. Gnieździła się w części murów po-jezuickich, razem z muzeum paleontologicznem i zoologicznem, w szarych, brudnych i ciemnych korytarzach i zaułkach. Nie było zewnętrznego przepychu, nawet żadnych cech ogniska sztuki. Odlew z antycznego lwa, stojący w bramie, mógł równie dobrze wskazywać drogę do gabinetu wypchanych zwierząt, jak i do szkoły malarstwa i rzeźby.

Stary hausmeister wystawiał za kratą listy do uczniów, kilka bab myło czasem korytarze, rozwieszając na miotłach postrzępione ścierki, które Chełmoński kupował, jako najlepsze „szaty“ dla staro-

żytniej Litwy, którą zamierzał malować. W pracowniach ściany oblepione były mozaiką zgarbionych z palety farb, podłogi wydeptane, cały inwentarz materaców i parawanów dla modeli był w zupełnej ruinie i zaniechaniu. W ciemnej kancelaryi gnieździł się sekretarz, sławny M. Carrière, o którym Heine pisał „In Muenchen mach Ich Herrn Carrière eine Visite, Er ist eine esthetische Dusel-kopf, von echt philosophischem Schmitte, Vielredner ist Er und Sagenichts.“ Nie przeszkadzało mu to być bardzo miłym i uprzejmym sekretarzem, który, wręczyszy matrykułę i *K r a n k e n h a u s s c h e i n*, podawał rękę, robił *H a n d s c h l a g*, na znak, że uczeń przyjmuje dobrowolnie warunki i prawa akademii, i znikał na zawsze dla tych, których nie interesowały jego wykłady z historii sztuki.

Na jednym z podwórzy akademii widać było wielkie drzwi w szarej ścianie plamiastego muru, a na drzwiach napis węglem: *E i n t r i t v o n 1 2 b i s 1*; tam pracował dyrektor akademii, Wilhelm Kaulbach. Wielki talent i niepospolity umysł. Jemu-to zapewne zawdzięczała akademia swój ówczesny ustrój. On, ten „klastyk“, ten twórca „historyzoficznych frazesów“, ten kompozytor olbrzymich obrazów, przedstawiających ludzi, zgromadzonych w najdziwniejszym, przypominającym szpital waryatów, wzajemnym stosunku, ten symbolista, wirtuoz konwencyonalnego układu kompozycji, liniorny kaligraf, zatopiony w świecie fikcyjnym, współczuwał kolorystycznej burzy, wrzającej za ścianą w szkole Dieza, zachwycał się mazowieckimi obrazami Maksa Gierymskiego i kupował fotografie z każdego jego obrazu. Był ideałem dyrektora akademii, ponieważ nim nie był wcale. Raz tylko wmieszał się czynnie do tego, co się w niej działo, kiedy Amerykanie, w sąsiedniej z jego pracownią sali, rozpoczęli bój bokserski i zdawało się, że wszystkie boginie i wszyscy bogowie, którymi się opiekował Strehuber, runą z podstaw i rozsypią się w gruzy—Kaulbach wypadł z kijem w rękę... Zresztą malował spokojnie *Amora* i *Psyche*, na tle przestyliżowanego angielskiego ogrodu, miał maszynkę do rozpinania gołębich skrzydeł dla swoich bogiń i układał fałdy draperyi na leżącym na podłodze antycznym torsie *Wenus*. Pracownia jego była wielka, jak stodoła, Stał tam jeden z kolosalnych posągów *Dioskura*, którego olbrzymie stopy i uda oświecało okno, podczas kiedy potworna głowa tonęła w mroku pod sufitem. Z czterech rogów pracowni bieleły cztery konne posągi rzymskich imperatorów. Na ścianie, wprost okna, naszkicowany węglem, ze światłami wydrapanemi żelazem, majaczył obraz „*Arbueza*“, który Kaulbach, w przystępie oburzenia, wobec podniesionej myśli kanonizowania inkwizytora, narzucił na szarym



murze. Cała pracownia zawałona była szkicami, studjami i kartonami. Im bliżej ścian, tem rzeczy dawniejsze leżały w warstwach kurzu. Wielki karton, przedstawiający czasy Nerona, rzucał cień na groźną grupę Arbueza. W środku, przed oknem, było wolne miejsce, gdzie Kaulbach pracował. Mądra twarz, podobna do twarzy polskiego chłopca i z budowy, i z wąsami, i z przyciętej nad czołem, jak chłopska czupryna, peruki. Po przywitaniu Kaulbach czasem coś mówił, albo też nie zwracał żadnej uwagi na zwiedzającego i pozwalał bez protestu zwiedzać najgłębsze kąty pracowni. Nie było w niej nic na pokaz, nic urządzonego dla kokietowania oczekiwanego gościa. Mówiła ta pracownia o całym życiu zatopionem w sztuce, o wielkiej wyobraźni, bardzo czynnej i głębokiej inteligencji, o niezmordowanej pracy artystycznej, która, jeżeli była czym niewolnikiem, to tylko idei—lecz nigdy modela. Była też w tem ta melancholia kończącego się życia, która zdaje się mówić do wchodzącego gościa: — Umarli cię witaają...

Pomiędzy licznymi profesorami był jeden szczególnie blisko związany z tradycją pobytu Polaków w Monachijskiej akademii—to stary, pocziwy Anschütz. Człowiek dobry i życzliwy, ale żaden talent i żaden pedagog, znajdował się w niesłychanym kłopotcie wobec nowych prądów szturmujących akademię, wobec rosnącego znaczenia fotografii, wobec tego świeżego wiatru, który się wciskał do zakątków nieprzewietrzanych od czasów króla Ludwika I-go. Wpadał też czasem do szkoły z jakąś fotografią głowy z natury, którą pokazywał uczniom, wychwalając jej doniosłość, a kończył tę apologię obiektywnego odtwarzania natury, wołając z powagą i namaszczeniem:—Aber für die grosse Kunst das hat keine Bedeutung! Innym znów razem wołał od progu:—Zeichnung ist keine Photographie! Następnie, patrząc z uwagą w oczy uczniów, pytał: Kto jest najlepszym w Europie rysownikiem? — a gdy mu ktoś odpowiedział: Kaulbach, stary profesor prostował się i mówił:—Ja! Ich und Kaulbach, wir zwei alte Kerle! Wchodzącego do jego szkoły świeżego ucznia Polaka przyjemnie uderzała pewna atmosfera swojskości. Wszystkie rysunki zawieszzone na ścianach, jako wzorowe, nosiły polskie nazwiska. Rysunek Matejki, przechowany ze czcią, za szkłem i w ramie, z innych przypominam sobie studjum Ksawerego Pillatiego, ale największą chwałą profesora był Pruszkowski Witold; jeżeli komu dostała się pochwała:—Ganz Pruszkowski!—to był szczyt uznania i dowód doskonałego humoru staruszka. Zresztą szkoła nie miała, jako szkoła, żadnego znaczenia, oprócz tego, że na podium siedział codziennie przez pięć czy sześć godzin, mniej lub więcej senny, nudny i opity piwem model. Ale nie mogąc dostać się gdzieindziej, a chcąc koniecz-

nie być w jakiejś szkolnej niewoli, dostawało się z łatwością do wielościana polskich talentów, starego, małego i dobrodusznego profesora Anschütza.

Poza akademią ogarniała nas absolutnie obca sfera samego ciasno i typowo niemieckiego miasta, jakim było Monachium wówczas. Ani z temperamentem Monachijczyków, ani z ich sposobem życia, ani z tem piwem, które co wieczór zalewało ich żołądki, ale przez cały dzień, od świtu do nocy, ciążyło nad całym ich istnieniem, było jedną z najważniejszych spraw obyczajowych i ekonomicznych i wypełniało ich myśli przez dwie trzecie godzin dnia niewyczerpanemi rozprawami i pożądaniami, ani z innymi stronami życia ludności Monachijskiej nie łączyło nas nic. Trzeba jednak tej ludności oddać zupełną sprawiedliwość. Monachijczycy są ludźmi zasadniczo uczciwymi i sumiennymi, przytem są życzliwi, uprzejmi, uczynni, często beziinteresowni, a ich wszelkie stosunki są nacechowane ufnością niczem niezachwianą i niezamąconą. Każdy z nas może przytoczyć przykłady rozrzewniającej dobroci, jakiejś Hausfrau, lub sprzedawcy chleba i mleka.

To, co nas z nimi różniło, to rasowe przeciwieństwo i absolutny rozbrat między naszymi dążeniami, a tem, co stanowiło treść życia tego miasta. Gdyż nie trzeba się ludzić: w „Niemieckich Atenach,” zapchanych przez króla Ludwika pomnikami, ateńskimi świątyniami, tryumfalnymi bramami, w tych Atenach nie było śladu artystycznego ducha, nie było żadnego związku między życiem i sztuką.

Galerya Schacka, gdzie zaklęty świat Böcklina, z najwznioślejszych czasów jego twórczości, promieniał dziwnym światłem tajemniczej baśni i olśniewającego przepychu barw, galerya ta stała pustkami. I wszędzie, gdzie tylko do zetknięcia ze sztuką nie prowadził jakiś szczególny wypadek, jakiś obchód, obyczaj, lub napis: — *H o f b r ä u h a u s B i e r h i e r z u h a b e n*, wszędzie tam pocziwego Monachijczyka nie było śladu. Z fanatyzmem zato wdrapywał się on na wzgórze przedmieścia Au, pchał się do Salvator-Keller i staczał stamtąd do miasta nalany piwem po brzegi, przyśpiewując: — *Gut morgen Herr Fischer! Herr Fischer gut morgen*, lub płynął tłumem do serca Monachium, do królewskiego browaru, z którego krew z białą, gęstą, jak śmietana pianą rozlewała się strumieniami, zatapiając duszę Bawarów w ciężkiej cieczy filisterstwa. I gdyby jakiś anioł zapytał tej fali ludzkiej:

Falo ludzi! Falo ludzi!

Przewracasz się, pienisz — i mętna



Bez wiatru usypiasz... któż ciebie obudzi?

Czy sława pałaca, czy miłość namiętna!

(Słowacki).

ta fala ludzka odpowiedziała-by jednogłośnie:

— Morgen, 5 Uhr früh frische Austich! i mrucząc: Gut morgen Herr Fischer! usnęła-by w swoich pierzynach.

Dobry naród — ale piekielnie nudny!

„Wie viel verdriesliche Schwere, Lahmheit, Feuchtigkeit, Schlafrock, wie viel Bier ist in der deutschen Intelligenz!“ Woła Nietzsche, którego indywidualistyczna filozofia jest reakcją jego polskiego pochodzenia przeciw stadowemu duchowi i płaskości przejawów masowego instynktu niemieckiej rasy.

I po co myśmy tam jechali! Istotna przyczyna tego leżała w tem, że jeżeli w Monachium otaczała nas całkiem obca i nieznośna atmosfera, to niemniej w kraju dokoła całego tego porywu artystycznego rozciągała się głucha pustynia, w której nie odzywało się żadne echo współczucia. Nie było ani „temperatury moralnej“, której dla pojawienia się sztuki żąda Hipolit Taine, ani żadnego, mającego jaki taki autorytet, ogniska wychowawczego. Z drugiej strony fałszywe wyobrażenie o potrzebie szkół, profesorów, akademii, „zagranicy“, Paryża, Monachium czy Rzymu — wogóle Europy, cały ten konwencyonalny układ pojęć o kształceniu się artystów, oparty na absolutnej nieznamości ich psychologii i psychologii sztuki wogóle, nie pozwalał zrozumieć tej prostej prawdy, że jedyną nauką jest bezpośrednio zetknięcie się i porozumienie z naturą, że wszędzie tam, gdzie jest światło i życie, wszędzie tam są zasadnicze środki kształcenia się w sztuce. Wtenczas świadomości tej nie było w nikim, a i dziś jeszcze spotyka się z nią rzadko. Kwestya sztuki była u nas tak jeszcze świeżą, że nikt nie mógł o niej mieć żadnych samodzielnych pojęć, nie umiał wyprowadzać żadnych wniosków, które-by były wskazówką dla zwiększającego się gwałtownie zastępu pracowników. Nawet tak bijący w oczy fakt, jak stanowisko, które zajmowali nasi artyści w wielkich centrach artystycznego ruchu, ich sława i wziętość, zdobyte środkami artystycznymi, które albo przywieźli gotowe z kraju, albo też wytworzyli na miejscu, lecz wbrew temu, co ich otaczało, nawet taki fakt nie przekonywał nikogo dawniej, i zresztą nie przekonują dotąd. Dziś jeszcze tak, jak dawniej, spotyka się ludzi, którym się zdaje, że oni muszą jechać koniecznie do Paryża, dziś, jak dawniej, daje się stypendya na wyjazd „za granicę“, a krytycy ostrzegają

ją „młodzież artystyczną“ przed zgubnymi skutkami samodzielnego zdobywania światła sztuki.

Otóż i myśmy w owych latach jechali do Monachium po tę naukę, którą natura, ten jedyny pewny nauczyciel, wykłada wszędzie, na każdym kroku, wykłada z taką jasnością, logiką, z takim bogactwem faktów, jakiego nie miał żaden z niemieckich profesorów, z których każdy widział tylko mały, ciasny, ograniczony swymi pomysłami, skrawek świata.

Żeby sztuka mogła zjawić się i istnieć, potrzeba, żeby się rodzili ludzie z wielkimi talentami i niezwykle, dziwnymi duszami — nic więcej. Nie trzeba ich więzić w ciasnych klatkach szkół, mordować systemami estetycznymi i zabijać nędzą, a sztuka będzie istnieć wszędzie.

W owych początkach lat siódmego dziesięciolecia, wszyscy Polacy artyści w Monachium dzielili się na dwie grupy: S z t a b, i nienoszącą żadnej zbiorowej natury grupę, w której skupiali się ludzie, z rozmaitych powodów nie dający się włączyć do S z t a b u. Nazwa „Sztabu“ na razie nie miała nic z ironii, jaka się później do niej uczepiła. Powstała stąd, że Siemiradzki, chcąc wyrazić naczelne stanowisko, jakie w Monachium zajmowali Maks Gierymski i Józef Brandt, dla których talentów miał szczery szacunek, nazwał ich generałami, a dalej, logicznie już ci, co ich otaczali, zostali nazwani S z t a b e m. Z czasem, w miarę, jak być polskim malarzem stawało się zyskownym stanowiskiem w Monachium, zaczęli przybywać spekulanci sztuki, „oryentujący się“ w sytuacji, w tem, co jest, lub nie jest *verkäuflich*, korzystali ze znanego koleżeństwa, życzliwości i uczynności Brandta, który im ułatwiał stosunki z *Kunsthändlern*, i atmosfera artyzmu zaczęła się mroczyć, natomiast rósł kult Wimmera i Fleischmanna, handlarzy obrazów, a nazwa sztabowców zaczęła być pogardliwym przezwiskiem.

Ktoś narysował karykaturę, przedstawiającą wnętrze świątyni, na której ołtarzu stał zbiorowy posąg wszystkich monachijskich handlarzy obrazów, przed nimi zaś na klęczkach, modlił się cały sztab, z wyjątkiem, o ile przypominam, Maksa Gierymskiego. Oczywiście rzecz, że w tem była i jednostronność, i często niesprawiedliwość, faktem jest jednak, że słowo „*verkäuflich*“ stawało się jednym z najpopularniejszych haseł, a treść jego zastępowała stopniowo wszelkie idee nowych kierunków i artystycznych dążeń.

Na razie jednak ta dążność spekulacyjna, ta chęć wyzyskania tematów i sposobów, dających się najłatwiej i najlepiej sprzedać, to zacieśnienie celów sztuki jedynie do środka robienia kariery materialnej, to handlarstwo nie przeważało w życiu polskich malarzy



w Monachium. Za dużo było ludzi szczególnych, za dużo szczerych temperamentów artystycznych, zbyt wiele do sztuki szczerego porywu i istotnej chęci zdobycia wyższego stopnia doskonałości środków naprawdę artystycznych. Jeżeli też stosunki ze sztuką nie zawierały się łatwo, to nie tak wskutek uprzedzeń i niechęci, jak raczej z przyczyn różnic towarzyskich, różnicy usposobień, upodobań i sposobu życia. A zresztą, życie nigdy dość jasno nie tłumaczy się z tego, co i jak się stanie z ludźmi i ich wzajemnym stosunkiem, dla czego ludzie przeżyją lata całe obok siebie w stanie zupełnej obojętności i skąd, w pewnej chwili, u tych samych ludzi występuje nagle powinowactwo psychiczne i zawiązuje się najściślejsza wspólność istnienia. Ludzie układają się w zbiorowe związki na zasadzie tej samej, na jakiej cząsteczki jakiegoś ciała, rozproszone w jakiejś obcej sferze, skupiają się i układają zawsze w te same formy kryształów. Kryształizacja psychiczna jest takim samym prawem ludzkiego życia, jakim jest kryształizacja fizyczna w naturze nieorganicznej. Między członkami sztuki znajdował się człowiek, który na całą prawie grupę wywierał wpływ szczególny, którego umysł głęboki i logiczny, wcześniej niż czyjkolwiek bądź dotarł do najślusniejszych pojęć o sztuce i jej stosunku do ludzkiej duszy, to Adam Chmielowski, dzisiejszy Brat Albert, III-go zakonu św. Franciszka. Maks Gierymski w swoim pamiętniku stwierdza rozstrzygający wpływ Chmielowskiego na rozwój i ustalenie się kierunku swego talentu. Był to wpływ uświadamiający indywidualne cechy i wyswabdzający dusze z pęt szkolnictwa i utartych komunalów. Jednocześnie Chmielowski, będąc słabym rysownikiem, posiadał nadzwyczajny talent kolorystyczny i matematycznie wierne poczucie tonu; w tych więc zasadniczych kwestiach owoczesnego ruchu artystycznego zdanie jego było rozstrzygającym, a rada udzielana kolegom bezwzględnie słuszną i skuteczną. Na tych też podstawach głębokiego umysłu i wielkiego artyzmu opierała się jego powaga i znaczenie, nie na zewnętrznych oznakach powodzenia, którego nie miał, gdyż nigdy nie był verkäufflich.

Z dwóch, najślawniejszych w owej chwili, malarzy polskich, Maks Gierymski był bezwzględnie oryginalnym i nie z otaczającym go Monachium wspólnego nie mającym zjawiskiem. Prawda kompozycji pejzażu, zupełne usunięcie tego wrażenia, że natura odwraca się najpiękniejszą, lub najbardziej interesującą stroną do widza, stosunek do niej ludzkich figur, przypadkowość ich znajdowania się wśród pejzażu; usunięcie wszelkich sztuk i sztuczek, tak zwanych pierwszych planów, *re p o u s s o i r'ó w*, wszelkiego konwenansu, wszelkich resztek akademizmu w kompozycji; motyw kształtu prosty do ostat-

ka, lecz do ostatnich granic prawdziwy i doskonały w przedstawieniu, a ponad wszystkim cudowna prawda i harmonia koloru, wyobrażająca stany natury, pory dnia, roku, wszelkie nastroje pogody, z zupełnem zatraceniem farby i stopieniem jej na zorzę wieczorną, mroczny blask księżyca lub białe światło południa, odrębność charakteru motywów świetlnych, rzeczy i ludzi, wydobyta z najbardziej prostych zjawisk bez karykaturalnej przesady, bez krzykliwej jaskrawości. Charakter tych obrazów był tak bezwzględnie różny od tego, co je otaczało, że kiedy się je widziało na ścianach wystawy, wśród obrazów niemieckich, zdawało się, że ściany się rozstąpiły i ukazała się równina mazowiecka, tak uboga w kształty i biorąca cały swój urok i wyraz z barw i oświetlenia.

Gierymski zresztą nietylko dla cudzoziemców był zjawiskiem tak odrębnem i nowem, patrzący znajdowali w jego obrazach pewne strony życia, które on pierwszy malował, które ich dziwiły, a nawet wskutek dziwnej mieszaniny pojęć obrażały. Ten jego kraj, to był kraj dzisiejszy, najnowszy, nie było w nim tej malowniczości, którą przywykliśmy widzieć w dotychczasowych obrazach, malowniczości, tchnącej ruiną i rozmachem szlacheckiego życia. Jego sosna nie była tą „poetyczną“ sosną, pochyloną nad przydrożną figurą, były to młode, przetrzebione chojaki, subtelnemi gałązkami rysujące się na niebie wytworną sylwetą; jego drogi nie były temi rozjeżdżonemi gościńcami, w których piaskach, lub błocie, wlokły się bałagulskie wozy, lub przelatywały krakowskie Piątki. Nie wahał się on wyciągnąć w przekątnię przez obraz równej smugi szarej szosy, ostawionej popodecinanemi topolami. Słowem, jego kraj był tym rzeczywistym krajem, chwili obecnej, takim, jakim był, nie marzeniem o nim, w które wplątywała się tęsknota i żal za ginącemi formami bytu. Wskutek tego zdawał się on na razie pozbawionym charakteru, on, u którego wszystko jest tak charakterystyczne i prawdziwe. Był on oryginalnym w motywie, który odtwarzał, i w sposobie, w jaki go pojmował, był oryginalnym i samodzielnym we wszystkim, aż do sposobu pociągnięcia pędzla, w którym unikał zrzęczności i szyku.

Inna rzecz Brandt. Jego środki, jego sposoby komponowania, jego technika, jego kolorystyczna zaprawa, wszystko prawie było znalezione w otaczającej go sztuce. Ale temi asfaltowemi płaszczyznami, odbitemi na prawie białych tłach, w których jaśniały jaskrawe plamy barw świetlnych, tym konturem, obrzeżającym przedmioty i zastępującym modelacyę, temi wszystkimi konwencyonalnemi środkami i środeczkami, pokazywał on świat, dla cudzoziemców bajeczny,



świat i ludzi, których kształty, ruchy, czyny i zachowanie się, ubranie i uzbrojenie zdumiewało widzów niezwykłością. Takich skrzydlatych zbroi, takich hełmów, takich czapek zawieszonych, żupanów, wyłotów, jataganów, janczarek i szabli, takiego mnóstwa dziwnych przedmiotów: manierek, prochownic, ładownic, torb, torebek, krzesiw; takiej płataniny rzemieni, takich kulbak i czapraków; takich garbonosych koni, z takimi na zadach piętnami, takiego w nich szamotania się i rzucania, jak i ludzi z takimi nosami i wąsami — nie widział tutaj nikt, a rzadko kto gdzieindziej. Takich też karczem malowniczych, takich strzech rozdrapanych, krzywych dachów; takich grobli nad błotnistymi rowami, takich bajecznych przykop i trzęsących się młynów, takich dróg krzywych i chwiejnych, dziurawych mostów, takich wierzb rozczochranych, bram i płotów rozhojdanych — wszystkiego tego napróżno szukać gdzieindziej. Miał on niesłychane poczucie i potrzebę malowniczości, jakąś barokową skłonność do przesadnej charakterystyki, do przeciągania stosunku barw i kształtów. Będąc jednocześnie kolorystą o silnem poczuciu harmonii plam barwnych, nadawał swemu obrazowi cechy pięknego dywanu wschodniego, harmonijnej i świetnej kolorowej dekoracji. W owych zresztą czasach Brandt szybko pozbywał się mnóstwa cech konwencyonalnych i godził swoje upodobania i nawyki z tem dążeniem do prawdy, które z taką siłą i bezwzględnością objawiało się w Maksie Gierymskim.

Ukazanie się obrazów Brandta, lub Maksa Gierymskiego było zawsze wypadkiem ważnym na wystawie *Kunstverein*u, wypadkiem w polskiej kolonii i w świecie *Kunsthandlerów*, ponieważ dla nich był to najpopłatniejszy towar, na tem targowisku sztuki, jakim Monachium w owych czasach było bardziej, niż ogniskiem artystycznym.

Około tych uznanych już sławnych artystów skupiała się grupa kilkunastu rozmaicie uzdolnionych, młodszych, jeżeli nie wiekiem, to wykształceniem i umiejętnością, malarzy. Wszyscy oni prowadzili życie pracowite, regularne, zbierali się w pewnych godzinach w kawiarni Tamboisiego, pod Arkadami, mieli wygląd czysty, przyzwoity, i po większej części byli na tyle przynajmniej zamożni, że byli syci, nie mówiąc o tych, którzy już zaczęli robić karierę pieniężną.

Druga grupa, nie nosząca żadnej nazwy, składała się z dłużej, lub krócej przebywających w Monachium, najrozmaiciej dobranych, najsprzeczniej różniących się, najdziwniej ustosunkowanych, zjednoczonych młodością, wspólnością dążeń, polskością, nędzą, cygaństwem

i dziwaństwem młodych ludzi, wśród których, obok świetnych talentów, spotykało się niedołęgów, lub ludzi przypadkiem, dla braku innego zajęcia, zabłąkanych w sztuce.

Był tam porywający siłą talentu i niewyczerpaną, nieznużoną wyobraźnią, Chelmoński, podziw i postrach ulic Monachium, malarz, który musiał malować, jak woda musi płynąć, który się budził z pędzlem w ręku i zasypiał, skoro mrok nastał i nie można było malować. Był Julian Maszyński, poczciwy, dobry i wierny kolega, cichy i sumienny pracownik, w którym było więcej woli i poczucia obowiązku, niż temperamentu i talentu. Był Siemiradzki, dobry, serdeczny, pełen prostoty towarzysz, człowiek inteligentny i wykształcony wszechstronnie, zapalony uczestnik nocnych dysput, malarz, trochę stropiony tem, co się koło niego działo, a było tak różne, od tego, czego się długie lata uczył. Był przerażający Niemców smutkiem i ponurością twarzy, cudowny dziwak, potworny nędzarz, Stefan Jarzmowski, rzeźbiarz, żołnierz afrykańskiej legii cudzoziemskiej, jedna z najdziwniejszych postaci, jakie przez sztukę polską przeszły. Zatopiony w Słowackim, marzył o bajecznym świecie w rzeźbie, a musiał kuć marmur, jak prosty robotnik, p u n k t o w a ć p o s a g i u r o z m a i t y c h N i e m c ó w , ż e b y p r z e t r w a ć . U m a r ł , m o ż e z a p ó z n o , k i e d y g o j u ż w s z e l k i e z ł u d z e n i a o p u ś c i ł y i n a d z i e j e p o g a s ł y , p o r z u c i w s z y r z e ź b ę i o r z ą c z i e m i ę g d z i e ś n a R u s i . . .

Wogóle, powiedzmy prawdę, żebyśmy wszyscy z owych lat nie mieli tak niedającego się zedrzeć zdrowia, tak potwornej wytrzymałości, niezłamanej energii, takiego zasobu młodości i uporu życia, sztuki polskiej-by nie było — zjadła-by ją nędza, głód, bez żadnej przemożności poetyckiej, prosty głód. Nie dające się niczem zniszczyć zdrowie i kredyt u takich maluczkiach sklepikarzy, co dawali funt chleba na kredyt i czekali lata całe na spłatę długu; potem, w Warszawie, kredyt u poczciwego pana Błaszkwskiego, który dawał płótna, pędzle i farby, i nie zrażał się tem, że wielu poszło t a m , n i e p ł a c ą c , a w i e l u n i e p ł a c i ł o l a t a m i , l u b n i e z a p ł a c i ł o d o t ą d . . . O t o , c o o c a l i ł o o d z a g ł ą d y c a ł ą g e n e r a c y ę a r t y s t ó w , k t ó r z y s t w o r z y l i r z e c z i p o j ę c i e p o l s k i e j s z t u k i . B y ł w t e d y w M o n a c h i u m W i t o ł d C z e t w e r t y Ń s k i , d o b r y , s e r d e c z n y i u c z u c i o w y c h ł o p i e c , n i e z m o r d o w a n y g a d u ł ą , m o g ą c y t y g o d n i e c a ł e n i e s p a ć i g a d a ć p o n o c a c h , s i e d z ą c w k u c k i i o w i ń i ę t y w b u r k ę o c z e r w o n e j p o d s z e w c e , k t ó r ą w ę d n i e w p r o w a d z a ł a w s t a n n e r w o w e g o d r ż e n i a s e n n y c h M o n a c h i j c z y k ó w . Ż y ł o n o b o k s z t u k i , c i e s z ą c s i ę s w o b o d ą , k t ó r e j d ł u g o b y ł p o z b a w i o n y , n o s z ą k a r a b i n i t o r n i s t e r . B y ł W ł o d z i m i e r z Ł o ś , w ś c i e k l y t e m p e r a -



ment, w którym, obok dziecinnej serdeczności, grały nienawiści społeczne, Dwaj towarzysze Jarzmowskiego, Wiśniowiecki i Grabowski, rzeźbiarze, dostrajali się smutkiem i ponurością twarzy do niego. Kiedy ci trzej ukazali się w knajpie, zdawało się, że pomorek przeszedł po Niemcach, takie unheimlich wrażenie robili na nich. Motty Władysław, marzący o ilustracjach do arabskich bajek, niezrównany leninch, człowiek dziwnej wyobraźni, dla którego świat cały był w pewnym stadium strupienia. Trupy, truposze, trupielce i trupiki — oto z czego się składała podług Mottego ludzkość. Pisał też „Pamiętniki trupielca“. Ludwik Żmigrodzki, uczuciowy, serdeczny, przeuczulony, przeświadomiony, pełen nieustannych wahań, porywający się do czynu z gorączką i za lada zetknięciem się z trudnością, zwijający się z bólu, jak mimoza. Służył on za model do Hamleta Czachórskiemu, w jego doskonale rysowanym i tak dobrym w tonie obrazie. Drobny, okrągłutki, Piątkowski, z takim talentem kolorystycznym, sprytny i świetny karykaturzysta Rozen, gospodarzy Żmudzin Dowgird i tylu, tylu innych, od genialnych marzycieli, zjadanych tęsknotą do nieznanego, i wstrętem do rzeczywistego życia, od zaciekłych pracowników, do najpospolitszych walcioniów i hultajów, dla których całkowity urok sztuki streszczał się w modelkach... Wszystko to było młode, a młodość wydobywa z ludzi najlepsze, najszczytniejsze władze duszy. Każdy człowiek w młodości „choć przez trzy dni bywa wielkim człowiekiem“, chociaż w myśli, chociaż w nienjawionym porywie uczucia.

Nasza niezgoda z cichem i sennem Monachium objawiała się w tem, cośmy nazywali: *Z a t r u ć N i e m c o m s p o k ó j*. Przejść naprzekład w białej krakowskiej sukmanie środkiem najludniejszych ulic, wykonać szalonego kozaka na przestrzeni kilkudziesięciu metrów trotuaru, lub w dzień biały paść na kolana przed pomnikiem Szyllera, i uderzywszy kilka razy czołem w bruk, odejść, zostawiając za sobą skołowaciałę ze zdumienia tłum Niemców. Co się wtedy z nami działo! Jak owce wobec stracha zbijali się w osłupione stado, a gdy się rozeszli i usadowili po knajpach, nie mogli długo odnaleźć właściwego smaku w piwie i wurstach, i całemi miesiącami mieli o czem gadać, codzień na nowo dziwiąc się czynowi zdumiewających czcicieli Szyllera.

Wieczorami uciekaliśmy z miasta w pole, na mroczne łąki, w których jęczały czajki, lub leżąc gdzieś na miedzy, słuchaliśmy przepiórek i kuropatw, jak wtóru tej tęsknoty, która nas zjadała.

Monachium miało urok tylko w nocy. Spało ono spokojnie i twardo, z piwem w głowie, a głową w pierzynach, a puste ulice średniowiecznego miasta, stare baszty i bramy, wieże kościołów, ginące w ciemni nieba, dziwne zaułki nad ciemnymi łożyskami wód, pędzących z pośpiechem górskich potoków, melancholijna muzyka zegarów, dziwne łamanie się światel i mrocznych głębi — to było jeszcze Monachium do zniesienia, z którym można było wytrzymywać. Ileż nocy prze-włóczyło się tak, uciekając nad ranem gdzieś nad brzegi Izary, w łożyny i ujęte w tamy bagniska, w których się lęgnął tyfus.

Aleksander Gierymski żył materyalnie z bratem, ze Sztolcem, w istocie jednak nie należał ściśle ani do jednej, ani do drugiej grupy. Nie szedł on ani za bratem Maksem, ani za Brandtem, ani za szkołą Pillotiego, w której pracował. Wtenczas już był człowiekiem samotnym, w niezgodzie z otoczeniem, w niezgodzie z sobą, ze sztuką, z życiem. Na tle mniej więcej spokojnych, zrównoważonych i porządnym figur swoich najbliższych kolegów, odcinał się swoją twarzą bladą, nieraz napiętnowaną jakimś bólem i niepokojem, pomieszany z goryczą i ironią. Czuł on i wiedział, kim jest, czuł swoją odrębność-niezależność i siłę talentu, która dla najbliższego otoczenia ginęła w blasku talentu, sławy i stanowiską starszego brata. Cokolwiek-by zrobił, cokolwiek pomyślał, był tylko młodszym bratem, był Olesiem Gierymskim. Jego dążenia i szarpania się artystyczne brano za objawy dziwacznej zarozumiałości młodego chłopca, to, co mówił, uważało się za nonsens, lub znowu za zarozumiałość i dzieciństwo, za nieznośne dziwactwo, nieusprawiedliwione niczem, przykre dla otoczenia. W wiele lat potem, dawniejsi jego koledzy, ludzie ustalen i uspokojeni, z lękiem i pomieszaniem mówili o tem, że Gierymski może znowu przybyć, i swój niepokój, swoją niezgodę, swoje niepoddawanie się, niezawieranie kompromisów przeciwstawić ich unormowanym i przystosowanym do zwykłych stosunków życia egzystencyom.

Aleksander Gierymski był ambitnym i to jego stanowisko młodszego brata, ta niemożność bycia sobą drażniła go w najwyższym stopniu. Nie było w nim tej płaskiej meskineryi, która synom i braciom wielkich ludzi pozwala wygrzewać się w blasku chwały ich ojców i braci. On był sobą, był wybitną i określoną indywidualnością, dla której wszelka zależność, jak i konwecyonalna powaga były wstrętne i nieznośne. On chciał sławy i chciał aby jego sztuka i on były uznane i czczone, ale tylko za to, czem były rzeczywiście, za bezwzględną i istotną ich wartość. On nie chciał, ani



być przykryty powagą starszego brata, ani opromieniony jego chwałą, on nie chciał za nic być: Olesiem Gierymskim.

— Ja od śmierci brata zostałem człowiekiem! — mówił kiedyś z tą bohaterską otwartością, na jaką nie każdy umie się zdobyć.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

---

# SPRAWA DOŁĘGI.<sup>1)</sup>

---

## XXVII.

Ciotka Temira nie mogła wytrzymać na gorzce i dała się Halszce sprowadzić do parku. Tam siadła na ławce i stanowiła niby oś wirujących naokoło rozmaitych, mniej więcej miłosnych, pragnień. Od czasu do czasu jedna z pań przysiadła się do staruszki dla dowodnego okazania, że się nie oddała od towarzystwa i nie ma podejrzanych zamiarów.

Panny trzymały się razem: Halszka, Zosia Kostkówna, dwie Gnińskie; z niemi młoda księżna Koryatowiczowa, przyjaciółka Halszki. Szły rzędem, albo kupką, której układ zmieniał się czasem przy zwrotach i skrętach. To grono jasnych sukien, różowych twarzy i ramion oblegaly fraki dobrego kroju na mniej więcej okazałych torsach młodzieży. Reckheim manewrował, aby być bliżej Halszki, ale

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 68; lutowy, str. 273; marcowy, str. 445; kwietniowy, str. 60.



ona zwracała się dzisiaj do Szafranca, który może podpił sobie przy wieczerzy, bo go zwykła powaga mniej dławiała: ruszał się żywiej i wyglądał sympatyczniej. Hektor Zawiejski rozmawiał ze starszą panną Gnińską, nieładną, ale wysokiego urodzenia. Koryatowicz dowodził coś o wyścigach konnych paru młodzieńcom z sąsiedztwa, śledzącym uważnie ruchy, ubiór i zwroty mowy arbitrów elegancyi. Dołęga zaś szedł na skrzydle tego oddziału, milcząc.

Pośród jednego z niższych trawników, widocznych z tarasu zamkowego, bił wodotrysk, oświetlony dzisiaj ogniem bengalskim. Halszce przyszła myśl, aby się panie ugrupowały na ocembrowaniu wodotrysku, a mężczyźni u ich nóg. Tak się zapaliła do tego pomysłu, że już biegła w tamtą stronę wąską ścieżką między trawą, zostawioną tylko na przejście dla ogrodnika.

— Halszko! tam rosa! nogi zamoczysz! — wołał Koryatowicz i wstrzymał żonę, która już się wybierała za Halszką.

— Potrzeba nam tylko pań i panów na trzy grupy, aby je widać było od tarasu — wołała Halszka. — No, czy nikt nie pójdzie za mną?

Panna Kostkówna i panna Gnińska zdecydowały się. Z mężczyznu ruszył zaraz Reckheim, Szafraniec i Zawiejski. Tylko Dołęga pozostał z Koryatowiczami i resztą ociągających się.

Przy fontannie okazało się jednak, że brzeg cembrowania jest zupełnie mokry i dochodzą do niego odpryski wody. Mimo to Halszka, rzuciwszy chusteczkę z ramion na mokry kamień, usiadła w malowniczej pozie i rzekła:

— Teraz kto chce niech przede mną klęknie.

Natychmiast Reckheim i Szafraniec, nie zważając na kurz i rosę, upadli do nóg Halszki w pozach umierających gladiatorów. Roześmiała się wesół dziewczyna i podniosła okrągło rękę do góry, jakby ukazując dwóm mężczyznom jakiś ponętny cel, a ostre światło bengalskie, ujednostajniając barwę tej grupy, nadawało jej rzeczywiście coś posągowego.

Inne panny nie próbowały pozować; sądziły, że za mokro, a może nie chciały wystawiać się na porównanie z Halszką. Choć próba żywego obrazu przy wodotrysku nie zupełnie się powiodła, kompania młodych, zelektryzowana, rozlułała się: to biegła na wyścigi, to śmiała się rozgłośnie, to znów ktoś się wymykał i stawał w krzakach, udając widmo, a wesole głosy poczęły rosnać tak bardzo, że rychło spodziewać się można było jakiegoś poselstwa od starszych dla uciszenia tej wrzawy. Jakoż po chwili spostrzeżono kogoś idącego od zamku. Był to tylko Włosek, który, nasłuchawszy się rozmowy na tarasie, przychodził stwierdzić osobiście, co się dzieje w parku. Choć starszy, był on za-

wsze gotów do wszystkiego, byle nie wychodzić z wysokich sfer towarzyskich. Długi jego nos uśmiechał się uprzemie:

— Pytają tam na górze, co tu się dzieje. Hrabia Zeller powiedział, że mu to przypomina jego szkolne wakacje na wsi. Parole d'honneur—powiedział.

— A panu czy się nie przypominają jakie szkolne figle?—zawołała rozbawiona Halszka—może by pan fiknął koziołka na dróźce, panie Włosek?

— Jak kto da przykład, to i owszem — bronił się nowoprzybyły.

— Gdzie pan bywał w szkołach, panie Włosek?—rzekł Koryatowicz—niech nam pan opowie coś ze swego dzieciństwa. Było to w roku pańskim...?

— Tak, tak, niech pan opowie coś z dzieciństwa — wołały panny.

— Albo niech pan stanie na fontannie, na wierzchu, i udaje Neptuna, a my siądziemy naokoło, jak najady — rzekła znowu Halszka.

Dość niepoczesna figurka Włoska w postaci Neptuna rozśmieszyła wszystkich.

— Ja robię zawsze, co panie każą—odpowiedział Włosek.

— Dalej! na fontannę!—zawołała Halszka.

I posypały się na głowę Włoska różne tanie żarty, i śmiechy jeszcze urosły. Tylko Dołęga przypatrywał się tym scenom bez uśmiechu. Nie było w nich nic wyraźnie naganego, ale coś ścisnęło za serce nieświadomego romantyka: chciał-by tę wykwinną młodzież widzieć bawiącą się inaczej, chciałby szczególnie Halszkę widzieć inną... Przebiegała właśnie koło niego i trąciła go mocno ramieniem.

— A! przepraszam—to pan! dlaczego pan tak milczy?

— Żeby nie było jeszcze głośniejsze—odrzekł Dołęga.

— Wygląda pan jak półtora nieszczęścia.

— Dość mam jednego, swojego... chyba, że pani chce mi dodać połowę.

— El niech pan nie nudzi.

I przeszła do śmiejących się.



W innej, cienistej części parku toczyła się dużo bardziej znacząca rozmowa pani Hohensteg z Andrzejem. Oddalili się natychmiast od reszty towarzystwa. Tylko pani Iza, wyglądająca dziś wspaniale w niebieskiej wygorzowanej sukni, pachnąca, jak kwiat jakiś indyjski, nie spodziewała się natrafić na dziwny humor Andrzeja, tem bardziej, że przez cały dzień był uprzejmy i wydawał się wesołym. Skoro tylko oddalili się i zasłonili dostatecznie, pani Iza ujęła Andrzeja za rękę i nachyliła ku niemu głowę; była tak wysoka, że włosy jej sięgały twarzy Zbarazkiego. Ale Andrzej postępował sztywno, zamysłony.

— Co ci jest? czy oczadziałeś od iluminacji?—pytała pani Hohensteg wesoło i zalotnie.

Andrzej, zamiast odpowiedzi, zaczął śpiewnym swym głosem deklamować „Tannhäusera“ Heinego:

Frau Venus, meine schöne Frau,  
 Von süßem Wein und Küssen  
 Ist meine Seele worden krank —  
 Ich schmachte nach Bitternissen...

— Nigdy wiersz nie stosuje się dokładnie do usposobienia—ciągnął dalej Andrzej—bo ja się nie wrywam do goryczy,— mam jej aż nadto. Trzeba by zmienić ostatni wiersz...

— Naprzykład tak: „Ich schmachte nach anderen Küssen“—za pytała Iza.

— Rymowało by wtedy: Küssen i Küssen... a naprawdę w żadnym języku nie rymują jedne pocałunki z innymi pocałunkami...

— Do czego to zmierza?—rzekła pani Hohensteg mniej wesoło—czy do jakich zawodów twoich? Kręcisz coś...

-- Nie kręcę, ale zwracam do sprawy, o której muszę z tobą pomówić. Liczę na przyjaźń twoją i na współczucie. Doszedłem do takich zawikłań, że będę się musiał ożenić.

— Andrzejul!—krzyknęła głucho Iza.

Zbarazki był przekonany, że ona, a nie kto inny, napisała list bezimienny do Maryni; miał nawet tego poszlaki. Był mocno oburzony na Izę, ale, czując wstręt do scen i gwałtownych wyrzutów, postanowił dręczyć ją spokojnie.

— Zgadujesz zapewne z kim, moja droga. Różnice stanów są ostatecznie przesądem, a osoba, o którą chodzi, ma tyle osobistej dystynkcyi, że potrafi być księżną Zbarazką. Namyślałem się jednak długo, gdy tymczasem zaszły pewne wypadki, które postanowienie moje muszą przyśpieszyć.

— Wypadki?—więc doszło między wami do wypadków?

— Nie do takich, jak sądzisz—te panie z mieszczaństwa nie są do nich tak skore... Ktoś obraził pannę, o której mowa, a dokładniej mówiąc: zrobił jej świństwo; że zaś to się stało z powodu mnie, więc ja za nie odpowiadam.

— I poskarżyła ci się ta niewinna? Jesteście widocznie w bardzo ścisłym porozumieniu?

— Nie ona mi się poskarżyła, ale jej ojciec przysłał mi list, który ktoś bezmiennie ośmielił się posłać do jego córki. Ten list wysydzia jej stosunek ze mną. Teraz więc rozumiesz, Izo, co mi pozostaje do czynienia.

— Rozumiem tylko to, że te łyki umieją skorzystać ze wszystkiego, aby cię złapać, a spekulują tutaj na twoją naiwną rycerskość. Kto wie, jakie listy otrzymuje i może jeszcze otrzymać ta przebiegła mała... bo widzę, że jest sprytna: umie spieniężyć lada świstek papieru.

— Może byś była łaskawa oszczędzać mi słów niepoehlebnych o mojej przyszłej żonie. Mam nadzieję, że uczynisz to dla mnie.

— To nie prawda, Andrzej! — rzekła Iza gwałtownie — ty się nie chcesz żenić, chcesz mnie tylko dręczyć!

— Ciebie? za co? za wszystkie twe dobroci? za piękne dni minionie? Owszem, nie zapomnę cię nigdy, Izo, a jeżeli cię uprzedzam o koniecznościach, które...

— Nie prawda, drogi mój! tyś nie stworzony do mieszczańskiej zupy przy kominku, tyś nadto wrażliwy i subtelny, żeby cię życie tak marne, tak szanownie podłe mogło zadowolnić. I byłbyś chyba szaleńcem, gdybyś to zrobił, nie mówiąc już o mnie... Czy ci potrzeba tak bardzo pieniędzy? czy ci nie dobrze, nie miękko, nie szeroko w twoim własnym świecie?

To mówiąc, położyła mu swe nagie ramiona około szyi i wpatrywała się w niego błyszczącemi oczyma.

— Wiem, przyszła fantazya memu kapryśnemu panu spróbować swego uroku na mieszczańskiej dziewczynie... wiem i przebaczam ci — już przebaczyłam — więc i ty mi przebac i nie mścij się na mnie.

— Co ci mam przebaczyć, Izo?



— Że napisałam ten list. Bo ja go napisałam, a skoro doszedł do ciebie, wiedziałeś odrazu, że to ja. Ale zrozumiej—że...

Andrzej ujął mocno obie ręce Izy za kostki, poniżej dłoni i, odepchnąwszy ją na krok od siebie, mówił, trzymając ciągle jej ręce:

— Przyznajesz się do tego?!.. więc któż ty jesteś?

— Nazwij mnie jak chcesz... powtórz, coś już powiedział, że to świństwo, ale zrozumiej, że dla ciebie to uczyniłam. Ja sobie nie dam wyrzucić ciebie, mój jedyny, mój... Ja nie kochałam tak nigdy duszą i ciałem, jak ciebie Kocham...

Śledziła wyraz oczu Andrzeja, wychylona ku niemu, z rękoma zatrzymanymi w kleszczach jego dłoni, ale podana cała naprzód, dysząca rozkoszą.

— Wierzę ci, Izo—ale nie idzie za tem, żebyś krzywdziła kobietę, dla której mam najlepsze uczucia.

— Ach, nie mówmy o tamtej — targnęła się Iza — nie mówmy przynajmniej teraz! Ona nie istnieje, jest tylko twojem przywidzeniem. Istnieje jedynie wielka wolna miłość. Andrzeju mój! patrz-że na mnie... ja cię przepraszam, błagam o przebaczenie — niko-go w życiu nie przepraszalam. Andrzeju! potrzebuję ciebie, aby żyć, aby jeszcze żyć... Czym nie warta twojej miłości? Patrz-że na mnie!...

W dochodzącym tu jeszcze blasku iluminacyi oczy jej rzuciły tragiczne ognie, usta aż się kurczyły od pragnienia, a postać tak namiętnie i szczerze wyrывała się do uścisku, że Andrzej pomyślał błyskawicznie:

— Jednak ona strasznie piękna... i cierpi...

A potem puścił jej dłonie.

Wtedy ona rzuciła mu gwałtownie ramiona na szyję i oplótła go całem swem wonnem, giętkim ciałem, niby jednym węzowym pocałunkiem.

— Moje dziecko!.. mój panie!.. moje życie!..—szeptała mu od ust do ust.

## XXVIII.

Następnego dnia o świcie już myśliwi byli w lesie. Z powodu upału, polowanie miało trwać tylko do południa — i wystarczyło tego czasu, gdyż Kordysz, dowodzący z konia łowami, tak je wybornie urządził, że do południa zabito już mnóstwo dzików, kozłów, lisów i kaczek. Innej zwierzyny nie strzelano.

Hrabia Zeller, jak się okazało, zawołany myśliwy i wyborny kompan, jeździł na bryczce z Andrzejem i z hrabią Gnińskim. Z tym ostatnim zwła szcza, jako z rówieśnikiem, wszedł w doskonałą komitwę. Bo też Gniński był rzeczywiście nader uprzejmym człowiekiem, grzeczność jego była równa dla wszystkich, i wyrażała się przez wielki, swobodny uклон; mówił płynnie i zabawnie, i czy rozmowa toczyła się o ważnych, czy o drobnych rzeczach, Gniński nie pozbywał się nigdy uśmiechu, rozświecającego stale jego piękną twarz optymistyczną. Bynajmniej nie pokorny, był on jednak giętki i w ruchach, i w zdaniu, nie bardzo dbał o postawienie na swoim, — chciał przede wszystkim, żeby go ogólnie kochano. Usłużny, przedsiębiorczy, pilnował swych interesów, ale i dla drugich był zdolny do lekkich poświęceń. Wszystkich znał, każdego cenil i szanował.

Ten pomocnik był dla Andrzeja nieoszacowany w dzisiejszem zajęciu podejmowania dostojnego gościa. Jakoż Gniński opowiedział Zellerowi, choć niedokładnie, o wielkości terytorium Waru, o historii zamku, i pokazał kierunek projektowanych szos. Gniński, stojąc obok Zellera na stanowisku, ustąpił mu strzału do ogromnego odyńca. I jeszcze Gniński dodał komentarz, gdy, przy powrocie myśliwych do Waru, zabrzmiała stara pobudka:

Marsz moje serce!  
 W pobudkę biją,  
 Strzelaj mordercę  
 A chwal Maryją —  
 Boś u Maryi  
 Towarzyszem w regimencie,



Podaj się ty Jej  
W opiekę święcie...

— To jest, panie hrabio, fantara zamkowa z siedemnastego wieku; napół fanfara, napół modlitwa, niezupełnie już dzisiaj rozumiała, ani zastosowana do naszych zwyczajów, ale nie bez wdzięku.

— Oui, très chic, — rzekł Zeller.

I słuchał dalszych zwrotek.

— Coś i o Tatarach jest w tym śpiewie, — zauważył znowu Zeller, — musi być jakaś pieśń wojenna?

— Jest tam i o Tatarach, i o niebie, i o wszystkich Świętych... Może-by skinąć na trębaczy, że już dosyć?

— Skąd znowu?! Ja słucham z przyjemnością.

Więc popłynęły wszystkie zwrotki hejnału, jedna za drugą. Ale przeszkadzało coś dzisiaj urokowi pieśni. Pobudka przedźwiewała mniej buńczucznie, nieśmiało jakoś, w skwarnej ciszy południa.

Śniadanie miało być tego dnia zaraz po łowach, a obiad wieczorem o ósmej. Gdy się myśliwi rozeszli, aby zmienić ubranie, ksiązę Janusz rozpytywał Kordysza o wynik polowania. Przy rozmowie był Marsowicz i Szafraniec, który, przeglądając się w lustrze, poprawiał lekkie nieporządki myśliwskiego stroju, choć go miał zaraz zmienić.

Łowczy odpowiadał obficie na zapytania:

— Ano, proszę księcia pana, padło 15 dzików, 32 kozły i 3 lisy. To jak na lipiec i do południa — niby niezłe.

— Wybornie, panie Kordysz, wybornie!.. A cóż zabił graf Zeller?

Pięć dzików, proszę księcia pana, i tego tam drobiazgu jeszcze kilka. No, stawiałem go, jak nieboszczyka ojca waszej księżęcej mości, który-to nie dał się nigdy nikomu przestrzelać.

— Strzela dość pewnie? Prawda, panie Kordysz? — odezwał się Szafraniec, wiążąc krawat przed lustrem.

— Dobrze strzela, — rzekł łowczy, — a jak gada! Głos, proszę księcia pana, ma do komendy. Odrazu po wszystkim widać, że to personat.

Ksiązę i hrabia porozumieli się uśmiechem, zdziwieni, że prosty człowiek zauważył to samo, co oni.

— Ale pan hrabia to strzela gracko! — dodał Kordysz, zwracając się do Szafranca, — pan hrabia jest zaraz drugi po grafie.

— Ksiązę Koryatowicz zabił więcej sztuk, o ile mi się zdaje, — rzekł Szafraniec, marszcząc brew ze skupieniem.

— Może jaką jedną, ale takich dwóch odyńców nie ma, i oba pan hrabia położył na swoich stanowiskach... ho, ho, będą ważyły po pięćset funtów.

— Jednym słowem, panie Kerdysz,—rzekł Zbarazki,—uważałeś, że graf Zeller był zadowolony?

— Jeszcze jak!

— I pobudki naszej nie zganil, — dodał Marsowicz, chowając brodę w halsztuch i przełykając ślinę, jakby się wyrwał z czemś zuchwałem.

— A nie zganil,—rzekł książę,—masz rację, panie Franciszku; dobrze, żeśmy jej nie pominęli.

Trzeba się było rozejść i ubierać.

Książę Janusz pożegnał łowczego uprzejmym ruchem ręki i rzekł:

— Proszę dzisiaj na obiad, o ósmej, we fraku.

— Pokornie dziękuję waszej książęcej mości.

Po śniadaniu wielu myśliwych powymykało się do swoich pokoi, aby powetować sobie niedospaną noc poprzednią i zmęczenie poranka. Zeller, gdy mu stary Zbarazki ten spoczynek zaproponował, był uradowany:

— O wszystkim myśli kochany książę! Doprawdy, tu jak w raj!

Dołęga zaś sądził, że dzisiaj po południu będzie jakaś rozmowa o interesach, coś w rodzaju posiedzenia. Wczoraj już czynił sobie wyrzuty, że, zamiast pozostać na tarasie z Zellerem, poszedł do parku. Ale ani wczoraj, ani dzisiaj nie zanosilo się na nic podobnego. Jan, przykro usposobiony, poszedł do swego pokoju.

Siadł przy stole, na którym były ułożone papiery, dotyczące się tej, już niemal starożytnej, sprawy dróg bitych. Przygotował je wszystkie, porobił nawet trochę notat, mogących służyć do połączenia projektu z budową kolei. Roboty w łąkach już ukończył, siedział więc nad jedyną sprawą, tłumaczącą jego pobyt w Warze. Oparł głowę o rękę i długo patrzył na okładki swoich projektów.

— Cóż u licha? Czy oni mnie zupełnie już nie potrzebują? Ani słowa o koncesyi, ani słowa nawet o szosach. Jeżeli mędrkują tam beze mnie, po co mnie wzywali? Gdyby zrobili już coś określonego był-bym przecie potrzebny...



Siedział tak posepnie, nic nie mając do roboty. Zaczęta książka nudziła go. Spostrzegł między papierami spis dzieł, wybranych przez siebie do czytania dla Halszki — i gorzko uśmiechnął się:

— Bardzo ona dba o to... to było dobre tylko na czasy nudy.

Wtem z oddalenia doszedł go radosny, przenikliwy krzyk kobiety.

— Czy to jej głos?

Okna pokoju Dołęgi wychodziły na park i były obecnie otwarte, ale zasłonięte od słońca, które zaczynało już w nie zaglądać. Podniósł roletę i zobaczył, w oddaleniu jakich stu kroków, partyę tenis'a.

Halszka z Reckheimem grała przeciw Andrzejowi z Koryatowiczem. Pani Hohensteg i kilka pań, pod osłoną drzew, przyglądały się partyi.

Reckheim musiał być silnym szermierzem, bo trzymał pole przeciwko Andrzejowi, znanemu z dobrej swej gry; Halszka i Koryatowicz walczyli jako siły drugorzędne. Gracze bez surdutów, w kolorowych koszulach i jasnych spodniach, Halszka w różowej bluzce i krótkiej sukiennej spódnicy, — stali naprzeciw siebie, mierząc się uważnie wzrokiem. Halszka zaczynała grę i, choć dość silnie puściła piłkę pod same nogi Andrzeja, ten ją odbił z wielką łatwością, zręcznym obrotem rakiety i puścił ponad samą siatką, między stanowiska przeciwników. Halszka podbiegła, ale zapóźno, więc zawołała głosem prawie rozpaczliwym:

— Panie Reckheim, panie Reckheim! Dla pana piłka!

Uważny i zręczny Niemiec rzucił się szybko w tył, na sam brzeg asfaltu, i odbił piłkę w bok do Koryatowicza, który już nie zdołał jej podchwycić rakiety. Była to widocznie piłka, stanowiąca o wygraniu partyi, bo wszyscy czworo zeszli się razem do siatki, ocierając czoła. Halszka wdzięcznie przemówiła do swego współgracza Reckheima, który przyczynił się do jej tryumfu, a on skłonił się głęboko. Słów tych Dołęga nie dosłyszał.

Znowu ułożono partyę w tym samym składzie osób, tylko na przeciwnych polach. Teraz Dołęga widział Halszkę naprzeciwko i, ponieważ miał wzrok dobry, mógł ją obserwować. Dziewczyna zdawała się całą duszę swą kłaść w grę: groźnemi oczyma wypatrywała piłkę i odbijała ją, zacinając usta. Gdy chybiła, rzucała w tył głowę niecierpliwie, to znowu biegła pędem do piłki, jak gdyby odbicie jej uważała w tej chwili za najważniejszą sprawę życia.

Dołęga patrzył i na mężczyzn. Ta gra, pozornie prosta, uwydatniała nietylko fizyczne postacie, ale trochę i charaktery grających. Andrzej był, jak zwykle, spokojny, giętki i estetyczny; w jasnym

ubiorze, w rozłożystym białym kapeluszu, wyglądał posągowo i zwycięsko. Jasna broda i angielska czapka Reckheima mniej wprawdzie nadawały się do rzeźby, ale cały strój dobrze uwydatniał skupienie jego energicznej twarzy, dokładność i elegancję ruchów. Jeden tylko Koryatowicz, choć niebrzydki chłopiec, wyglądał pretensjonalnie, a grał zazdrośnie: zawsze, po nieudanej piłce, miał coś komuś do zarzucenia: to wskazywał rakieta, że nie on był powinien piłkę odbić, to się sprzeczał, że rzut był nieprawidłowy, to wynajdywał wady w asfalcie.

Znowu partya zmieniała się: stanęła teraz do walki pani Iza, Koryatowicz i Hektor Zawiejski. Andrzej się poświęcił i grał w tej partyi, bez porównania słabszej. Pani Iza nie udawała nawet, że gra dobrze: odbijała piłki niedbale, nie biegła zawzięcie, ale miała sposobność przeginać swą piękną kibić, której kształty plastycznie falowały pod blado-zieloną bluzką, tupać zgrabną nogą, odsłoniętą powyżej kostki i przybierać mnóstwo postaw zmysłowo wyzywających. Była rozpromieniona i spoglądała na Andrzeja, z jakąś fizyczną wdzięcznością, pośrednią między pokorą a tryumfem.

Tymczasem Halszka odpoczywała na ławce, obok Reckheima. Dołęga, nie słysząc ich rozmowy, widział tylko jej mimikę. Młody dyplomata bardzo skwapliwie coś tłómaczył, o coś pytał, skłaniał głowę potwierdzająco po każdym odezwaniu się księżniczki — widocznie podziwiał ją, albo jej pochlebiał. Halszka śledziła grę, jednak zwracała się do mówiącego często, i z tym uśmiechem nagłym, promiennym, stanowiącym szczególność jej wdzięku. Wreszcie uderzyła poufale Reckheima po rękę i wskazała mu coś przed sobą ruchem głowy. On zerwał się, pobiegł do stołu, gdzie stały przygotowane napoje, i przyniósł szklankę wody z winem.

— Ha! Są w najlepszej przyjaźni! — stwierdzał Dołęga ze swego obserwatorium, przygryzając wargi, — nawet wydaje się ona swobodniejszą z tym obcym człowiekiem, niż ze mną... Tak, to jest przyjaciel naturalny, przyjaciel z „jej świata“, sprzymierzeniec urodzony jej wszystkich przyzwyczajęń, instynktów, kaprysów... Będzie z nich nawet dobrana para... Potem ona zostawi gdzieś za granicą swojego Reckheima, jak tamta swego Hohenstega... Nie! wpadłem w jakiś sen niezdrowy! Co ja tu myślę? Co ja tu robię?

Spuścił roletę, nie chcąc dalej patrzeć na ten świat i na ludzi; ale w mieszkaniu swem nie mógł dłużej wytrzymać, i poszedł kogoś szukać po zamku, byle zmienić wrażenia i ochłodzić z nerwowego niepokoju, który go ogarniał. Może znajdzie gdzieś pannę Temirę, której niema przy tennisie?



W wielkiej galerii otwartej, ciągnącej się na pierwszym piętrze wzdłuż jednego z murów podwórza, spostrzegł Zbązkiego, przechadzającego się wolno po kamiennej posadzce. Starzec, mimo upału, miał na sobie czarny, zapięty surdut z rozetą jakiegoś orderu; prawą rękę opierał o laskę, lewą zatknął za guzik surduta. Postać prosta, głowa sucha i strój ten nadawały mu pozór bardzo uroczystry.

— Ha!—pomyślał Dołęga, — nie mi się gorszego stać nie może; zaatakuję tę mumię, może czegoś się dowiem?

Ponieważ Zbązki nie był na polowaniu, ani nawet na śniadaniu, Dołęga miał powód przywitać się z nim i zapytać o zdrowie. Nasłuchawszy się dosyć o trudnym przystępie do tego pana, zbliżył się z wielkiem uszanowaniem, chcąc go dobrze usposobić. Po uprzejmem zapytaniu Dołęgi, Zbązki zatrzymał się, a mierząc go wzrokiem, niby zbudzonym ze snu, rzekł, nie podając mu ręki:

— Dzień dobry, młodzieńcze... kto jesteś?

— Miałem już zaszczyt wczoraj i dawniej...

— Tak, tak,—rzekł Zbązki, przecierając czoło, — przypominam sobie .. pan Dołęga... szosy...

— Istotnie, panie hrabio, jestem autorem projektu, który pan raczył popierać w Petersburgu. Czekam tutaj na wezwanie, gdyż będą prawdopodobnie jakieś narady w tym przedmiocie, a wtedy panowie zechcą zapewne mieć szczegółowe informacje, któremi służę.

Pan Karol długo milczał, potem chrząknął parę razy, jakby namyślając się, ilu słowami obdarzyć zuchwałego młodzieńca, nareszcie odezwał się:

— Szosy — to szczegół.

— Szczegół?.. zapewne. Nie przesądzam o wynikach pracy szanownych panów w Petersburgu, owszem, pokładam w niej wielkie nadzieje. Ale zrozumie pan hrabia, że pragnę przede wszystkim dowiedzieć się czegoś o moim własnym projekcie, który poddałem pod rozważenie doświadczeńszych. Śmiem zatem prosić o najkrótsze choćby objaśnienie, jak stoi ta sprawa obecnie?

Tym razem Zbązki nie ze zdziwieniem spojrział na Dołęgę, ale tak, jak Mickiewiczowski Huragan, który, spostrzegłszy Farysa, oburza się:

Co to za jeden z wiehrów, moich młodszych braci,

Tak poziomego lotu, nikiemnej postaci,

Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął!..

Hrabia Karol sformułował to prośbiej:

— Młodzieńcze, zawczasie jeszcze na moją odpowiedź.

I poszedł dalej, postukując laską o kamienie posadzki.

Dołęga nie był cierpliwy z natury, jednak pohamował się, myśląc, że trzeba oszczędzać tego starca, otoczonego tutaj wyjątkową czcią. Może nareszcie sprawa wypłynie sama? A wtedy on nie będzie miał sobie do zarzucenia, że ją popsuł przez niecierpliwość. Miał jeszcze jeden sposób: poprosić o informacje Hektora Zawiejskiego. Ale ten sposób wydał mu się najwstrętniejszym. Zresztą dopytać się o coś kogokolwiek w tym wirze zabaw, przebierania się i uczt — było niepodobieństwem. Dołęga czekał jeszcze, ale już fale oburzenia przybierały w jego sercu.

## XXIX.

Powoli cały War i Dołęgę opanowała ta atmosfera balu, która jest rodzajem upojenia, i w której wszystko, co się dzieje, co dzieć się powinno, przesłania lekka mgła niepamięci. Obiad po polowaniu, znowu iluminacja, krótki spoczynek i wyprawa od rana na jeziora leśne, gdzie łowiono ryby i pływano na ozdobionej kwiatami tratwie — wszystko to następowało po sobie bez przerwy, tak, że już pamięć myliła, co było dzisiaj, co wczoraj i przedwczoraj. W pamięci jednak wszystkich pozostał trzeci i ostatni obiad, uczta główna, po której nazajutrz Zeller miał opuścić War i udać się na krótką kurację za granicę. Ta uczta pożegnalna była rozrzewniająca.

Mniej więcej w połowie obiadu powstał hrabia Zbązki i dał znak że przemówi. Słowa starca były rzadkością i zbierano je skrzętnie, jak mannę, która tylko w pewnych latach i w pewne pogody dojrzewa. Zbązki, utkwivszy białe swe oczy w Zellera, aż ten stracił na chwilę zwykłą pewność siebie, wywołał najprzód wspomnienie jego ojca, którego znał jeszcze w Petersburgu w latach pełnych doniosłości historycznej. (O tym ojcu Zellera mało już kto pamiętał; wiadziano tylko, że, podobnie jak syn, zajmował wysokie stanowisko). Mówca, dowiódłszy tym wstępem znajomości paru pokoleń, przypomniawszy, że świadkiem był już wielu przewrotów, zapewniał, że idee ładu społecznego przechowywane były zawsze, niby przez świeckich



kapłanów, przez ludzi czystych, wysokich i samotnych, do których (o ile wnosić było można) zaliczał siebie, Zellera i wspomnianych właściwych przodków. Ile więc razy wspólne sprawy zgromadzą wypadkiem tych wielkich samotników, tryska stąd nauka i kierunek dla ogółu. Z tych wyszedłszy przesłanek, mówca wspomniał o zasługach Zellera w sprawach nas obchodzących, o jego wysokiej sumienności państwowej w połączeniu z najlepszą chęcią dla potrzeb partykularnych, o rodzącem się stąd zaufaniu. Życzył, aby to zaufanie wzajemne ludzi dobrej woli i wzniosłej myśli udzieliło się obecnym wraz z poszanowaniem dla moralnych przywódców myśli naszej. Wzniósł wreszcie zdrowie hrabiego Zellera, a grzmiąca fanfara pokryła przemówienie.

Mowa wywarła silne wrażenie, chociaż nie wszyscy zrozumieli ją jednakowo. Wypływało z niej tylko jasno, jak z innych krótszych i dłuższych odezów Zbązkiego, że on wie, czego chce, a mówi tylko tyle, ile uznaje za stosowne; że musi mieć i plany i siłę niepospolitą, skoro się wyraża tak stanowczo. Jeszcze raz w milczeniu powiedziało sobie wiele osób: pan Karol jest wielki. Był to już jakiś osiągnięty pożytek.

Tylko Kersten, niechętnie do Zbązkiego usposobiony za owo zapomnienie przy zaproszeniach na ślub siostrzenicy, pozwolił sobie wystosować kilka cichych uwag do swej sąsiadki przy stole, pani Michaliny Zawiejskiej:

— C'est un fatras de paroles. I słyszymy te same rzeczy od dwudziestu pięciu lat... Skąd tu ten ojciec Zeller? Co nas ojciec obchodzi?—A znowu ci „kapłani świeccy“ powinni-by przynajmniej być przez kogoś wyświęceni. Wogóle patos kaznodziejski przy stole jest zabijający: obiad to nie sesya. To tylko u nas są takie rozrzewnienia możliwe... Gdzie-by pani usłyszała taki toast we Francyi?

Kersten nie znał zalęknionej prostoty pani Zawiejskiej, pierwszy bowiem raz wdawał się z nią w rozmowę. Kiedy mu więc na szereg uwag odpowiedziała tylko:

— Czy tak pan baron sądzi?

Kersten zaprzestał swej krytyki i żałował, że nie ma przed kim się wywnętrzyć. I on bowiem, podobnie jak Zbązki, czuł w sobie skarby postrzeżeń, z których mogła-by być dla kraju nauka. Tylko może Zbązki trochę bardziej dbał o kraj?.. przynajmniej trochę lepiej znosił klimat miejscowy.

Graf Zeller nie był przygotowany na wystąpienie tak patetyczne. Odpowiedział dużo prościej, zacząwszy mimo woli od swego ojca, gdyż ten cień, raz wywołany, domagał się poniekąd odprawy. Po

czem serdecznie dziękował za przyjęcie w Warze, którego nawet nie spodziewał się, bo nie zasłużył na nie. Hrabia Zbązki łaskawie przecenił jego zasługi; mówca zaś zgadzał się tylko na szczerość i żarliwość swoich dobrych chęci, o których obecnych zapewniał. Jeżeli ciepło tego przyjęcia i zaszczyty świadczone mu przez książąt Zbarazkich może sobie jakkolwiek wytłómaczyć, to tylko szczerością i gościnnością słowiańską, która przechowała się najwspanialej w starożytnych i znakomitych domach polskich. Stąd już niedaleko było do wzniesienia zdrowia całej rodziny Zbarazkich, co mówca skutecznie dokładnie, pocałował bowiem księżnę w rękę, a potem obszedł stół, aby uściskać księcia i podać rękę Andrzejowi i Halszce.

Natychmiast książę Janusz poprosił o głos i oświadczył, że tylko na wyraźne żądanie „naszego moralnego przywódcy“ ustąpił głosu hrabiemu Zbązkemu, ale teraz sam pragnie powtórzyć kielich za zdrowie kochanego gościa, który przy ważnych sprawach głową, a w codziennem życiu sercem umie sobie podbić i zniewolić wszystkich.

Potem książę Janusz wznosił jeszcze zdrowie Zbązkiego i trwały rozczulenia najlepszego gatunku.

Gdy się trochę uciszyło, hrabia Szafraniec wznosił toast, który dawniej zainaugurował: zdrowie rodziny Zawiejskich. Mawiał temi dniami, że Zawiejscy są między nowo przybywającymi („les derniers arrivants“) doskonałym nabytkiem dla arystokracji. Cechuje ich zupełna solidarność z nami, pewna gorliwość prozelitów („zèle de novice“) i młodzieńczy zapał do spraw, które nam już spowszedniały: dadzą się za nas posiekać...

Tego wszystkiego nie wyraził Szafraniec w mowie, ale sam fakt, że zdrowie ich wzniesiono przy tej uczcie niemal historycznej, stawał się dla Zawiejskich cenną rodzinną pamiątką. Przy stole mniej gorąco przyjęto ten toast, niż poprzednie; tylko trąby orkiestry, obojętne na nazwiska, a baczne na sygnał, zadzwięczały równie głośno z tarasu.

Były-by się te przemowy mnożyły do nieskończoności, bo kilku już uznawało potrzebę odwetu, gdyby hrabia Zeller nie wznosił zdrowia dam polskich słynnych z zalet i piękności, w ręce tak dostojnych przedstawicielek. Pozostawało więc już tylko miejsce na stary toast „kochajmy się“, którego podjął się hrabia Guński. Wznosił go ze zwykłą swobodą i wdziękiem, nie bez dowcipnych aluzji szerszego znaczenia.



## XXX.

Zeller wyjechał z Waru czwartego dnia około południa. Na specjalną rozmowę o interesach nie znaleziono czasu, parę tylko razy wspomniano o szosach; na polowaniu Gniński pokazał mniej więcej ich kierunek. Tak było lepiej i delikatniej: nie można było nudzić hrabiego, który przyjechał tu na wypoczynek i aby utwierdzić sojusz przyjaźny. Zresztą sprawa dróg bitych była częścią zaledwie wielkich planów praktycznych, powziętych w Petersburgu, i te plany błędy znowu wobec inauguracji nowych, trzeźwych stosunków, opartych na duchowym zjednoczeniu, na wzajemnem zaufaniu daleko widzących kierowników i na ustępstwach naszych, które miały wypaść na naszą własną korzyść.

Takie było zdanie jednomyślne wszystkich trzech delegatów, objawione Dołędze po wyjeździe Zellera z Waru. Zresztą sprawa szos stała dobrze, nie śpieszono się tylko z jej popieraniem, bo ważniejsze i ogólniejsze decyzje miały ją poprzedzić, choćby tylko zatwierdzenie kolei żelaznej.

Dołęga wysłuchał i spoehmurniał. Po długiej mowie Hektora, który zabrał głos w tej naradzie i tłómaczył zasady działania tryumwirów, uczynił tę prostą uwagę:

— W tem wszystkiem jest jeden nasz interes: szosy. O reszcie mało co możemy wnosić, a tymczasem szosy uznaliśmy za korzystne dla nas i powinniśmy najprzód je przeprowadzić.

— Widzi pan, panie Dołęgo — rzekł Szafraniec — nie trzeba wyrywać się z inicjatywą prywatną, zanim się nie przeniknie interesów i opinii ogólniejszych.

— Czyli jest pan zdania, że należy spać i czekać, co się z nami stanie?

— Nie bardzo jednak spaliśmy w podróży, w ustawicznych wizytach i zabiegach dla dobra ogółu — odpowiedział hrabia, urażony.

Szafraniec pierwszy raz w życiu tyle był się ruszał i tyle wydał pieniędzy, jak mówił, „dla kraju”. niesprawiedliwość więc odezwania się Dołęgi była rażąca. Książę Janusz starał się złagodzić rozmowę:

— Rozumiem zapal do sprawy, którą pan podjął, i która była pierwszym powodem naszej wycieczki. Niech pan nie sądzi, że sprawa ta nam obojętna; pragniemy tylko podzielić się z panem naszymi obserwacjami i zaznajomić go z szerszem rozwinięciem naszych planów. Szosy będą zatwierdzone, niech się pan nie boi.

— Bodaj-by tak było!—westchnął Dołęga, który lubił starego księcia i nie chciał się z nim spierać.

Po tej rozmowie wstał ze ściśnionem sercem i postanowił zaraz War opuścić. Miał się jeszcze tylko załatwić z Andrzejem.

Gdy go spotkał, objawił mu krótko swoje postanowienie:

— Jutro wyjeżdżam do Warszawy—musisz mi dać odpowiedź dla Hellego.

— Ale zostań jeszcze, Janku! Jeszcze mamy gości; jakże chcesz, abym myślał o tem dyplomatycznym zawikłaniu w takim gwarze? Musimy raz jeszcze powrócić do tej rozmowy, może jutro, kiedy się przerzedzi trochę.

— Pilno mi, muszę jechać.

— No, a dla tych tam interesów petersburskich—czy nie powinien-byś pozostać? Zbązki i Szafraniec zostają do pojutrzea—rzekł Andrzej, byle zwrócić rozmowę.

— Już się rozmówiłem z tymi panami—wystarcza mi to. A co do twoich projektów, jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie,—nie żeń się z Hellówną, pozostań w swojej sferze, nie walcz z nią. Bo gdybyś chciał z nimi walczyć, nie zabiją cię, ale cię zanudzą, zemdlą cię... Zechcesz im coś wytłómaczyć—ziewną i powiedzą, że oni są już dużo dalej i wyżej od twego rozumowania.

— Toś widzę nie rad z naszych działaczów?—rzekł Andrzej zadowolony, że rozmowa bierze inny obrót.

— Są oni jak wielka, stojąca woda... nie mówię o twoim ojcu, który musi się solidaryzować, choć lepiej czuje...

— Niepotrzebne zastrzeżenie — przerwał Andrzej — znam ja i ojca!

— Są więc jak ta woda. Popchniesz ją—rozleje się; chcesz ją zapalić?—mokra; użyć do obracania młynów?—nie płynie. A zalewa jednak ogromną przestrzeń kraju i gdzie nie pleśnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzajne pola. Dlatego przez tę senną wodę trzeba poprowadzić mocne groble, po której przyjdą nowi ludzie „najlepsi“, trzeba dać tej wodzie dopływy z nowych źródeł i skierować ją na jakiś pożytek. Myślałem, że zdołam coś takiego rozpocząć, choćby w drobiazgu, choć do pewnej miary, nie przenoszącej moich sił... Ale



gdzie tam! Nic tu niema do czynienia—trzeba iść gdzieindziej, trzeba szukać ludzi, gdzie są, a nie „sfer“.

— Sądziś ostro ale słusznie—rzekł poważnie Andrzej—pomijasz jednak inne właściwości istniejącej u nas arystokracji. Są oni naprzykład jedynymi może przedstawicielami estetyki życiowej, która nie jest byle czem; twierdzą nawet niektórzy, że jest wysoką cnotą społeczną i dojrzewa tylko przy późnym i doskonałym rozwoju rasy.

Jan targnął się i odrzekł gwałtownie:

— Co mi estetyka!—i jaka estetyka? Poczucie i znajomość piękna?—tych widzę bardzo mało. A to, co nazywasz estetyką, jest zwykłym sybarytyzmem, przystrojeniem sobie życia ku największej wygodzie, bez aspiracyi społecznych, bez szczypty altruizmu, bez sensu dziejowego. W tej atmosferze nawet ludzie zdolni, szlachetni i rozumiejący wysokie zadania życiowe, drobnieją. I ty sam, Andrzej, daleki już jesteś od czasów uniwersyteckich, kiedy mi mówiłeś, że trzeba podnieść sztandar Zbarazkich, otrząść go z kurzu, wypisać na nim hasło czynnego życia dla kraju. Ty sam podałeś mi myśl, która mnie dręczy. A teraz co? zawracasz kobietom głowy, nosisz wyborne szaty zewnętrznej estetyki życia, jesteś panem całą gębą, ale tylko dla swoich, nie dla wszystkich. Być sobie panem, to nie dosyć i tego nie weźmiesz za hasło, a szczególnież tem hasłem nie pociągiesz nikogo.

— Jeździsz trochę po nas i po mnie, mój mistrzu!

— Wiem, że nie mam do tego prawa, ale nadto napiłem się gorczy w tych dniach... A że pragnę, abys spróbował żyć inaczej, to tylko przez najszczerzą przyjaźń. Dlaczego-byś ty nie miał być jednym z tych odnowicieli swojej rasy? Masz do tego wszystkie warunki i wyborną sposobność.

— Ale nie mam siły, mój Janie.

— Najgorzej przyznać się do tego. Jest w mózgu sprężyna, którą każdy może nacisnąć, gdy zechce,—jeden łatwiej, drugi trudniej— a potem siła sama się znajdzie.

— Może spróbuję?—rzekł Andrzej zamyślony.

## XXXI.

Po dniach gwarnej zabawy opanowało znużenie mieszkańców Waru i pozostałych gości, ale było to znużenie słodkie, pełne dobrych wspomnień, nieledwie tęsknoty, a przytem wir i gwar nie od razu przeszedł w stan spoczynku. Towarzystwo topniało powoli, stół sali jadalnej zmniejszał się stopniowo i żalowano nbywających, nawet takich, jak Włosek, dlatego, że i on był częstką dni wesoło spędzonych.

Hrabia Zeller wywarł na wszystkich korzystne wrażenie. Ci, którzy go znali z Petersburga, nauczyli się jeszcze bardziej go cenić; innych również ujął, wszystkim zaimponował. Księżna Hortensya, niewiedomo dlaczego, odnalazła w nim typ perski i spierała się z Kerstenem, który znowu twierdził bez wyraźnej zasady, że Zeller ma charakterystyczną postać szlachty nadreńskiej. Wszystkie panie były też wdzięczne Zellerowi, że przyjazdem swoim spowodował piękny szereg zabaw. Jeden tylko Szydłowski, słysząc zewsząd pochwały i rozrzewnienia, cierpiał na przekorę, aż nareszcie ogłosił przy śniadaniu:

— Nie wiem, co w nim tam państwo widzicie? zwykły urzędniczyna i basta.

Napróżno usiłowano mu przekładać, że to nie urzędniczyna, lecz wysoki i wpływowy dygnitarz, napróżno zwracano uwagę na jego takt i wdzięk w obejściu i na życzliwe względem nas zamiary.

— Zobaczymy dopiero, jak coś zrobi—mruczał uporeczywy sceptyk i pozostał przy swoim zdaniu.

Szafraniec, nierozłączny z Hektorem Zawiejskim, zwierzył się mu poufnie o Szydłowskim i Dołędze:

— Ten stary i ten młody są z jednej gliny: wszystko im za mało. Ils ne sont pas à la hauteur.

Hrabia Szafraniec wyjechał jeden z pierwszych po Zellerze: pilno mu było do zarządu swych dóbr wiejskich i miejskich, których rachunki namiętnie lubił przeglądać, znajdując zawsze, że nadto pie-



niędzy idzie dla rozmaitych darmozjadów. Pomnażal ciągle majątek nie przez obrót kapitałów lub tworzenie nowych warsztatów pracy, lecz przez skrętne zbieranie i składanie dochodów. Wielka jego fortuna, która powstała z czyjejs dawnej pracy, z hojnych darowizn królewskich, z obfitych posagów, obecnie—rzec można—spała i pociła się złotem. Hrabia Adam umiał ten złoty pot wyciskać, podbierać i składać, niby miód w plastry. Umiał wyciągać cenę drzewa i zboża, podnosić dzierżawy i opłaty na wsi, a komorne w swych domach miejskich; czynił to bezwzględnie, bez wchodzenia w potrzeby mnóstwa ludzi, od niego zależnych; działał reskryptami, nigdy osobiście, i z tej przyczyny dla tłumu swych urzędników, dzierżawców, lokatorów był przemocą niewidzialną, która przejmuje lękiem, a często nienawiścią. Nie używał też dobrej opinii u maluczkich, ale ci sądziliby go łagodniej, gdyby się dowiedzieli, że Szafraniec działa tak z przekonania. Gdy mu ktoś przyjaźny zwrócił uwagę, że nie przystoi wielkiemu panu podnosić komorne naprzykład starym biedakom, siedzącym oddawna na jego ziemi, odpowiedział:

— Niech się ci ludzie udadzą do mojej kasy wsparć, gdzie ich prośba będzie rozpatrzona. Ale płacić muszą więcej, bo komorne więcej warte. W interesach nie należy się rządzić sercem.

— A sercem w czym się rządzisz?

Dał taką odpowiedź, podług niego wystarczającą:

— W uczuciach.

Co roku urządzał też redukcye w pensjach, w gratyfikacyach i w ofiarach na instytucye, które to obowiązki odziedziczył razem z majątkiem. Obmyślił już obecnie, jak pokryje wydatki na podróż do Petersburga: zniesie roczną opłatę na zakład dobroczynny, którego cele zaczynają nie odpowiadać jego poglądom. I tak jeszcze będzie zmuszony oszczędzać się, aby nadzwyczajne tegoroczne wydatki pomieściły się w jego budżecie,—postanowił bowiem nigdy nie wydać więcej niż dziesiątą część swoich dochodów. Mawiał, że gromadzenie pieniędzy „w naszym ręku“ jest jedynym sposobem utrzymania swej pozycyi wobec Żydów z jednej, a socyalistów z drugiej strony. Mimo te przesady w pojmovaniu swych obowiązków wielkiego pana, hrabia Adam był uważany przez swych krewnych i lepszych znajomych za „dobrego chłopca“, za „jedną z pierwszych w kraju partyi“, a od niedawna i za poważnego obywatela z powodu tej podróży do Petersburga, którą sam nazywał „rokiem pracy dla kraju“.

W dwa dni po wyjeździe Zellera liczne grono gości zmniejszyło się do kilku osób i wystawne życie zamkowe powróciło mniej wię-

cej do normalnych rozmiarów. Dołęga czekał jeszcze na odpowiedź Andrzeja.

Starzy księstwo Zbarazcy siedzieli właśnie po południu we dwoje, oddychając spokojem i wspomnieniami, gdy Andrzej skorzystał z tej sposobności, aby im oświadczyć, że pragnie zaślubić pannę Maryę Helle i prosi rodziców o błogosławieństwo. Dodał, że posunął się już daleko w tym zamiarze, a nie tylko przywiązanie, ale i szacunek, który ma dla tej panny, zmusza go do przyspieszenia kroków stanowczych.

Zbarazcy przyjęli wyznanie syna osłupiałem milczeniem i poprosili go o czas do namysłu. Rozpoczęły się po różnych kątach zamku szeptki i żalobne narady: stary książe szeptał z Temirą, księżna okazała nagle wiele serdeczności pani Hohensteg, zamysławiając może, w braku lepszych środków doraźnych, użyć wpływu Izy na Andrzeja. Wreszcie wszystkie ubolewania i wątpliwości zlały się w jedną walną naradę wieczorną, formalną sesję, złożoną z obojga księstwa, panny Temiry i Zbązkiego; uczestniczyli w niej także Gniński i Kersten, jako starzy przyjaciele domu.

Nerwowa stanowczość, z którą Andrzej oświadczył swój zamiar rodzicom, podziałała na księcia Janusza. Będąc w zasadzie przeciwny związkom tak nierównym, zapytywał jednak zgromadzonych, czy godzi się występować energicznie przeciw uczciwym, bądź co bądź, zamiarom Andrzeja? Cytował starożytnie i nowsze przykłady, dowodzące, że czasem podobne małżeństwa bywają szczęśliwe. Wspominał i o wielkim majątku, którego jedyną dziedziczką będzie panna Helle.

Księżna Hortensya miała na te wszystkie nieśmiałe argumenta męża stanowczo przeczące odpowiedzi. Najprzód mezalians mści się zawsze, jeżeli nie w pierwszym, to w drugim pokoleniu. Zamiar Andrzeja jest prostą zachcianką, niepohamowanym zapędem zmysłowym, wynikającym tylko z jego „braku zasad“. Nawet majątek Hellego, oparty na „brudnych i ryzykownych przedsiębiorstwach“, nie wydawał się księżnie tak wielkim, jak o nim mówiono, a w każdym razie wstrętnym i niepewnym, bo narażonym codziennie na bankructwo. Chociaż Gniński, znający się na rzeczy, zapewniał o „solidności“ tego majątku, księżna pozostała przy swem zdaniu. Popierał jej zdanie Kersten, najwykwintniejsza natura z pośród obecnych, dosypujący żaru do pogardliwych sądów o Hellach, których rzekomo znał lepiej



niż wszyscy; mówił o nich, jak o ludziach niebezpiecznych; dał im, oprócz należnych epitetów: „gmin, parweniusze“—inne, jak: „demokraci, masoni“, i t. d., których to określeń bliżej nie objaśnił.

Panna Temira chciała kwestyę sprowadzić na grunt sentymentalny i ofiarowała się wybadać Andrzeja, jak głęboko zapadła mu w serce ta panna; zaczęła mówić o wielkiem uczuciu, tłómaczącem nawet wylamanie się z pod niektórych praw społecznych, a uświęcającem istoty wybrane bez względu na ich sferę towarzyską. Rozpytywała o pannę, której nie знаła. Ale zagłuszył ją chór męski, praktyczny, rozprawiający o wartości sprawy, nie o psychologii.

Marynia Hellówna nie miała naprawdę adwokata w tym sądzie przysięgłych. Czekano jeszcze na zdanie Zbązkiego, który swoim zwyczajem milczał, siedząc nieruchomy w wielkim fotelu, z przymkniętymi oczyma. Zapytany wreszcie kategorycznie przez księcia Janusza, wznosił rękę i rzekł groźnie:

— Nie tędy droga!

Siwe spojrzenie przeprowadził po twarzach obecnych: we wszystkich znalazł poddanie się wyrokowi bez apellacyi.

— Ha, skoro pan Karol tak zreasumował i przeciął naszą dyskusyę—odezwał się książę Janusz—pozostaje nam tylko wezwać Andrzeja i przełożyć mu nasze zdanie.

Zbązki kiwnął głową. Posłano więc po Andrzeja, ale otrzymano piśmienną jego odpowiedź, że jest chory i prosi, aby zdanie rady familijnej objawiono Dołędze, jego zaufanemu przyjacielowi, który zna najlepiej całą historyę jego uczucia.

Zbązki rozwarł szeroko oczy i wyrzekł tonem mniej stanowczym, niż słowa poprzednie:

— Obcy?!

Ale skoro przełożono mu, że Dołęga jest przyjacielem Andrzeja, że pochodzi ze starożytnej szlachty i nadto objaśniono zawikłanie, które zniewala użyć pośrednictwa Dołęgi wobec Hellów,—pan Karol opuścił zdumione brwi i pokiwał głową boleśnie. Było to znakiem zgody, choć niechętniej.

Poproszony Dołęga stawiał się przed areopagiem. Wrażenia ostatnich dni nie usposobiły go pogodnie, to też, przewidując z góry wynik obrad, wszedł dość ponuro do gabinetu księcia, rozdrażniony tem

bardziej, że wydawał się sam sobie śmiesznym, jako pośrednik w tej sprawie. Konsekwentnie jednak musiał znosić jeszcze przez parę dni stosunki, ciężące mu teraz krwawo na barkach; wmawiał w siebie, że kończy obrachunki ze Zbarazkimi.

Skoro Jan usiadł pośród radzących, księżę Janusz odezwał się do niego:

— Daruje nam pan, panie Dołęgo, że zmuszeni jesteśmy wyzy-skać niejako stosunki istniejące między panem i Andrzejem, i prosić pana, aby połączył się z nami w celu odprowadzenia Andrzeja od lek-komyślnych projektów małżeńskich, które powziął. Jak się dowiadu-jemy, bliższe objaśnienia nie są potrzebne, bo pan wie dobrze o wszystkim.

Dołęga odpowiedział również ceremonialnie:

— W istocie Andrzej zwierzał mi się oddawna. Skoro jednak dzisiaj przypadek nadarza mi zaszczyt pośredniczenia między dwoma tak szanownemi rodzinami, jak rodzina książąt Zbarazkich i państwa Hellów, zastrzegam się, że mogę tylko wysłuchać i zanieść wzajemne odpowiedzi, ale odprowadzać Andrzeja od jego zamiarów nie mogę przeciw własnemu przekonaniu.

Zaległo na chwilę milczenie, które przerwał dopiero hrabia Gniński, najrzęczniejszy i najbardziej pojednawczy ze zgromadzo-nych:

— Rozumiem pańską delikatność, rozumiem nawet, że pan po-chwalał wybór przyjaciela, bo trudno o sympatyczniejszą kobietę, niż panna Helle, którą znam i cenię. Związek taki był-by prawdziwą idyllą. Ale my, starsi, i pan, człowiek czynu, zastanowić się winniś-my nad praktyczną i społeczną wartością tego zamiaru. Nadto my wszyscy, należąc, jak pan, do starożytnej szlachty, myślimy o intere-sach naszej sfery; nie można nam brać tego za złe. Otóż z nasze-go stanowiska było-by niebezpiecznem pochwalać małżeństwo z Niemką...

— Z Niemką?—przerwał zdumiony Dołęga—przecie Helle jest już tutaj urodzony, a pani Hellowa jest z domu Dekiert, prawnuczka Jana Dekierta.

Gniński pokiwał głową, jakby wiedział o tem doskonale; księżę, księżna i Kersten obrócili się ku sobie ze skrzywieniem, pytając się nawzajem:



— Dekiert? co to jest Dekiert?

Tylko panna Temira wiedziała napewno, że Jan Dekiert był prezydentem miasta starej Warszawy i wymownym obrońcą praw miejskich na sejmie czteroletnim.

— Tem gorzej, — odezwał się Zbązki—lepsze proste mieszczaństwo, niż pretensjonalne mieszczaństwo.

Dołęga przyciął wargi, nos ściągnął w formę dzioba, a płowy czub zdawał się jeżyć. Gdyby kto z obecnych znał go za czasów uniwersyteckich, poznał-by w nim „białego koguta“, mierzącego nieustraszonem okiem w postać Karola Wielkiego. Ale umiarkowanie trzydziestego roku życia, powaga zebrania i doświadczenie, że są ludzie, z którymi spierać się nie warto, wstrzymały słowa Dołęgi; nerwowym ruchem cofnął się i zasiadł głęboko w fotelu.

Zabrał znowu głos ksiązę Janusz:

— Mimo więc wszystko, co się da powiedzieć na korzyść państwa Helle i ich córki, doszliśmy do przekonania, że przez wzgląd na stosunki społeczne, na przyszłość i na szczęście Andrzeja, nie możemy pochwalić jego zamiaru. Czy pan zechce podjąć się powtórzenia tych słów Andrzejowi, panie Dołęgo?

— Mogę się tego podjąć, — odrzekł Jan ponuro, — ale ponieważ jutro jadę do Warszawy, powinien-bym wiedzieć, jak mam się zachować wobec pana Hellego, wiadomo bowiem księciu, że sprawa wymaga jakiegoś załatwienia, a nawet zadośćuczynienia.

— Można powiedzieć poprostu prawdę:—rzekła żywo księżna — Andrzej prosił rodziców o pozwolenie, a rodzice stanowczo nie zgodzili się.

— Mógł-bym to powiedzieć, — odpowiedział Dołęga, — ale nie wiem, czy to panu Hellemu wystarczy.

— Pozwól pan, panie Dołęgo,—odezwał się Kersten, — prawda powinna zawsze wystarczać, i pan Helle, chociaż mu to może pójść nie w smak, zrozumie, że księżęta Zbarazcy pozostają wierni samym sobie i swoim przekonaniom.

— Dobrze...—rzekł Jan—ale jeden już ksiązę Zbarazki, mianowicie Andrzej, oświadczył się niedwuznacznie pannie... i różne okoliczności ujawniły jego zamiary tak, że przestały być tajemnicą... więc teraz?..

Zanim Kersten znalazł odpowiedź, odezwał się przezorny Gniński:

— Trzeba-by jednak obmyślić oficjalną formę pogłoski, którą-by w świat puścić o tem całym zajściu.

— To możemy uczynić tylko w porozumieniu z Andrzejem, — rzekł książę Janusz,—a najprzód musimy wiedzieć, jak przyjmie naszą decyzję.

Wstał z fotelu i podszedłszy do Dołęgi, wziął go serdecznie za rękę:

— Panie... Janie! Ufam, że jesteś już przyjacielem, nie tylko Andrzeja, ale całej rodziny. Wierz nam, że radzimy dla jego dobra. Proszę, abyś użył swego wpływu na niego i wytłómaczył mu nasze poglądy, zanim rozmówimy się z nim osobiście, jak rodzice z synem.

Dołęga skłonił się, milcząc. Rozmowę trzeba było odłożyć do jutra—jest już późno—Andrzej niezdrów. Dołęga żegnał się z towarzystwem i już miał wychodzić, gdy Zbązki zagadnął go znienacka:

— Wierzysz zatem, młodzieńcze, w przyszłość tych sfer?

Jan pomyślał przez chwilę i zrozumiał, że pan Karol mówi o mieszczaństwie. Zmierzył wzrokiem tę suchą postać, nieruchomą w głębi wielkiego fotelu, te oczy białe i zagadkowe, jak woda, zawierająca niedostrzegalne pierwiastki—i, skłoniwszy się grzecznie, lecz stanowczo, rzekł:

— Panie hrabio! Zawczasie jeszcze na moją odpowiedź.

Wyszedł i pozostawił w zdumieniu zgromadzenie. Spojrzeli wszyscy na pana Karola, którego twarz oblala się niby cieniem rumieńca. Starzec powstał, uderzył zamkniętą ręką w stół, jak kościanym młotkiem, i raczej z ozywieniem, niż gniewnie, zawołał:

— Twardy szlachcie!

To zdanie Zbązkiego, niezupełnie zrozumiałe dla obecnych, wzmogło jednak poszanowanie dla Dołęgi w Warze.



## XXXII.

Jeszcze dzień jeden przebył Dołęga w Warze. Bolesna struna, tracona przez Andrzeja, tak dalece rozstroiła ogólną harmonię, że już nikt nie wspominał nawet wesółych dni poprzednich; każdy chodził zamyślony, zafrasowany, jakby w zamku ktoś zachorował śmiertelnie. Narady po dwie, po trzy osoby, trwały ciągle. Andrzej czuł ból głowy, niesmak moralny, i słuchał biernie wszystkiego, co mu przekładali rodzice; przyjął wyrok rady familijnej bez buntu, pytał tylko, co ma uczynić, aby się wycofać z tej sprawy z honorem. Uradzono, że powinien oświadczyć się formalnie, jednak w taki sposób, żeby go nie przyjęto. Andrzej spodziewał się, że ktoś to za niego uczyni — może ojciec? Ale ksiązę Janusz odmówił stanowczo: głowa rodu Zbarazkich nie może się kompromitować. Sam winowajca miał więc napisać list do Hellego i wręczyć go Dołędze, który jechał do Warszawy nazajutrz rano. Ociągał się do ostatniej chwili i unikał Jana, bo wzrok przyjaciela wydał mu się dziwnie zimnym, a czoło bardzo ściągniętem.

Dołęga nie mógł też znaleźć sobie miejsca w zamku na spędzenie tego dnia ostatniego: wszystkie widoki, które tak lubił, wszystkie miejsca wspomnień zasłaniał mu jakiś mrok żalobny, niemal rozpaczliwy. A przecież słońce świeciło wspaniale nad Warem, a rodzina książęca była najprzyjaźniej dla niego usposobiona. Nawet księżna Hortensya mówiła mu: „kochany panie“, i wezwała go na rozmowę, w której wiele wyznała swych uczuć macierzyńskich i poufnych poglądów. Dołęga cierpiał jednak i tak głęboko, jak cierpi dziecko w ostatni dzień wakacji, jak cierpi marzyciel, gdy już nie ma o co oprzeć, ani o co nawet zaczepić swoich upragnień. W ciągu kilku dni tak się psuło wszystko, co w myśli knował, co sercem przywoływał, że już nie wiedział dobrze, co go bardziej boli, czy zawiedziona nadzieja społecznego działania, czy zawód na przyjacielu? Te myśli marszczyły mu czoło i pochylały głowę, ale gdy pomyślał o Halszce, zacinał usta i chwycił się, prawie trwożnie, za ubranie na piersi.

Nic mu jednak nie zawiniła, owszem, po ustaniu wielkiego gwaru, garnęła się znowu do Jana, szukając z nim rozmowy, o ile na to

pozwał dramata rodzinną, wywołany przez Andrzeja, i towarzystwo Reckheima, który pozostał w Warze i chodził, jak cień, za księżniczką. Ale Dołęga unikał teraz Halszki, a gdy się zdarzyło spotkanie, przemawiał do niej prawie wyniośle, choć ona była pokorniejsza, niż kiedykolwiek; ich wzajemny stosunek pozostał niezmienny w pozorach, lecz dusze dwojga młodych miały z sobą zatargi. I czasem posępne oczy Jana zwracały się do Halszki z milczącą wymową:

— Wi-c i tyś marna, jak inni?...

A gorące spojrzenie dziewczyny odpowiadało:

— Już nie będę...

Ostatniego dnia Dołęga czuł się jeszcze bardziej rozdrażnionym, niż dni poprzednich. Panował ciężki upał, rozmowa z księżną była tylko powtórzeniem tych samych przekładań o niemożliwości małżeństwa Andrzeja z Hellówną, sam Andrzej gdzieś się krył i obiecywał oddać list do Hellego dopiero późno wieczorem; Reckheim, pani Hohensteg drażnili Dołęgę niepomiernie samem swoim istnieniem w zamku. Czuł też ciągle pragnienie, wywołane przez upał, a może i przez wewnętrzną gorączkę. Bezczynny, beznadziejny, rzucił się po południu na łóżko w swoim mieszkaniu, pragnąc się zdrzemnąć. Ale troski nie opuściły go i ciężkie mary krążyły ciągle około postaci Halszki. Wydawało mu się w pół-śnie, że rozmawia z księżną o przyszłym małżeństwie Halszki z Reckheimem, i że proszą Zbarazcy jego, Dołęgę, aby oznajmił o tym związku Hellemu, dodając uwagi o stosowności tego wyboru, o przyzwoleniu Zbązkiego, o łączeniu się równych z równymi... Jan wzbraniał się od podobnej misji, ale czuł, że i na to trzeba będzie się zgodzić... może to nawet będzie zrzecznie?..

Tak ciężkie myśli powikłały się w sennej głowie. Dopiero gdy poczuł powiew od otwartego okna, uprzytomnił sobie, że zbliża się wieczór, wstał, odświeżył twarz wodą i poszedł do parku, spodziewając się znaleźć tam trochę chłodu i uspokojenia.

Niebawem spotkał Halszkę, przechadzającą się z nieodstępnym Reckheimem. Panna de Radenac była w pobliżu, zatem przyzwoitość była zachowana, a Halszce dawano wogóle wiele swobody. Skoro tylko księżniczka ujrziała Dołęgę, przywołała go radośnie do siebie:

— Czy pan napewno wyjeżdża jutro? Zupełnie napewno?

— Chyba-by mnie piorun zabił tej nocy.

Halszka kręciła się przez chwilę, szukając pozorów oddalenia Reckheima, ale nie znalazłszy nic lepszego, powiedziała po prostu:

— Przepraszam pana, mam do pomówienia z panem Dołęgą.

Dyplomata podniósł trochę brwi, uchylił kapelusza i oddalił się w stronę zamku.



— Nie mam panu nic do powiedzenia, — rzekła Halszka, skoro pozostali sami, — tylko mnie już strasznie znudził ten Niemiec.

— Ja zaś pragnąłem właśnie rozmówić się z panią, sądząc, że trochę już dłuższa znajomość i... zaufanie, które mi pani okazywała dawniej, usprawiedliwią moje zapytanie, choćby nie bardzo dyskretne, — mówił Dołęga, idąc obok Halszki i nie podnosząc na nią oczu.

Dziewczyna poczuła coś rozkosznie trwożnego w piersi i, wciągając głębiej powietrze, zatrzymała oddech, jakby chciała dłużej w sobie zachować wrażenie tych słów, płynących razem z silnym zapachem letniego wieczoru. I po chwili rzekła cichutko:

— Słucham.

Wtedy Dołęga spojrział jej prosto w oczy i zapytał:

— Jak pani się zapatruje na małżeńskie zamiary brata?

A Halszka rozwarła szeroko oczy, potem ściągnęła brwi gniewnie:

— Ech! Pan nigdy nie myśli o tem, co ja... Co mam się zapatrywać? To nie moja rzecz.

— Jakto: nie pani rzecz? Przecie chodzi tu o Andrzeja, o którego pani dba przynajmniej tyle, co ja.

— Tak, naturalnie... tylko nie myślałam już o tem, bo wszystko postanowione.

— I pani pochwała to postanowienie?

— Także dziwne pytanie! Któż-by chciał, aby Andrzej żenił się z jakąś mieszczką, Niemką, choćby była nawet dziesięć razy bogatsza?

— Nie będę pani przekonywał, — odrzekł sucho Dołęga, — bo wiem, że mi się nie uda, ale muszę przyznać, że panna Marya Helłówna jest jedną z najwytworniejszych kobiet, jakie znam, a jej ojciec jednym z najpożyteczniejszych obywateli, a jej matka...

— Ależ panie! — przerwała Halszka — to nie dla nas!

— Prawda, — rzekł Jan, którego ogólne rozdrażnienie wyraziło się teraz przez gniew na księżniczkę. — Prawda, że to, co wogóle uważa się za szanowne i godne kochania, może uchodzić za wstrętne i śmieszne... tutaj.

— Co pan mówi?

— Mówię, że nikogo już tutaj nie rozumiem, nikomu nie ufam. Bardzo panią przepraszam za otwartość, ale widać, że mam serce plebejusza, skoro wszystko, co pochodzi z wysokich sfer, przejmuję mnie chłodem, a czasem zgrozą. Jeżeli tu kto ma jaką myśl społeczną, tom ja chyba niespełna rozumu; jeżeli tu kto kocha sprawę naszą, tom chyba cudzoziemiec.

— Pan przecie do nas należy? Pan jest nasz?

— Należę do swojego narodu i jestem swój własny, zresztą niczyj.

— Nie myślałam, że się pan nas wypiera.

— Ach, pani! Bóg mi świadkiem, że się garnął do was i pokładałem w was najgorętsze nadzieje. Ale teraz, gdy widzę, jaka jest robota społeczna starszych, jak błahy pogląd młodszych na obowiązki ogólne i osobiste zobowiązania—uciekam stąd — a największy ból sprawia mi to, że i pani... et! nie warto o tem mówić.

— Co ja? Co mi pan ma do zarzucenia? — rzekła Halszka dość wyniośle.

Dołęga sam na razie nie wiedział, co ma jej do zarzucenia. Sprawę szos pierwsza Halszka wzięła do serca; że nie może się zapalać do małżeństwa brata z nieznaną panną, należąca do nieznanym sfery, to także zrozumiałe; o zachowaniu się zaś w czasie zjazdu gości trudno, i nawet śmiesznie było-by wspominać. To też Jan szedł ze spuszczoną głową, milcząc przez chwilę.

— Więc niech mi pan powie, — powtórzyła księżniczka dużo większym głosem.

— Nietylko nie mam żadnego prawa czynić pani wyrzutów, ale był-bym niewdzięczny za dawniejsze czasy, kiedy mi pani okazywała dużo... zaufania, a nawet pomocy. Tak tylko ogólne niepowodzenie moich projektów i pragnień popchnęło mnie do goryczy. A przytem, gdy się kogo tak... ceni, jak ja panią, chciało-by się, aby ta osoba dzieliła główne przekonania, aby była jednej ze mną wiary... Ale to jest dzika pretensya.

Halszka z wrodzoną kobietom muzykalnością pochwyciła rzeczy niedopowiedziane w mowie Jana: i nacisk na słowo „dawniejsze“, i wahający się powrót do słowa „zaufanie“; zrozumiała, że nietylko zawody publiczne dręczą Dołęgę, ale i sercowe. Że zaś była równie śmiała, jak przychylna Janowi, nie zawahała się rzec:

— Więc widzi pan, że niema za co na mnie się gniewać. A dawniejsze czasy trwają i teraz... chyba że pan nie lubi, jak się trochę bawię i dokazuję; uważałam, że pan był smutny pośród gości. Ale to trudno, taka już jestem i trzeba mnie taką lubić, albo nie lubić wcale.

Zwróciła do Jana twarz, pozbawioną już wszelkiej grozy, owszem, pogodną, ale przez uśmiech przebijał nastrój uroczystszy, i wyraz tej twarzy był nie do opisania: jakiś wstyd dziewiczy drgał w powiekach, nie spuszczonej jednak, i płynęła z pobladłego lica powaga chwil stanowczych. Usta nieruchome, roztulone trochę, oczekiwały czegoś, cierpienia, czy rozkoszy.



Gdy Jan wziął ją za rękę, spuściła oczy, a on, zatrzymawszy się w przechadzce, mówił zmienionym głosem:

— Pani! Gdyby mi było wolno, powiedział-bym, co czuję, ale nie wolno mi. Powiem tylko, że mi się pani wydaje najpiękniejszą z dusz, które drzemią w murach takich zamków, w zapachach takich ogrodów. Chciał-bym znajdować się na drodze pani, aby na nią patrzeć i usłyszeć czasem jej głos, kiedy będę w zwątpieniu. I teraz dziękuję za dobroć, za współczucie...

Podniósł do ust jej rękę — i szli dalej, owionięci lekkim powietrzem zachodu, kojącem rozkosznie po dniu upalnym. Pochyły promień oblał ich czasem rumieńcem, to znów zielony cień drzew rzucił im bladeś na twarze. Szli, nie patrząc na siebie, zamieniając rzadko parę słów o tem, że już późno, lub że Dołęga wyjeżdża jutro bardzo rano. Jakiś dreszcz ich przejmował od zachodniego chłodu, od słów niewypowiedzianych... i nie wiedzieli oboje, czy szczęśliwi są, czy cierpią. Bo pierwsze zdarzenia miłości są tak blade wobec ogromu pragnienia, że ściskają pierś, niby zmore.

Nagle zadudnił w zamku głos miedzianego bębna, zwołującego na wieczerzę, i rozległ się echem po parku. Halszka krzyknęła głucho, jakby ten codzienny, znajomy odgłos był czemś nadzwyczaj niespodziewanem dzisiaj; przycisnęła ręce do piersi, błyskawicznie obejrzała się dokoła i, zbliżywszy się do Jana tak, że aż mu twarz owiała swem ciepłem, rzekła mu prosto w twarz:

— Do widzenia, mój.....!

A Dołęga spojrział jak jastrząb w rozmiłowane oczy dziewczyny i, przygarnawszy ją do siebie, ucałował gorąco te oczy.

Halszka przechyliła w tył głowę z przymkniętymi oczyma, wyprężyła silnie ramiona, ocknęła się i pobięła jak sarna do zamku.

### XXXIII.

Krótką noc letnią już bladła i świt wdierał się przez nieosłonięte części okien do pokoju, w którym spoczywał Dołęga. Miał wstać bardzo rano, ale dotychczas nie próbował nawet zasnąć: wypadki poprzedniego dnia utrzymywały go w nieustannej vibracyi. We wszystkie struny jego duszy uderzono naraz potężnie i zawieszono dzwiczącą jego duszę w powietrzu; nad zgrzytami i fałszywymi akordami

górował jeden ton czysty, ukochany — i głużył inne. To pożegnanie z Halszką przeczarowało wszystkie wrażenia i zawody, było zarazem czemś tak dla Jana niespodziewanem, że wątpić zaczął, czy jego uprzednie gorzkie spostrzeżenia nie były wynikami jakiegoś karygodnego pesymizmu.

Podczas wieczerzy zamkowej obawiał się jeszcze, czy nie rozgniewał na siebie księżniczki, widząc ją chmurną i unikającą jego wzroku. Ale po wieczerzy, żegnając się z całą rodziną Zbarazkich, wśród serdecznych objawów sympatii rozróżnił dużo jeszcze cieplejszy, niemal namiętny uścisk dłoni Halszki i ostatni cień usunął się z jaskrawego promienia, który mu spływał na serce. Żegnali go Zbarazcy jak miłego i blizkiego człowieka, więc twardy Dołęga rozrzewnił się, zapominając o swych społecznych urazach do wszystkich pokoleń, do Zbązkiego, do księcia Janusza i Andrzeja, którzy, każdy po swojemu, zapewniali go o przyjaźni. Tylko Reckheim pożegnał go sucho i w milczeniu, jak zwykle. Panna Temira Ostykówna pocałowała go w głowę, księżna Januszowa dała mu na pamiątkę ładny album widoków Waru, fotografowanych przez Amona — i było w tej scenie ostatniej coś tak niby familijnego, że Dołęga, łącząc te wrażenia z cudowną pamiątką rozmowy z Halszką w parku, czuł się przeniesionym w dziedzinę jakiejś wspaniałej, dumnej szczęśliwości. Z tego zawrotu głowy nie ochłonął bynajmniej w nocy, w swoim pokoju. Myślał i godził swe myśli za pomocą specjalnej logiki zakochanych, która w gorących strefach uczucia odstępkuje od swych nieubłaganych prawideł.

Zdobywszy pewny dowód, że kocha go ta jedyna, o której przez dumę tylko zakazywał sobie marzyć, czuł raczej, niż dochodził do wniosku, że światłość go ogarnia, że jasna przyszłość go czeka i wielka moc w niego wstępuje. Ona będzie jego żoną!. To przecie cały świat nowy, którego jeszcze nie miał czasu urządzić, bo nie śmiał go przewidywać. Co za szczęście i jaka potęga! Bo przecie obok ścisłego związku z wielu potężnymi ludźmi — i pieniądze... Wzdrygnął się, gdy o pieniądzach pomyślał, ale natychmiast znalazł mnóstwo argumentów za sobą: nikt nie odmawia pieniędzy, jako zwiększenia swej siły działania... Czy to źle nabyte bogactwo? czy cena marnego czynu? Ona zresztą sama dokona wielu dzieł pięknych i pożytecznych, oparta na jego ramieniu — taka towarzyszka! Niech właśnie ona będzie wielką obywatelką i prawdziwą panią i matką rodu. Któraż zdolniejsza od niej? Której należna większa cześć i miłość?

Począł myśleć bezładnie o szczegółach praktycznych: o tem, gdzie będą mieszkali, o tem, jakby nagle pomnożyć swój osobisty majątek, o przyszłych stosunkach z rodzicami Halszki... bo, że zechcą



oddać mu Halszkę za żonę, o tem nie wątpił: całe ich obejście, pożegnanie, świadczyło o najlepszem usposobieniu. Tej nocy Dołęga nie wątpił o niczem.

Wracał znów myślą do wspomnienia owego pocałunku w alei: widział przed sobą te oczy dobre, a szalone, i bladość tej twarzy, na której migają różowe słońce po przez liście, i czuł zapach włosów jej, niby esencję wszystkich woni książęcego parku w pełnym rozkwicie. Nie dziw, że nigdy Dołęga nie czuł tak blisko siebie równie pięknej kobiety, ale z tego nie zdawał sobie sprawy, że nie mógł jej nawet z innemi porównać, bo była jedyna dla niego, i jedyna sama przez się. Fizyczna jej piękność należała do tych wyjątkowo udanych produktów starych ras i licznych wykwintów, których kształt i wdzięk, choć zbliżone bardzo do klasycznego kanonu, noszą jeszcze coś osobistego, niby podpis wielkiego mistrza.

Dołęga nie mędrkował estetycznie o postaci swej ukochanej, czuł tylko, że głęboko ją kocha i szalenie jej pragnie.

Wśród tej rozkosznej bezsenności drgnął, posłyszawszy naraz ciche kroki na korytarzu, przyległym do pokoju. Ktoś zbliżył się i zatrzymał pod jego drzwiami. Jan, wyjątkowo czujnie nastrojony nerwowo, czuł, że stoi tam ktoś za drzwiami, wahając się, czy ma wejść. Służący miał go obudzić o czwartej, ale zaledwie minęła druga godzina po północy. Ten ktoś przychodzący nie miał powodu skradać się tak cicho i tak długo, jeżeli chciał wejść do pokoju. Czy to nie kobiece kroki?.. Dołęga poczekał jeszcze chwilę, wreszcie zapytał głośno:

— Kto tam?

A potem, sądząc, że zapytaniem spłoszył ode drzwi nocnego gościa, ciekawy niezmiernie, kto nim być mógł, zerwał się z łóżka, uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Podo drzwiami nie było już nikogo, tylko w głębi korytarza dojrzał Jan wysoką postać męską, szybko odalającą się.

— Andrzej! — rzekł do siebie Dołęga.

Powrócił do łóżka i rozmyślał:

— Boi się mnie widocznie... miał mi późnym wieczorem oddać ten list do Hellego — sam o tem zapomniałem.

I z łatwością odgadł walkę wewnętrzną, którą Andrzej tej samej nocy toczył z samym sobą. Była to ostatnia chwila, wymagająca stanowczej osobistej decyzji w sprawie oświadczenia się o Marynię. Czy pójść za głosem serca i sumienia, ożenić się z Hellówną, zacząć

życie czynne i samoistne, wmieszać się w robotę społeczną, do której będzie posiadał wszystkie warunki: rozum, stanowisko i pieniądze? Zdobyć się tylko na postanowienie i zaczerpnąć jeszcze siły w radzie Dołęgi..... Albo: nie czynić gwałtu swej rozpieszczonej, zbyt wrażliwej naturze, pozostać tu, gdzie wygodniej i między swoimi, nie walczyć z rodziną,—nie czynić też przykrości tej biednej Izie...

Kiedy się nad tem namyślił, Dołęga wpadł w gniew, szczególnie przeciw pani Izie.

— Ta go pewno trzyma... Taką babę z armaty-by wystrzelić, a nie dopuszczać jej do poufałości w szanownych rodzinach, choćby była dziesięć razy krewną. Już to Halszka i ja potrafiły ją potraktować u siebie, w domu... Ależ baba i sam Andrzej. Nie chcesz się żenić z Hellówną, toć przecie nie twój obowiązek — nie żęń się, ale pomyśl zawczasu o tem, co czynisz; postępuj jak pan zawsze, a nie noś się z pańska wtedy, gdy już inaczej wyratować nie możesz swej godności. Ej! Licha młodość, liche będzie i życie...

Ostatnie zdarzenie i wynikające z niego uwagi zasepiły nieco Jana, rzuciły też cień na obraz, pełen słońca, któremu przyglądał się od kilku godzin w wyobraźni. Wady, słabości, złe roboty Zbarazkich stanęły mu znowu przed oczyma, ale wyciągał z nich dzisiaj inne wnioski. Żeby świat był doskonały, nie warto-by go naprawiać. Niech-no ja wejść w skład ich rodziny!..

Wstał i zaczął się ubierać. Służba zjawiała się natychmiast, liczniejsza i zabieglawsza tego dnia ze względu na wyjazd gościa i spodziewane napiwki. W sali jadalnej zastał przygotowane śniadanie, i zamiast Andrzeja, którego się trochę spodziewał, list od niego, w tych słowach:

Mój Janku!

Posyłam Ci list do pana Arnolda Hellego, który przeczytaj i oddaj mu z jakimi zechcesz objaśnieniami. Sam Ci tego listu nie oddaję, bo nie mam z czem się chwalić; postąpiłem sobie pospolicie, ale może przezorniej, niż Ci się wydaje. Iść samotnie i przebojem — to nie dla mnie zadanie, a gdybym tego na razie spróbował, z pewnością skręcił-bym kiedyś z drogi i było-by jeszcze gorzej. Do



widzenia w Warszawie, lub w Warze, albo gdzieindziej na szerokim świecie.

Bądź zdrów i dochowaj mi przyjaźni.

Serdecznie twój

Andrzej.

List do Hellego, nie zamknięty, był dobrze ułożony ze względu na cel, jaki miał sprowadzić, to jest — odmowę. Andrzej oświadczał się, ale zaznaczał wyraźnie, że działa w swoim imieniu, bez upoważnienia rodziców. Było to trochę dumnym zadośćuczynieniem, należnym pannie, w formie prośby o jej rękę.

Ponieważ Dołęga z góry przewidywał treść listu, przeczytał go bez zadziwienia, schował do kieszeni, a gdy spostrzegł, że godzina wyjazdu się zbliża, przeszedł do sąsiedniego salonu i otworzył drzwi na wielki taras od strony parku.

Już białe, już upalne, na niższe tylko mgławice i wody rzucając różowe odkosy, wschodziło słońce na rzadki błękit nieba. Dołęga poczuł, że pod drzewami musi jeszcze drzemać dużo nocnej świeżości w bogatej rosie, i zbiegł ze schodów, aby zaczerpnąć w piersi zapas tej krasy na długie może dni rozstania. Jeszcze słońce nie wybiegło ponad zamek i wyniosłe wierzchołki drzew; im dalej postępował Jan, tem głębiej zapadał w tę noc przezroczystą, zieloną, która zalewa stare ogrody o wschodach i zachodach. Ale, tęskna wieczorem, ta zielona noc jest niezmiernie radosna wczesnym rankiem. Zapachy przefiltrowane przez wilgoć, inne są, młodsze niby i rzeświejsze; barwy nie rozkładają się zwartemi plamami, lecz pływają w rozlanem wszędzie zielonawem przezroczu. Chyba że gdzie słońce między drzewami wtargnąwszy na polanę, rzuciło swój blask stanowczy, wyzywając do współzawodnictwa wszystkich kolorystów świata. I wtedy ziemia, omyta w przezroczystej rosie, pod ognistym okiem słońca, przybiera uśmiech swój najpiękniejszy.

Jan doszedł do miejsca, gdzie wczoraj pożegnał Halszkę w alei. Turkawki gruchały wysoko, prawie nad tem miejscem.

— Gdybym był przesądny, — rzekł do siebie Jan, — poczytał-bym to sobie za dobrą wróżbę.

I podniósł głowę w górę, chcąc dostrzedz ptaki między liśćmi. Patrzył długo w te niezmierzone wiązania liści, mieniające się od lekkich podmuchów, od jakichś niewidzialnych gonitw, od wdzierających się wshodnich promieni. I oczy od zapatrzenia zasły mu łzami.

Pomyślał wtedy, że odjeżdża z sercem pełnem obietnic, ale bez żadnych istotnych owoców swej pracy, swych zabiegów. Lecz nie czując już żadnej goryczy w sercu, jeno wielką miłość dla ziemi, dla ludzi i dla Halszki, począł bezmiernie pragnąć szczęścia tej ziemi, tym ludziom i Jej, która była dla niego.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

(C. d. n.)



---

# Zwrot w modernizmie niemieckim.

---

## IV.

### P o w i e s ć.

W tej dziedzinie literatury pięknej nasze zadanie znowu odmiennie się przedstawia, niż w rozpatrywaniu poezji lirycznej i dramatycznej. Tam można było odróżnić i niemal ściśle określić poszczególne etapy wielkiej drogi, prowadzącej od naturalizmu do symbolizmu, tu natomiast widzi się raczej, jak ewolucya sztuki współczesnej wpływa na rozwój romansu, odzwierciedla się w nim, jak dzisiejsza powieść niemiecka jest właśnie wytworem epoki pośredniej, przejściowej, w której są pierwiastki i dawniejszej, i obecnej, i przyszłej poezji. Wyznawców czy dzieł krańcowych kierunków, wzorów niejako tego lub owego zasadniczego nastroju, znajdzie się nie wiele; za to, co krok napotka się dzieła i autorów, składających żywe świadectwo nurtowania w społeczeństwie tych wszystkich kierunków.

I sędzę, że najdobitniejszym dowodem powszechnego poczucia potrzeby ewolucyi w poezyi jest nie sporadyczne pojawienie się modernistycznych liryków lub dramatów, lecz właśnie to mniej widoczne a głębsze przenikanie nowych ideałów u każdego niemal powieściopisarza, w każde jego dzieło. To też zamierzamy w niniejszym artykule dać przegląd dzisiejszego powieściopisarstwa niemieckiego ze szczególną uwagą na jego stosunek do współczesnych kierunków w poezyi, od naturalizmu aż do symbolizmu.

Zaczynamy zaś od dwóch powieści, które, jak żadne inne, dowodzą prawdziwości dopiero co postawionej tezy. Romans historyczny uważany jest za główną dziedzinę poprzedzającej jeszcze epokę naturalizmu sztuki epigonów, tak, jak powieść społeczna uchodzi powszechnie za sam kwiat naturalizmu, czy bezwzględnego realizmu. Bierzemy więc te dwa rodzaje romansu, o formach i charakterze najbardziej utwierdzonym i na nich okażemy, jak i tu płynie szeroką falą nowe życie. To „Loki“ Ludwika Jacobowskiego (ur. 1868, um. 1900), romans z zamierzchłej, bajecznej w mytach zawartej przeszłości germańskiej; to „Twarz Chrystusa“ Maksa Kretzera (ur. 1854), głośnego naturalisty, najgłośniejsza powieść społeczna.

Obca nam i mało znana mitologia germańska utrudnia Polakom zrozumienie i odczucie „Lokiego“; gdyby nie ten wzgląd, powieść należało-by co prędzej uprzystępnić w przekładzie, tyle jest w niej siły plastyki i tyle głębokości i oryginalności. Loki, wychowany w pokoleniu Azów, znienawidzony przez nich, bo według starej przepowiedni ma przynieść zagładę i im, i Baldurowi, bogu światła, od dzieciństwa ma serce przepełnione goryczą, szatańską złością i zawiścią. Jest zły nie z własnej woli, lecz z winy otoczenia, które go karmiło pianą wściekłego wilka. Dorósłszy, szerzy straszliwe spustoszenia, gwałci boginię Freyę, wyrządza psoty i szkody, a zawsze wywołując przestרח, sam szyderczo się śmieje. Bogowie zapóźnie widzą, co sprawili, zapóźnie proszą, grożą, walczą, chcą odwrócić straszne, przepowiedziane losy. Ginie z ręki Lokiego Baldur, a rozszalała dzicz chłopstwa napada królestwo słońca i wiecznej pogody. Na opuszczonym tronie sadowi psa, a pojmanym Azom każe składać hołd zwierzęciu. W tem nadchodzi dziwne zjawisko. Młodzieniec prowadzi za rękę kobietę, a u jej piersi niemowlę: brutalna spisa zraniła jego czoło, znacząc je czerwonym krzyżem. Młodzieniec patrzy z przenikliwą powagą na psa, i zwierzę poskromione czołga się u jego stóp; patrzy na motłoch i zmusza go do ustąpienia; idzie na czele niedobitków Azów, a drogę oświeca cudowna jasność; Loki, przed chwilą pijany tryumfem, krzyczy z przerażeniem: „To syn Baldura! Baldur nie



umarł! Baldur żyje... wieczny, jak ja... silniejszy ode mnie... Baldur syn słońca!.. biada mi!"

Nie potrzeba było nawet ilustracji, w których Baldur dziwnie przypomina Chrystusa, a Loki Judasza, aby uległo się wrażeniu, że w tej mitologicznej powieści zawarty jest symbol największej powagi. Loki to duch przeczenia, duch niepokoju wewnętrznego, złości wykarminionej przez świat i przez ludzi potęgowanej, duch zniszczenia i zgłady; Baldur to pogoda i światło, to zdrowie i szczęście, to harmonia i zgoda. A symbol staje się jeszcze charakterystyczniejszym wobec tego, że poeta, choć żyd, wprowadzamy motyw Krzyża, jako zbawcy i znamienia zwycięstwa światła nad ciemnością, łagodnej powagi nad dzikiem szaleństwem, ładu nad anarchią.

Lecz jeszcze większą niespodzianką jest skłonność do symboliki mglistej i tajemniczej u Maksa Kretzera (podobnie, jak Jacobowski, na polskiej ziemi urodzonego). Bo autor ten jest przecież najrealistyczniejszym ze wszystkich współczesnych powieściopisarzy niemieckich, jest niemieckim Zolą, najcharakterystyczniejszym przedstawicielem bezwzględego realizmu, odtwarzającego przedewszystkiem społeczne stosunki dzisiejszego życia. W jego powieściach widzi się zawsze współczesny Berlin, Berlin bankierów i fabrykantów, wynędzniałych robotników, wałęsających się ulicznicy, Berlin, w którym obrały sobie siedlisko krzywda ludzka, i rozpusta, i nędza, i upodlenie. W tym obrazie, malowanym z absolutną ścisłością, na podstawie zmysłowej obserwacji, niema chyba miejsca dla marzeń i ułudy, symbolów i wizji. A jednocześnie wśród tego tłumu umiarkujących z głodu dzieci, pijanych robotników, sprzedających się kobiet, gwałconych dziewcząt, lubieżnych bogaczy, obłudnych pastorów, ukazuje się Chrystus. Widzą tę twarz, cichą, majestatyczną, pełną niemego wyrzutu wobec jednych, serdecznego współczucia dla drugich, widzą zrazu tylko wierzący, lecz za chwilę i szydercy, i obojętni, widzą wśród ścian bogatego salonu, w dusznej izbie szynkowni, w biały dzień, i wtedy, gdy przy świetle latarni odbywa się orgia hańby i zbrodni... Sceny takie, jak pogrzeb biednego dziecka — po mistrzowsku odtworzony w obrazie Skarbiny — lub brutalny gwałt, zadany robotnicy przez lubieżnego fabrykanta, pozostaną na zawsze w pamięci i wyobraźni. Nigdzie nie kojarzy się tak wspaniale krańcowy materializm z symbolizmem.

---

Nie zamierzamy dać na tem miejscu dokładnego przeglądu dzisiejszego powieściopisarstwa niemieckiego, bo, jak w poprzednich rozdziałach, tak i w tym, zajmujemy się tylko modernistyczną literaturą. A więc pomijamy i rozpowszechnioną w dziale powieści t. zw. „Unterhaltungs-Litteratur“, z arcyzmem albo nic, albo nie wiele mającą wspólnego, a nawet w lepszych twórcach (np. powieści pań Junghaus, Schubin, Boy-Ed, oraz autorów Heiberg, Zobeltitz, Lindau itd.), bezstylową i bezpostaciową. Z innych powodów postawi się poza nawias Fryd. Spielhagena (ur. 1829), weterana niemieckiego romansu, niegdyś znakomitego epika-realisty, doskonałego fabulisty, bystrego obserwatora (głośny po r. 1860 romans „Zagadkowe natury“), dziś naturalnym biegiem ludzkich spraw epigona własnej twórczości. Ani nawet Heyse Paweł (ur. 1830), jego rówieśnik, nie zmieścił-by się w ramach naszego obrazu; ten szczęśliwy wnuk Goethego, wnuk nie z krwi, lecz z usposobienia, zachował do późnej starości olimpijską pogodę życia, harmonijną zmysłowość i bujną barwność, ale jego sztuka płynęła i płynie łożyskiem wskazanem jej przez poetę, zdala od dróg innych, bezpieczna od wszelkich burz i niepokoju, jakie zmieniają wygląd reszty świata.

Natomiast szkoda, że śmierć wyrwała przed dwoma laty (1898) z grona żyjących, Teodora Fontane'a. Jak pięknie można-by w nim przedstawić szlachetny realizm, jak niezbitego dostarczyły-by jego powieści argumentu na stwierdzenie, że w dzisiejszych czasach, bądź co bądź, trwalszemi owocami może się pochlubić realistyczna, niż symboliczna sztuka; jak łatwo było-by wreszcie wykazać, ile mu zawdzięcza obecna powieść. Z francuskiej rodziny pochodząc, miał miarę i wyrównanie większe, niż się spotyka zazwyczaj u germańskich szczerpów, miał delikatny a bystry *esprit*, nie narzucający się nigdy, nie popisujący się dowcipem, nie wpadający też w patos. To też jego powieści sentymentalnym czytelnikom wydawały się zimnemi, obłudnym moralistom lekkomyślnemi. Ale nieuprzedzony a wykształcony ogół podziwiał w nim spokojne doświadczenie, głęboką znajomość i zewnętrzne życie ludzkiego, i tajników ludzkiej duszy, a nie na ostatnim planie i wolną od egzaltacji miłość rodzinnej ziemi, Brandenburgii. Nie „Wilhelm Meister“ Goethego był jego wzorem, ten cudowny symbolistyczny „Bildungs Roman“ uwielbiony przez dawniejszych i dzisiejszych romantyków, ale raczej „Powinowactwa



z wyboru“, niedoścignione i dziś w głębokiem ujęciu psychologicznego motywu.

Lecz chociaż umarł, nie przestał być Fontane ojcem dzisiejszego realizmu. Wszystko, co w niemieckiej realistycznej powieści jest pięknem, prawdziwym, znaczącem, wszystko wywodzi się od Teodora Fontane'a. Zdala od niego stoi i naturalizm, i symbolizm, a nie przypadkowo najgwałtowniejsi, a najrozumniejsi przeciwnicy symbolizmu wskazują na tego mistrza, jako na drogowskaz rzetelnej sztuki.

Nie jest nią naturalizm. W Niemczech objawił się on w powieści i słabo i nielicznie, i prawie nigdy nie tworzył według bezwzględnego kanonu francuskich czy rosyjskich pisarzy. Ogłoszony w r. 1877 „L'assamoir“ Zoli wywołał wprawdzie szalony entuzjazm wśród młodej generacji, tu i owdzie także i naśladownictwa, ale wpływ nie był ani silnym, ani trwałym.

Że Maks Kretzer nie był w naturalizmie zupełnie „prawowiernym“ — o tem już wiemy. Inni zaś osiągnęli chwilowy sukces, wprowadzili ogólny ruch w literaturze, lecz na polu romansu nie stworzyli ani jednego dzieła, które-by było „Pieśnią nad pieśniami“ naturalizmu. Może dlatego, że brakło im zdolności tworzenia wielkich, organicznie zrosłych, całości, że ich energia i rzutkość była większą, niż wytrwałość i zdolność skupienia się; Jan Schlaf (ur. 1862 r.) i tu, jak w dziedzinie dramatu, był pionierem. Jego nowelle „Im Dingsda“ zdumiewały bezwzględną prawdą obserwacji, ostrą wyrazistością konturów, naturalnością dyalogu, lecz właśnie bezwarunkowy naturalizm zmniejszył ich artystyczne i historyczne znaczenie; w przyrodzie jest bezład, chaotyczność, czasem zewnętrzna bezmyślność, sztuka jednak musi tworzyć w skupieniu, łączyć przemijające charakterystyczne momenty w wyższą całość, — wszak tak jest nawet u Zoli, którego ci i owi uważają wprost za idealistę, wskutek idealnego podkładu jego naturalistycznych powieści. Tak samo pomściło się na M. G. Conradzie (ur. 1846) to umyślne naśladowanie chaotyczności realnego życia, układanie momentów obok siebie, bez łączenia ich. I dlatego obaj ci pisarze mają nazwisko, jako agitatorzy naturalizmu, lecz nie jako twórcy.

Inni posiadali więcej daru kompozycji, zrozumieli, że sztuka, chcąc być odzwierciedleniem rzeczywistości, musi jednak ulegać technicznym warunkom. To też, choć mniejszym od poprzednich obdarzeni talentem, choć mniej od nich głośni, rzucili na księgarski targ tomy, zajmujące nie tylko dla historyka i patologa literatury, lecz i dla zwykłego czytelnika. Jedno zwłaszcza nazwisko chciałbym wydobyć z szarego tła i zapewne po raz pierwszy w polskiem piśmie je wy-

mienić. Heinz Tovote (ur. 1861) należy bowiem do tych niezmiernie ciekawych ludzi, którzy są czemś innym, niż się wydają i wydawać chcą. Czytając jego powieści, widzi się zrazu niemal orgię naturalizmu; jeden obraz po drugim, kartka za kartką, jest jakby paradygmatem naturalistycznego świata: mętne szumowiny berlińskiego życia, podłość i szpetność, stek wszelakich wstrętnych scen i figur, duszna atmosfera szynkowni i domów publicznych, bezecne wyrafowanie kokot. A jednak wpatrzmy się głębiej, zajrzyjmy poza te dekoracje, a jeśli nie zobaczymy, to przynajmniej przecujemy świat inny. Nie będzie to wymuszony obiektywizm bezwzględnego realisty, nie pasya przewracania moralnych i fizycznych śmietników—ale tłumione i jakby wstydzące się ludzkiego oka, nerwowe usposobienie romantyka, który pragnie uchodzić za naturalistę. W technice objawi się to nieraz (zwłaszcza w nowelach, jak „Gorąca krew“, „Czerwona latarnia“), jako umyślne kontrastowanie, obdzielanie jednych sympatją, drugich nienawiścią, w ogólnym tonie znowu jako serdeczny, prawie sentymentalny nastrój uszlachetniania szpetności i zdrożności. Już nie Zola jest wzorem, lecz Guy de Maupassant, w Niemczech tak wpływowy, jak w żadnym innym kraju (dziś jeszcze wychodzi doskonały przekład wszystkich jego dzieł pióra Jerzego von Ompteda).

---

Nie można, oczywiście, ustanowić granicy pomiędzy naturalizmem a realizmem. I w teorii, i w praktyce, oba te pojęcia, w istocie biegunowo odmienne, mieszają się i bywają zamieniane. Lecz za to łatwo odgraniczyć realizm od tej literatury, która umyślnie i wyraźnie kroczy pod flagą naturalizmu, głosi się jego wykonawczynią i przewodniczką.

W tym realistycznym obozie znajdujemy niemal wszystkich i wszystko, co tylko w powieści niemieckiej ma rzetelną wartość na dziś i na później. Ścisły związek z rzeczywistym światem jest tylko jednym zamięciem, drugim jest owa mimowolna, na zewnątrz niewystępująca, lecz głęboko w ukryciu tkwiąca, służba idei, która właśnie odróżnia martwy naturalizm od najnowszej sztuki.

Wspaniałym przedstawicielem tej powieści jest Jerzy von Ompteda (urodzony w 1863 roku), u nas, niestety, zupełnie nieznany.



On wprowadza czytelników w świat prawdziwej epopei prozą, on jest godnym spadkobiercą znakomitego Fontane'a. Jest nawet lepszym od tamtego: Fontane, wskutek francuskiej krwi, był światowym sceptykiem, u Omptedy jest szczerze, serdeczne uczucie. Sam szlachcic starodawnego rodu, w powieściach (zwłaszcza „Sylwester Geyer“ i „Eysen“, tworzących razem cykl „Niemieckiej szlachty koło roku 1900“), przedstawia najzupełniejszy obraz tych sfer w dzisiejszym niemieckim ustroju społecznym i politycznym, bądź co bądź, tak niesłychanie znaczących. Przedstawia z dużym poczuciem godności, nawet wyższości, z żywą miłością, ale bez dumy, nadewszystko bez pochlebstwa. Jego stanowisko, to te piękne słowa Goethego: „Coś po ojcach odziedziczył, to pozyskaj, abyś posiadał“. Szlachta ma prawo do roli przodowniczej, lecz tylko wtedy, jeżeli pilnie spełniać będzie obowiązki, i będzie arystokracją nie tylko z rodu, ale i z pracy społecznej. Może takie stanowisko jest już anachronizmem, może utopią, ale nikt nie odmówi mu subiektywnej racji, a przedmiotowej szlachetności.

Lecz nas obchodzi przedewszystkiem Ompteda jako artysta. Jakim jest, pokaże choćby powierzchowny rozbiór ostatniego jego romansu: „Eysen“, którego nie wahamy się nazwać arcydziełem. Nie losy jednostki, nie charakter indywiduum jest jego przedmiotem, lecz losy i charakter całej rodziny, która, zachowując wszędzie indywidualność, jest znakomitą przedstawicielką całej „szlachty niemieckiej około roku 1900“. Jak w wielkim eposie widzi się tę szeroko rozgałęzioną rodzinę, zajmującą rozmaite szczeble drabiny społecznej, od ministra i generała, aż do kupca i aktora; niejako zamknięta w sobie, lecz zostaje w żywym związku z teraźniejszym światem, po części dobrowolnym, po części koniecznością wymuszonym. Łącznikiem pomiędzy poszczególnymi ogniwami jest poczucie wspólności familijnej i rasowej, symbolicznie objawiające się w peryodycznych zjazdach. I oto autor rzuca tych ludzi w wir życia, w każdej chwili panując nad różnorodną akcją powieściową, i opowiada, jak walczą i jak giną, jak kształcą rasowość i jak się wyradzają, jak wybijają się na wierzch i jak toną, jak kostnieją i jak się modernizują. Co Zola zamierzał uczynić w całym cyklu grubych tomów, tego niemiecki autor dokonał w dwóch, dokonał bez jaskrawości zewnętrznych motywów, z większą powagą i szlachetnością. Dodajmy jeszcze: tego dokonał, mając lat trzydzieści sześć. Albo Ompteda doszedł już do zenitu, albo nieba obdarzyły go geniuszem...

W rozzummem trzymaniu się i w powieści tej sfery społecznej, z którą się w życiu jest najściślej związanym, tkwi siła dzisiejszej niemieckiej literatury powieściowej. Zdaje mi się, że takiej — si t

venia verbo — specyjalizacy niema obecnie nigdzie; tylko tuzinkowi autorowie piszą dziś romans z życia robotników fabrycznych jutro znowu z salonów najwyższych kół dworskich, potem z tą samą nieznanomością stosunków powieść, osnutą na tle hulaszczego życia cyganeryi artystycznej. Prawdziwi poeci tworzą tylko w obrębie własnego zmysłowego i idealnego widnokregu. Jeżeli taka bezwiedna metoda ma niebezpieczeństwa, to pokona je wyższa zdolność, korzyść zaś jest wielka: takie powieści mają wewnętrzną prawdę, nie zaś jaskrawe tylko jej pozory: jako dzieła sztuki, są wytrawne, jako obrazy społeczne — autentyczne.

Z tego powodu niespodziewanie w powieści doczeka się rehabilitacyi pisarz, o którym w dziale, omawiającym dramat, sąd wypadł nieprzychylnie. Gdyby nie ogromna teatralna zręczność Hermana Sudermanna, można-by stanowczo twierdzić, że urodził się powieściopisarzem, że tylko chęć łatwiejszego moralnego i materyalnego sukcesu pchnęła go w objęcia sceny. Argumentu za tem paradoksalnem twierdzeniem dostarczy i najnowszy dramat: „Sobótki“, nieznanym nam jeszcze, gdyśmy pisali drugą część naszej pracy, dramat, w którym autor zmarnował świetny powieściowy motyw. A zresztą wszak są dawniejsze jego romanse, one będą świadczyć o wielkim epickim talencie.

Wprawdzie Polak nieraz znajdzie na kartach powieści Sudermanna wyraz namiętnego uprzedzenia narodowego, wprawdzie w „Katzensteg“ ta nieprzychylność dochodzi aż do namiętej nienawiści i niesprawiedliwości; lecz, przewyciężywszy to niemile wrażenie, odczujemy tchnienie pruskiej wsi, świeże i orzeźwiające. Jak Ompteda niemieckich karmazynów, tak Sudermann najlepiej zna i najgoręcej kocha ludność wschodnio-pruskiej wsi, zarówno tę, która w szlacheckich dworach mieszka, jak i tę, która nędzny pędzi żywot w chatach. W najwydatniejszym i najgłośniejszym utworze: „Kuma troska“, rodzimy realizm łączy się harmonijnie z symbolizmem, tem właściwszym tutaj, zważywszy, że lud wierzeniom i zabobonom nadaje zmyśloną postać. Jak u Kretzera twarz Chrystusa towarzyszy wszystkim sprawom ludzkim, pocieszając jednych, strasząc drugich, tak u Sudermanna widmo troski idzie krok w krok za człowiekiem, a indywidualne losy jednostki nabierają ogólniejszego znaczenia.

Dzielnie wobec tych obu męskich talentów trzyma się kobieta, dziś z szacunkiem wymieniana pomiędzy pierwszymi autorami, przed czterema laty jeszcze nikomu nieznaną. A jest to tem bardziej godne uwagi, że właśnie w Niemczech, mimo ogromnej liczby kobiet piszących, były one w literaturze bardzo zdyskredytowane. Reprezentowały bowiem zazwyczaj dwa typy: emancypantki przesadnej i ostrej,



lub sentymentalno - ograniczonej Niemki. Klara Viebig jest zupełnie odmienną. Nie zatracając kobiecości, nie myśląc o teoriach równouprawnienia w praktyce, męską siłą talentu staje w jednym szeregu z najpierwszemi talentami mężczyzn.

Jak Ompteda i Sudermann, czerpie ze źródła, płynącego w najbliższym jej sąsiedztwie. A że urodziła się i żyła dłuższy czas w kącie ziemi pomiędzy Mozelą, Renem a belgijską granicą, u stóp gór Eifel, potem zaś, wyszedłszy za mąż, przebywała wśród towarzystwa berlińskich literatów i księgarzów, więc jej powieści i nowele w tych dwóch idą kierunkach. W ludowym („Dzieci Eifel“, „Przed poranną rosą“, „Wieś kobiet“) mają niezmiernie silne zacięcie realistyczne, zapach rodzimej gleby, świeżość, czasem nawet brutalność charakterów, zwłaszcza ostatni z wymienionych romansów jest ostatnim wyrazem tej strony literackiego talentu p. Viebig. W gminie Eifelschmitt emigrują wszyscy zdolni do pracy mężczyźni do fabryk na zarobek, a tylko dwa razy do roku wracają na kilka dni. Te szalone dni wspólnego pożycia mężów z żonami, parobków z dziewczętami, rodziców z dziećmi, hulaszczą zabawą, w której każdy gwałtem przytłumia pamięć o blizkiej rozłące — to oddane jest z niesłychaną plastyką. W środku tej akcji zaś jest jeden z nielicznych pozostałych mężczyzn, Pittchen, człowiek zdolny, ale słabego charakteru. Jak ten pracowity robotnik stacza się coraz niżej, popada w zbrodniczość, aby zadowolnić żądną jaskrawego zbytku żonę, jak fałszuje pieniądze, aby tylko żona, którą namiętnie kocha, nie sprzedawała się bogatszym od niego — to stanowi właściwą akcję powieści. Żaden ze współczesnych autorów niemieckich nie przedstawił z taką wyrazistością bez pruderyi i bez lubowania się w brudzie tajemniczej a groźnej potęgi pierwotnych ludzkich instynktów.

Lecz równolegle z temi powieściami wychodzą z pod tego pracowitego pióra romanse ze sfer literackiego świata berlińskiego. Może nie tak oryginalne, jak tamte, może jednak nie mniej samodzielne. Zmienia się, oczywiście, styl. Już nie jaskrawe barwy, śmiałe linie, zamaszyste kontury; ten świat trzeba przedstawić pędzlem delikatniejszym, w barwach przytłumionych, złożonych. Ale psychologiczna głębookość, powaga prawdy, unikanie wszelkiej sensacyjności — pozostały te same. Ostatnia powieść wreszcie, którą dopiero co przeczytaliśmy („Powszedni chleb“), wprowadza nas w świat tak bliski nam zewnątrz, a tak obcy, i jest chyba pierwszą próbą wglądnięcia w duszę domowej służby, bo przecież i kucharka, lub pokojówka, ma duszę, chociaż wielu z nas na to nie zważa. Czem powieści Jerzego

Omptedy są w stosunku do szlachty, tem ten „Powszedni chleb“ jest wobec służby domowej: to nowożytna epopeja, tylko o wiele smutniejsza.

---

W urodzie tak licznym i tak w materyalną i myślową kulturę zasobnym, jak Niemcy, literatura powieściowa rozlewa się szerokiem morzem. To też nawet pominąwszy zupełnie trzeciorzędnych autorów, musi się wypisywać dużo nazwisk, zwłaszcza, gdy, jak w naszym wypadku, po raz pierwszy w tem piśmie mówi się o tym przedmiocie. Największy dar kompozycyi nie pomoże tutaj; chcąc nie chcąc, musi się rozbić całość na szereg sylwetek, związanych tylko wspólnością znaczącego zwrotu, dokonywującego się w modernizmie niemieckim.

Jeżeli nie starszeństwo ma decydować, lecz siła talentu, to na czele szeregu pisarzy, stojących tuż obok znanych już, najznakomitszych, trzeba postawić Fr. Ferd. Heitmüllera (urodzonego w roku 1864). Dwa tomy nowel („Tampete“ i „Skarb w niebie“) wystarczyły mu do udowodnienia, że, mając świetny talent realistyczny, sięga nie mniej śmiało a szczęśliwie i poza zakres bezpośredniej obserwacji zmysłowej. Dusza ludzka żyje w niej całą pełnią, a poeta ze szczególną miłością zatrzymuje się właśnie przy tych jej poruszeniach i objawach, które prawowierny naturalizm ośmieszał, jako fantasmagorye, romantyczne brednie. Jest w więzieniu morderca: przed laty zabił wiarołąmną żonę, schwyconą na gorącym uczynku. Łaska monarchy zamieniła mu karę śmierci na dożywotnie więzienie. Tu zachowuje się wzorowo i żyje długie lata bez związku ze światem. Tylko jedno pragnienie pożera go dniem i nocą. Jako ślusarz z zawodu, przed dokonaniem zbrodniczego czynu czytał w gazetach o wynalazku kolei żelaznych. Teraz wciąż nad tem przemyśliwa: jak też taka kolej wygląda? czy ludzie nią jeżdżą? czy to nie była bajka? Gdyby tak mógł ją zobaczyć, przejechać się! Pragnienie się spełnia. Ślusarz, przy sposobności jakiegoś uroczystego wydarzenia, otrzymuje ulaskawienie. Jest wolny, a kapelan więzienny, który lubił go bardzo, towarzyszy mu w podróży do odległego o kilka godzin miasta. Opis wrażeń jazdy, dla dzisiejszych ludzi tak zwyczajnej, dla tego starca, złamanego kilkudziesięcioletniem więzieniem, tak cudow-



nej — te kartki jaśnieją prawdziwą pięknnością, subtelnym wdziękiem, i są istotnie małym arcydziełem. Radość zabija słuszarza, w gorące przedśmiertnej marzy jeszcze o kolei. Albo inna nowela z drugiego tomu. Czy nie jest to charakterystycznym, że dzisiejsza literatura unika bardzo starannie przedstawiania jakiegokolwiek ewolucji w charakterze osób, a pojmuje go natomiast jako niezmienny, nie ulegający żadnym przemianom. Heitmüller ma odwagę pokazać, jak człowiek w samej istocie swych pragnień, życzeń, etycznej wartości ulega ewolucji. Oto matka dąży do chorego dziecka; życzy sobie jego śmierci, bo póki to dziecko, owoc nieuświęconej ślubem miłości, żyje, jej kochanek się z nią nie ożeni. I teraz dopiero poeta podejmuje się trudnego, a wdzięcznego zadania: w tej matce powoli, bardzo powoli budzi się szlachetne uczucie macierzyńskie, ona już nie nienawidzi dziecka, nie jest obojętną, lecz coraz silniej łączy się do niego, coraz goręcej prosi Boga o zdrowie dla tej dzieciny, wyrzeka się własnego szczęścia, a raczej widzi je teraz nie w pożyciu z egoistycznym kochankiem, lecz w pielęgnowaniu i wychowywaniu maleństwa. Tak szczerze poetycznych obrazków nie widziało się w epoce wszechwładztwa naturalizmu.

U młodych autorów, jak Heitmüller sztuka waha się jeszcze pomiędzy sprzecznymi nastrojami i stąd pochodzi niejednorodność i brak harmonii w tonie. U starszych, dojrzałych i spokojniejszych, ów zwrot w niemieckim modernizmie, albo wcale się nie pojawia, albo występuje wyraźniej z większą ekspresją, jest bardziej zdecydowanym. Liczba „nawróconych“, czy też „zbiegów“ jest wprost ogromna, a jeśli najświeższe idee nęcą wielu tą świeżością tylko, to jednak niesprawiedliwym byłoby widzieć w tym zwrocie jedynie modę, owczy popęd naśladowania. Feliks Holländer np., napewno odbył tę zmianę szczerze i z przekonaniem. I on był niegdyś filarem naturalizmu i na tej drodze zbierał wawrzyny i — pieniądze. W głośnej, niemal rewolucyjnej powieści „Sturmwind im Westen“ odtworzył z śmiałym, zuchwałym naturalizmem współczesne zepsucie Berlina, wywołując tu poklask i fanatyczne uwielbienie, tam gwałtowne protesty i nienawiść. Lecz nie minęło kilku lat, a ten sam autor odsłonił inne oblicze. Jego „Ostatnie szczęście“ jest powieścią, jaka mogła powstać tylko po przełamaniu bezwzględności panowania naturalizmu. Bohater sam opowiada swe losy, a ta przestarzała forma, ulubiona w epoce romantyków, popularna jednak i za dni t. zw. psychologicznego romansu, kryje w sobie treść zbliżoną nastrojem nie do szkoły Bourgeta, lecz raczej do stylu „Wilhelma Maistra“. Psychologiczny romans zagłębiał się w analizowanie najdrobniejszych szczegółów, wprawił w zdumienie (lub w znudzenie) subtelną drobiazgowością obser-

wacy, lecz brakowało mu śmielszych, swobodniejszych linii, rozmachu i wielkości w kompozycji. Miała to natomiast powieść z epoki romantyzmu i ma to dzisiejsza neo-romantyczna powieść. Trzy osoby, jak u Holländera, zwykła, powszednia historyja miłosna, ale ile w tem wielkości konturów, ile głębokości nastrojów! Błyskawiczny aparat fotograficzny funkcjonuje i tutaj, lecz medyum, przez które przechodzi wynik obserwacji, nie jest to rozum analityka, jak w romansie psychologicznym, tylko serce i uczucie niesłychanie wrażliwe, czułe na każdy powiew.

Już się nie goni za uludą obiektywizmu, śmiało podnosi się hasło subiektywizmu, a tworzenie polega teraz na wydobyciu z subiektywizmu jaknajwiększej pełni piękna i poezyi. Czytając to proste opowiadanie o mężu obdarzonym wrażliwą naturą artystyczną, o jego pospolitej żonie, zabijającej go nierozumną miłością i nierozumną nienawiścią, o jego kochance, jego promiennem, uroczym prostym i skromnym „ostatniem szczęściu“, porzuca się stanowisko chłodnego obserwatora, czyta się nie tylko wzrokiem i rozumem, czyta się sercem, które drży w takt nastroju tragicznego pamiętnika.

Ta forma dzisiaj rozpowszechnia się coraz więcej, bo widocznie najlepiej odpowiada subiektywnej poezyi modernistycznej. Zwłaszcza kobiety autorki mają się jej chętnie, a z powodzeniem. Zrezygnowawszy z góry z wszechstronności i obiektywności, usiłują dziś dać literaturze to, co jej dać może tylko kobieta, t. j. kobietę, jej duszę, jej serce. Po wielu śmiesznościach emancypacyjnych dążeń w życiu i w literaturze, kobieta niemiecka poczyna dziś znowu odgrywać rolę nie współzawodniczki mężczyzny, lecz kobiety. I w tem jest owa „powrotna fala“; wszak w niemieckim romantyzmie z przed stu lat kobieta wywierała tak ogromny wpływ na twórczość poezyi i w sztuce, nie wychodząc z zakresu swojej płci. Ale ta jest różnica, że gdy romantyzm wnet przeszedł w t. zw. Młode Niemcy z ich emancypacyjnymi dążnościami, to za dni naszych jesteśmy świadkami odmiennego procesu: po epoce rywalizowania z drugą płcią, kobieta cofa się w głąb własnego serca. Zapewne i jej jest z tem lepiej, a stanowczo już zyskuje na tem literatura niemiecka. Może wreszcie doczeka się odsłonięcia wszystkich tajników kobiecej psychy, których mężczyzna nigdy nie zgłębi.

Już w ciągu naszego rozpatrywania powieści spotykaliśmy nieraz kobiety autorki, rehabilitujące nadwreżoną dobrą sławę niemieckich powieściopisarek. Ich liczbę powiększy p. Gabryela Reuter (ur. 1859, mieszka w Berlinie), u której zwrot w modernizmie dokonał się bardziej stanowczo niż u innych. Przed kilku laty używała olbrzymi rozgłos książka, która w formie bardzo realistycznej



powieści („Z dobrej rodziny. Historya cierpień panny“), rzuciła społeczeństwu silne oskarżenie. Odtąd autorka dojrzewała nie w odosobnieniu, ale w żywym związku ze współczesnym światem. A z pod jej pióra wychodziły powieści coraz głębsze, coraz mniej zasklepione w formułkach naturalizmu, coraz samodzielniej odtwarzające objawy duszy kobiecej (np. w „Pani Bürgelin i jej synach“, przepyszna postać matki rozumnej i szlachetnej, lecz niesłychanie despotycznej). Jaką drogę duchową uszła p. Reuter, widzi się jasno w ostatniej jej powieści „Ellen Weiden“, w książce, która mogła się pojawić albo przed stu laty, albo dzisiaj, tak jest romantyczna w założeniu, w treści i stylu. Znowu pamiętnik, ta ulubiona forma poetów subiektywnych świadomie i z dobrej woli, znowu pamiętnik kobiety z usunięciem na drugi plan duszy mężczyzny, jakby z zamiarem pozostawienia jej badania samym mężczyznom. Lecz zamiast drobiazgowych, mikroskopowych badań zwyczajnej albo też patologicznej natury kobiecej, jakież romantyczny rozmach uczucia, jakaż łatwość wyobraźni wreszcie jakie pragnienie swobody, absolutnej afirmacji indywidualności kobiecej! Głośna, przez jednych nad miarę wielbiona, przez innych nad słusność potępiana „Lucynda“, przewodzący romantyków, Fryderyka Schlegla, jest starszą siostrzycą tej „Ellen von der Weiden“, tylko tamtą książkę pisał mężczyzna, skłonny do niezdrowej erotyki, tę kobietę, usposobioną do marzycielstwa Novalisów i Kleiśtów. Realista powie, że tytułowa bohaterka jest w dzisiejszych czasach niemożliwa, że ta rusalka leśna, szczęśliwa na łonie natury, wśród opromienionych słońcem szczytów gór, tajemniczych gęstw i szemrzących strumyków -- jest postacią bajeczną, ale nie rzeczywistą (autorka sama mówi o nazwisku swej bohaterki „Ellen von der Weiden“ — jak to brzmi, niby stara romanca). Moralista oburzy się, widząc, jak ta Rautendelain powieściowa, zostawszy żoną chłodnego filistra, łamie wnet wiarę małżeńską, bez skrupułu, bez tłumaczenia się nawet. I jeden i drugi mają słusność — ze swego stanowiska. Ale pierwszy może pojmie, że ta rusalka jest poetycznym symbolem tylu tajemniczych popędów kobiecej natury, skłonnej do egzaltacji, do rozmarzenia i wybujałej wyobraźni; moralista zaś niech doczyta książkę do końca, a zmieni zdanie.

Ostatnia kartka książki zawiera wspaniałą scenę, piękny wytwór prawdziwie poetycznego symbolizmu, a przytem i stwierdzenie głębokiej myśli etycznej. „Ellen von der Weiden“, zdradziwszy męża, wypędzona z domu przez niego, wraca z dzieckiem do ojca. Tu wśród zdrowej a pięknej natury odzyskuje sama fizyczne i moralne zdrowie: nie pokutuje, ale poznaje przecież, że zblądziła, a patrząc

na dziecko od samego urodzenia jakoś dziwnie smutne, jakby pokutowało za winy matki, Ellen wchodzi w siebie i rozumie, że są granice dla ludzkiej indywidualności, są prawa Boskie... Przyjeżdża modernistyczny malarz, Uglandy, ten, dla którego sprzeniewierzyła się obowiązkowi uczciwej żony; przyjeżdża i widzi ogromną zmianę, jaka w niej zaszła: „Wyszedłem, aby odnaleźć zagubioną czarodziejkę, a znalazłem świętą“. Rozchodzą się na zawsze. Ellen z tej przechadzki wraca do domu, do kołyski dziecka, słyszy już z daleka jakby wesoły jego śmiech, serce bije jej z zachwytem... Oto chłopczyk, ten ponury i zasepiony jej ukochany synek, śmieje się po raz pierwszy w życiu, wita radośnie promyk słońca, przeciskający się przez bluszcz. „Nareszcie—nareszcie! Rzuciłam się na jego krzeselko, zęby zacisnęłam, aby z radości nie wybuchnąć płaczem—nie przestraszyć go—Moje dziecko—moje dziecko boleści! Mój syn! Mój jednak! Czyż rzeczywiście moja młodość zamarła? Jeden głos—przejaw uczucia—i znowu wierzę; znowu spodziewam się szczęścia. Coś nowego—nowe życie kołacze do moich drzwi lekko i trwożliwie. Drżąca z radości otworzę mu“.

---

Jak w dramacie, tak i w powieści, widzi się obok tych prądów w dziełach prawdziwej sztuki, ujawniającej zwrot w modernizmie niemieckim, wiele śladów błędzenia po szlakach chorobliwej dziwaczności, w której czasem przeważa marnowany i zwyrodniały, ale bądź co bądź, prawdziwy talent, czasem śmieszne ugania się za oryginalnością za wszelką cenę.

Do pierwszej kategorii trzeba koniecznie zaliczyć Stanisława Przybyszewskiego (ur. 1868), który do 1897 pisał wyłącznie po niemiecku. Lecz Przybyszewski od tego czasu należy już raczej do polskiej literatury i kto inny o nim na tem miejscu pisał obszerniej. Trzeba-by się powtarzać, bo, jak wiadomo, prawie wszystkie swoje dawniejsze dzieła niemieckie autor swobodnie na język polski przełożył. A zresztą Przybyszewski w zaraniu literackiej twórczości wywarł niewątpliwie wpływ na niemieckie piśmiennictwo i miał wielu zwolenników i przeciwników. Od kilku lat jednak rola jego na tym



gruncie zapewne na zawsze skończona, choćby autor nawet dalej pisał po niemiecku. Tak up. jego najnowszy zbiór poematów prozą, ogłoszony w Berlinie „Epipsychion“ (Polakom znany już z krakowskiego „Życia“), przeminął w Niemczech prawie zupełnie cicho, bez zwrócenia na siebie silniejszej uwagi, bez wywołania entuzjazmu lub oburzenia. Dziś Przybyszewski wspomniany jest w Niemczech tylko jako niesłychanie oryginalny i śmiały stylista, który w przywróceniu językowi pierwotnej siły uczucia i ekspresji doszedł do ostatecznych granic (np. „pijane od światła palce“, „kroki, ciche jakby rozplywająca się mgła posepnych akordów“).

Jak ten mistrz krakowskiej młodej Polski, tak, chociaż oczywiście w daleko słabszym stopniu, i Piotr Altenberg (ur. 1862), wywarł wpływ niemający na naszą modernistyczną poezję. Rozczulający to obraz niepokoju i walki, jaka się zagnieżdżyła w tyłu dzisiejszych umysłach. W życiu bardzo nieszczęśliwy i bardzo na każde nieszczęście wrażliwy, mimo wielkiego rozgłosu—jak się sam skarży z gorzką prostotą w liście do podpisanego—bardzo biedny Altenberg w pragnieniu stworzenia nowej sztuki uciekł się aż do Huysmansa, znanego, mistyczno-ezoterycznego francuskiego poety. Huysmans epizodycznie wspomina w powieści „A rebours“ o stworzeniu nowej formy romansu, skoncentrowanego w kilku stronicach. Każde słowo otwierało-by tak szerokie perspektywy, że czytelnik mógłby całe tygodnie marzyć, stwierdzać terażniejszość, odbudowywać przeszłość, przeczuwać przyszłość dusz osób powieści; taka powieść była-by „rodzajem wspólności umysłowej pomiędzy pisarzem a idealnym czytelnikiem, współprocownictwem duchowym, umówionem wśród osób rozproszonych po całym świecie“. W pierwszej chwili śmiała oryginalność tego pomysłu wprawia w zdumienie. Jakie to praktyczne w wieku, kiedy czas staje się najdroższym towarem, dać czytelnikowi do ręki zamiast kilkutomowych powieści, cały romans na jednym arkuszu druku!

Lecz wnet rozwaga mówi, że ten idealny pomysł jest w gruncie rzeczy dziwactwem! Takich wymarzonych czytelników, zdolnych do stwierdzania terażniejszości, odbudowywania przeszłości, przeczuwania przyszłości na podstawie jednej kartki lub jednego zdania, albo niema wcale, albo też są, lecz w takim razie są to umysły twórcze, które i bez tej zewnętrznej podniety mogą sobie najwspanialsze romanse obmyślać.

W praktyce ta myśl rzucona przez Huysmansa może tylko nawiasowo, u Altenberga przedstawia się jeszcze dziwacz-

niej<sup>1)</sup>. Mniejsza już o to, że poeta odgranicza się złotą kratą od pełnego, bujnego świata, że nawet z dwóch płci zna właściwie tylko jedną kobietą (z mężczyzn istnieje dla niego tylko Piotr Altenberg). Gdyby jednak było w tem przynajmniej jakieś silniejsze uczucie, chociażby nawet tak chorobliwe, jak mistyczny erotyzm Przybyszewskiego. Altenberg nie zna namiętności, pięknej nawet w nadmiarze, Altenberg zna tylko flirt, a ten szczerego uczucia nigdy nie zastąpi. Raz jest to flirtowanie z dziewczyną z goszczącej w Wiedniu? gromady Aśzantów, to znowu flirt ze śpiewaczką kawiarnianą, lub mężatką, lecz zawsze tylko flirt. Dziwaczna zaś, „skoncentrowana“ forma potęguje jeszcze wrażenie marności i lekkiego prześlizgiwania się po życiu. Zbyt mało się tu „konstatuje“, raczej trzeba wiele dopowiadać z własnej duszy, a wtedy czasem istotnie taka anegdotka migawkowem światłem rozjaśni jaką drobną a ciekawą tajemnicę kobiecej duszy. Wobec tego razi szumne motto twórczości Altenberga: „Nie sobie i nie jednemu daj to dobro, któreś znalazł na zmudnych drogach—daj je wszystkim!“ *P a r t u r i u n t m o n t e s . . .*

Lecz, bądź co bądź, w Altenbergu jest przynajmniej pewien zasób talentu. O najdziwniejszych z dziwacznych ultra modernistów tego powiedzieć nie można. Jest liczne, niestety, grono pisarzy, którym się zdaje, że są wielkimi fantastami w rodzaju E. T. Hoffmanna lub Edgara Poe. Wyobraźnia ich rozhukana tworzy, a pióro rzuca na papier postacie i sytuacje powstałe chyba w malignie, bez związku, bez najelementarniejszej logiki, która przecież i symbolistów obowiązuje, bez jakiegokolwiek myśli, która właśnie jest lub być ma pięknością tych najmłodszych. Jak w drugiej części naszej pracy tak i tu nie można się dłużej rozwodzić nad szaleństwem tych chorobliwych objawów, wystarczy wymienić nazwisko najgłośniejszego może a napewno najdziwniejszego z tego grona, Pawła Scheerbarta, naczelnego mandaryna berlińskich fantastów.

---

1) Por. Altenberga „Aschantée“, „Co mi dzień przynosi“ i „Jak widzę“.



Poznawszy w ogólnych zarysach zwrot w modernizmie niemieckim w zakresie poezji lirycznej, dramatu i powieści, nie można się kusić jednak ani o charakteryzowanie historyczno-literackie tego ruchu, ani o bezwzględne ocenienie jego wartości. Pierwsze jest wogóle niepodobieństwem wobec prądu, płynącego w naszych oczach, drugie musiało-by z natury rzeczy być zabarwione osobistymi estetycznymi zapatrywaniami krytyka. O ile zaś taka subiektywna krytyka najnowszej o j c z y s t e j literatury jest dla szerszego ogółu i ciekawą, i pożądaną, bo reguluje sąd i może wpłynąć nawet na twórczość poetyczną, o tyle w rozprawie o obcej literaturze, pozbawionej, bądź co bądź, bezpośredniego wpływu na duszę czytelnika, był-by to popis, dogadzający chyba tylko krytykowi, lecz obojętny dla czytelników, a do wiadomości autorów nie dochodzący. To też kończymy naszą rzecz nie sądzeniem owego zwrotu, lecz wskazaniem innego jeszcze, najświeższego prądu w literaturze niemieckiej, zwalczającego z równą energią i naturalizm, i symbolizm.

Ten nowy ruch ma już—jak zawsze w Niemczech—na swe usługi i osobną poważną firmę nakładową (H. G. Meyer w Berlinie), i osobne czasopismo peryodyczne („Heimat“), i wreszcie ruchliwych przywódców. To Rudolf Huch, którego polemiczna broszura: „Więcej Goethego“ („Mehr Goethe“) była w ubiegłym roku najgłośniejszą rozprawą polemiczną, to dalej Fritz Lienhard, autor niemniej namiętnie omawianej broszury przeciw „Wszechwładztwu Berlina“ i dopiero co ogłoszonych szkiców o „Nowych ideałach“. W tych trzech książkach skryształizowały się poglądy i dążenia silnej już dziś opozycji przeciw wszystkim kolejno w ostatnich dziesięciu latach panującym prądom. Negatywnym punktem programu jest walka przeciw Nietzschemu, „nadludziom“, a zwłaszcza „nadkobietom“, przeciw męczącemu pesymizmowi Ibsena, Tołstoja, którzy zabijają chęć do życia, radość z życia (Lebensfreude), budzą tylko tysiące wątpliwości, nie wskazując wyjścia z tego piekła; walka przeciw zwyrodniałej patologicznej poezji, odtwarzającej z zimnem okrucieństwem dla samej pseudo - estetycznej pasji najwstrętniejszy brud i najrozpaczliwszą nędzę współczesnego życia, przeciw Berlinowi, pochlaniającemu wszystkie szczepowe indywidualne odrębności, gniołtającemu samodzielność, deprawującemu własną zgnilizną.

Natomiast „nowe ideały“, to dążność do podkreślenia wydatnego osobistej i narodowej indywidualności, zwrot ku zdrowej myśli,

zdrowemu sercu Lutra, Goethego i Bismarcka, pragnienie wielkiej poezyi, wznoszącej człowieka ponad marność szarego życia, poezyi, karmionej u piersi matki-natury, swobodnej, górnej i wesołej, poezyi nie dekadenco-chorobliwej, ale męskiej i zdrowej, zagrzewającej do życia. Z wielką siłą przekonania Lienhard podnosi, że poezya jest działaniem w nas wyższej siły, że wyrażenie o poezyi „z Boskiej łaski“ nie jest frazesem tylko, lecz prawdą, że Bóg, ojczyzna i własna poety potężna indywidualność, są źródłem wszelkiej sztuki. Na wskroś narodowy, nie jest jednak rzeczywiście niemieckim, bo nie tylko Niemcom, ale i każdemu innemu narodowi poleca gorąco sztukę rodzimą, a walczy najgwałtowniej z kosmopolityczną poezją dzi siejszą, czy jest ona naturalistyczną, czy symboliczną.

Dziś ruch ten jest jeszcze słaby i niewyrobinony. Lecz kto wie, czy nie do niego należy blizka już przyszłość.

DR JÓZEF FLACH.



---

# Zdobycze i kierunki biologii w minionem stuleciu.

W dziedzinie nauki o życiu wiek XX ty otrzymał po zgrzybiałym swym poprzedniku istic wspaniały, królewski spadek.

Ruch gorączkowy na całej linii, niezliczona ilość pracowni, instytutów, stacyi biologicznych nadmorskich i śródlądowych, olbrzymia ilość wydawnictw specjalnych i czasopism, poświęconych naukom o jestestwach żyjących, cały zastęp pracowników na niwie biologii we wszystkich niemal zakątkach świata cywilizowanego. Za nami olbrzymie foliały prac naukowych, ogrom faktów, niezliczone teorye, hipotezy; przed nami jednak odwieczne jeszcze zagadki życia: problemat pierwszego powstania ustrojów, zagadka czynnika ewolucyi organicznej, rozwoju i śmierci, zdrowia i choroby, wrażliwości, oraz skomplikowanych funkcyi nerwowych. Pomimo to jednak, gdy porównamy stan naszej wiedzy biologicznej na początku i na końcu stulecia, z otuchą spojrzeć możemy w przyszłość i powiedzieć za Naegelim: „wiemy i będziemy wiedzieli“ w granicach, w ogólności umysłowi ludzkiemu dostępnych.

Pogląd na postępy pewnej umiejętności ludzkiej w dłuższym okresie czasu jest zawsze interesujący dla ogółu, dając materiał do rozmyślań nad usiłowaniami ducha ludzkiego ku poznaniu prawdy. Dzieje nauki wiedzą nas z jednej strony do wniosku, że w poznawaniu przyczyn o s t a t e c z n y c h nie postępujemy wcale naprzód, spotykając się ze szrankami nieprzebytymi, z drugiej atoli prowadzą nas do przekonania, że zdobywamy na wielu bardzo polach ważne placówki, że duch ludzki zatknął sztandary na licznych punktach, uważanych przez długi czas za niedostępne.

## I.

Już mędrcy starożytności pytali, jaką jest pierwotna wszechbytu przyczyna, lub czem jest i s t o t a materii i ducha? Czy na te i inne podobne pytania transcendentalne wiedza dzisiejsza, pomimo wspaniałego rozkwitu, może dokładniejszą dać odpowiedź, niż filozofia starożytna? Wszyscy wiemy, że wobec tych zagadek stoimy na tem samym wciąż miejscu.

Stawiając jednak sobie pytania bardzo ogólne i dążąc do ich rozwiązania, podobni jesteśmy do podróżnego, który, wspinając się w nieznanej okolicy na niedostępny szczyt góry, wznosi się przecie w każdym razie coraz wyżej i wyżej, a przed oczyma jego rozlegają się coraz szersze horyzonty, coraz to nowe okolice, o których istnieniu nie śniło mu się nawet, zanim się dłań nie wyłoniły na widnokręgu. Stąd owa dziwna sprzeczność... stanie na tem samym prawie miejscu wobec niedoścignionego, w nieskończoność dla nas sięgającego szczytu, a ciągly i bezustanny postęp naszej wiedzy i ogarnianie myśłą coraz to szerszych i rozleglejszych jej widnokręgów.

Historia nauki pokazuje nam dosadnie, na czem polega istotny jej postęp. Oto, nietylko na zdobywaniu nowych faktów, ale, co najważniejsza, na sprowadzaniu licznych zagadnień do coraz mniejszej ich ilości, na redukowaniu niewiadomych. Jeżeli liczne zjawiska sprowadzamy do pewnej kategorii, jeżeli objawy pozornie najzupełniej różnorodne uznajemy za różne formy jednego i tego samego zjawiska zasadniczego; to chociażby to ostatnie było jeszcze na razie niedostępne dla naszego pojmowania, twierdzimy, że nauka postąpiła naprzód w danej dziedzinie. Tak naprzykład spadek ciał, ucisk, wywie-



rany przez ciężar na rękę naszą, ruch planet i gwiazd, ruch wahadła — oto szereg zjawisk różnorodnych, które tłumaczmy sobie przez prawo powszechnego ciężenia. A jakkolwiek istota zjawiska ciężenia jest dla nas zupełnie niejasna, to jednak sprowadzenie ogromnej ilości najróżnorodniejszych pozornie objawów w otaczającej nas przyrodzie do ogólnego „zjawiska powszechnego ciężenia“ stanowi istotny postęp w dociekaniach naukowych. Jeszcze większy postęp fizyki znamionuje wykrycie zasady zachowania energii, bo jeszcze większą ilość różnorodnych zjawisk zdołała nam ona wytłumaczyć, jakkolwiek istota energii fizycznej pozostała dla nas zagadką.

W dziedzinie biologii osiągnęliśmy liczne wielkie zdobycze w ubiegłym stuleciu. Różnorodne stosunki w budowie żyjących i zaginionych organizmów wyjaśniliśmy sobie przez fakt stopniowej ewolucji ustrojów, najbardziej skomplikowane czynności życiowe zwierząt i roślin sprowadziliśmy do zjawisk życiowych, odbywających się w pojedynczej komórce, którą uznano za elementarny składnik ustrojów, a znaczną część czynności fizyologicznych w istotach żyjących sprowadziliśmy do zjawisk fizyko-chemicznych, odbywających się w świecie nieorganicznym. Wszystkie te wielkie prawdy ogólnobio logiczne zdobyte zostały w ubiegłym stuleciu, a jakkolwiek odwieczny problemat życia pozostaje dla nas wciąż jeszcze ciemną zagadką, nie mniej te postępy biologii są iście zdumiewające i pozwalają nam z otuchą i wiarą spoglądać w przyszłe jej koleje.

Mimowoli nasuwa się pytanie: skąd ten wspaniały rozwój nauk biologicznych? dlaczego to, co osiągnięto w tej dziedzinie w ubiegłym stuleciu, przewyższa tak olbrzymio dorobki ubiegłych wieków?

Przedewszystkiem przyczynę tego upatrywać musimy w zastosowaniu do biologii ściśle empirycznej metody poszukiwań, charakteryzującej wszystkie wogóle dociekania przyrodnicze wieku. Nadto zaś—w umiejętnem połączeniu empiryzmu z dedukcją, w umiejętnem zespoleniu materiału faktycznego, drogą zdobywanej obserwacji i doświadczenia, z hipotezami naukowemi, których wartość starano się jednak zawsze sprawdzać na drodze empirycznej. To połączenie nigdy nie było tak harmonijne, jak w ostatnich lat dziesiątkach. Hypotezy przyrodnicze wogóle, a biologiczne w szczególności, nigdy przeto nie miały tak obfitych skutków, jak w ubiegłym stuleciu, a nigdy tak trafnie nie można było zastosować słynnego porównania Weigerta, jak właśnie do hipotez naukowych z tego okresu dziejów nauki. Weigert, jeden z najświetniejszych histologów niemieckich, porównał hipotezę do latawca, puszczanego z jednego brzegu wodospadu Niagary w celu przeprowadzenia połączenia z brzegiem przeciwnym. Kiedy miano budować most ponad wodo-

spadem, zachodziła trudność, w jaki sposób połączyć oba brzegi ponad szalonym a niedostępnym żywiołem; ktoś wpadł na myśl puszczenia latawca, który, dostawszy się szczęśliwie na drugi brzeg, dopomógł do przeprowadzenia pierwszego połączenia; za pomocą cienkiego sznurka przeprowadzono grubszą linę, po niej drugą i trzecią; te posłużyły za środek do zbudowania prowizorycznego pomostu, za pomocą którego wzniesiono trwały a potężny most, łączący oba brzegi. Otóż latawiec — to hipoteza; mogła być ona przelotną i nietrwałą, mogła bez skutku bujać w przestworzach i zginąć bez śladu; ale gdy na stały trafiła grunt, gdy realne zyskała uzasadnienie, stała się podstawą trwałej i wspaniałej budowy, w której objawia się geniusz umysłu ludzkiego.

Inna przyczyna wielkiego rozkwitu nauk biologicznych w omawianym okresie polega na tem, że i wszelkie inne umiejętności przyrodnicze osiągnęły nader wysoki stopień rozwoju; żadna bowiem z nauk nie może się rozwinąć oddzielnie i niezależnie od innych, „żadna z nich nie jest niezawisłą ani logicznie, ani historycznie, lecz wszystkie w mniejszym, lub większym stopniu potrzebują pomocy, i wzajem jej sobie udzielają“<sup>1)</sup>. Rozglądając się dokoła, przekonujemy się, że niema żadnego zjawiska, pod zmysły nasze podpadającego, które-by nie było ściśle skombinowane z innymi zjawiskami. A jak niema zjawisk absolutnych, nie powiązanych z całym szeregiem innych, bardzo nieraz różnorodnych, tak i niema też absolutnej granicy pomiędzy umiejętnościami, obierającymi sobie pewne grupy zjawisk za przedmiot szczegółowych badań. Ta współzależność umiejętności ma ogromnie doniosłe znaczenie dla ich rozwoju. Dopóki optyka nie osiągnęła pewnego stopnia rozwoju, ściśle dociekania astronomiczne były niemal niemożliwe. Astronom, czyniący dokładne spostrzeżenia nad jakąś gwiazdą, o ileż działań w naukach pokrewnych musi zahaczyć? Posiłkuje się zdobyczami matematyki, wprowadza poprawki z powodu załamywania się światła, uwzględnia zjawisko zmniejszającej się gęstości atmosfery w coraz wyższych jej warstwach, oraz różne objawy hygrometryczne, na ową gęstość wpływające, ucieka się do analizy spektralnej i wreszcie przy obliczeniach bardzo dokładnych wprowadza jeszcze poprawki tak zwanego „równania osobistego“, to jest uwzględnia czas, wpływający pomiędzy spostrzeżeniem danego zjawiska, a jego zapisaniem, lub wogóle zaznaczeniem; czas, potrzebny na to, aby dane pobudzenie doszło po nerwie dośrodkowym od organu zmysłowego, do ośrodka nerwowego, i stam-

---

<sup>1)</sup> H. Spencer.



ąd, po nerwie odśrodkowym, powróciło do danych mięśni, pod jego wpływem wykonywających pewien ruch, konieczny do zaznaczenia zjawiska, a czas ten, u różnych badaczy w pewnych granicach się wahający, zależy od różnych czynników psychicznych<sup>1)</sup>. Ten jednak przykład pokazuje nam dosadnie, jak wielką jest łączność nauk i ich poszczególnych działów.

Łączność nauk wogóle, a przyrodniczych w szczególności, polega nie tylko na tem, że każda korzysta z wynalazków i przyrządów, należących do innych dziedzin, ale że posługuje się też w znacznej mierze metodami innych umiejętności.

Herbert Spencer zwrócił uwagę na fakt, że „nauki są rzemiosłami jedna względem drugiej“. Bo jeżeli jakie złożone zjawisko, które ma być rozebrane przez pewną naukę, musi być przedewszystkiem rozwikłane z innych, zaciemniających je zjawisk, za pomocą dawniej wykrytych metod innych nauk, tedy owe inne nauki, użyte w ten sposób, są, jak słusznie mówi Spencer, w położeniu rzemiosł. Jeśli astronom, — powiada Spencer, — zanim zapisze swe spostrzeżenia nad pewną gwiazdą, oddzieli od nich najprzód wszystkie błędy, wynikające z praw meteorologicznych i optycznych, to, oczywiście, tablice refrakcyi, oraz różne formuły, których używa z kolei, służą mu tak, jak retorty, filtry i kupele służą probiercy, który chce oddzielić czyste złoto od wszystkich, towarzyszących mu domieszek.

Z powyższego łatwo wywnioskować, że niezwykle rozwój biologii w minionym wieku należy w znacznej bardzo mierze przypisać świetnym postępom w innych także dziedzinach przyrodoznawstwa, z którymi jest ona ściśle bardzo związana. Biolog korzysta bowiem z licznych bardzo przyrządów i wynalazków fizycznych, chemicznych, lub technologicznych i posilkuje się często metodami innych nauk przyrodniczych.

---

<sup>1)</sup> H. Spencer: British Quarterly Rev. 1854 (szkic o genezie nauki pod tytułem: „Szkice filozoficzne“ H. Spencera, cz. II, 1883).

## II.

Rozpatrzmy najprzód w krótkości, co odziedziczyła biologia ubiegłego stulecia po wieku XVIII-tym, w jakim stanie znajdowała się ona u progu i na początku stulecia?

W dziejach kultury wiek XVIII przedstawia epokę niezmiernie interesującą, w nim bowiem do kulminacyjnego doszły punktu wszystkie spory i walki, staczane od kilkuset lat na polu politycznym, społecznym, religijnym i filozoficznym. W filozofii przesuwają się jak w kalejdoskopie poglądy realistyczne, sensualistyczne, idealistyczne i materyalistyczne; postaci: Condilla'a, La Mettrie'go, Cabanisa, d'Alemberta, Diderota i wielu innych; postać Leibnitza z jego mglistą monadologią, która wpłynęła niewątpliwie na witalistyczne poglądy wielu biologów ówczesnych (Stahl, Hoffmann); w medycynie i naukach przyrodniczych przesuwają się postaci Galwaniego i Volty, Boerhaavego, Stahla, Wenera, Lineusza, Huntera, Hallera, Morgagniego, Spallanzaniego, Buffona i wielu, wielu innych, z których większość budowała podwaliny dla biologii przyszłego stulecia.

Nauki biologiczne obejmują trzy grupy umiejętności: fizyologiczne, traktujące o życiowych czynnościach organizmów, morfologiczne, mające za przedmiot budowę ciała jestestw organicznych, i wreszcie—systematykę zoologiczną i botaniczną. Te trzy grupy umiejętności nosiły w XVIII-tym i w pierwszej połowie XIX-go wieku piętno bardzo charakterystyczne. W fizjologii panowały wszechwładnie poglądy witalistyczne, na morfologii tak zwana filozofia przyrody wycisnęła potężnie swe piętno, w zoologii i botanice systematycznej wiara w stałość gatunku stworzyła znamienne kierunki dociekań. Te trzy ówczesne stany trzech grup umiejętności biologicznych musimy bliżej nieco określić, pragnąc uwydatnić doniosłe zdobycze w każdej z nich w wieku XIX-tym.

Witalizm, czyli wiara w jakąś specyficzną siłę życiową, różną zasadniczo od wszystkich innych sił przyrody, sięga początkiem swoim w daleką przeszłość. Pomijając poglądy starożytnych filozofów, z których nie jeden hołdował witalizmowi, wspomnę tylko słynnego Paracelsa (Filiberta, Aureolusa, Teofrastusa, Bombastusa,



czterech imion von Hohenheim Paracelsa), który, zerwawszy z wszystkimi dotychczasowemi poglądami i rozpoczynawszy w roku 1527 swe wykłady na wszechnicy bazylejskiej spaleniem dzieł swoich poprzedników, począł głosić skrajne idee witalistyczne. Bo w jego mniemaniu, w każdym stworzeniu żyjącem bytuje „ogień niebiański“ i „balsam australiczny ducha bożego“, ducha, który w niem siedzi jako „Archeusz“, „Vulcanius“. „Der Archeus im Menschen alle die Vulkanischen kunst vollbringt, ordnet, schickt und fügt alle Ding in Kraft der gebnen Kunst von Gott in sein Wesen, ein jegliches in sein letzte Materia“. Wszelkie czynności fizyologiczne organizmu są sprawą owego „archeusza“, który rządzi się organami ciała, jak kuchta naczyniami i statkami, bo nawet trawienie pokarmu jest jego dziełem: „Der Archeus meistert im Magen... und macht aus der Nahrung, was ihm zusteht, als ein Schmidt, der aus seinem Eisen machen mag, was er will“.

Pomimo ogromnego wpływu poglądów filozoficznych F. Bacona (1560 — 1626) na pojęcia naturalistów, pomimo doniosłych odkryć Williama Harvey'a (1578—1657) w dziedzinie fizjologii, wykonanych dzięki metodzie, wskazanej przez Bacona <sup>1)</sup>, poglądy witalistyczne panowały jeszcze niemal wszechwładnie w ciągu całego wieku XVII i XVIII-go. Bacon uznał za jedyne zadanie filozofii — badanie przyrody i człowieka, za jedyną właściwą metodę tego badania — metodę indukcyjną, a za jedyną drogę tej metody — obserwację i eksperyment, negując niemal zupełnie znaczenie wszelkiej dedukcyi i wszelkiej hipotezy. Wprawdzie już przed Baconem zastosowali metodę indukcyjną w swych badaniach Kepler i Galileusz, wprawdzie sam Bacon był pod wielu względami zacofany w swych poglądach przyrodniczych, nie przyjmował bowiem na przykład nauki Kopernika, Keplera i Galileusza; ale w każdym razie wielki jego wpływ na rozwój metody eksperymentalnej, metody ścisłej obserwacyi przyrodniczej jest niezaprzeczony, jakkolwiek zanańdo bezkrytyczną przywiązywał on wagę do nieomylności zmysłów. Potężną przeciwwagę wywołała w tym względzie nauka Kartezjusza, z której wynikała omylnność zmysłowego spostrzegania, konieczność łączenia indukcyi i dedukcyi i niezbędność kontrolowania badań, opartych na spostrzeżeniach zmysłowych. Nietylko ogólnie - filozoficzne idee Kartezjusza, ale i liczne specjalne jego spostrzeżenia fizyologiczne, dotyczące nauki o zmysłach, optyki i akustyki, a nadto pogląd jego, że ciało ludzkie, ze względu na czynności życiowe, winno być uważane za złożoną machi-

<sup>1)</sup> Patrz Haesec: „Historja medycyny“.

nę — wszystkie te idee wielkiego filozofa wywarły dodatni bardzo wpływ na losy fizjologii w przyszłości.

William Harvey, jeden z najznakomitszych biologów XVII-go wieku, badacz, który na drodze ścisłej obserwacji odkrył krążenie krwi, który wypowiedział słynny aforyzm: „*omne vivum ex ovo*“ (wszystko, co żyje, rozwija się z jaja), a tem samem, wspólnie z innym, współczesnym mu biologiem, Fr. Redim z Arezzo, przyczynił się do obalenia teorii samoródtwa, jeszcze od czasów Arystotelesa uparcie trzymającej się w nauce, badacz ten, powtarzam, działał pod wpływem metody, wskazanej przez Bacona. Pomimo jednak, że metoda ta okazała się tak błogą w skutkach, hydra witalizmu wciąż jeszcze dumnie podnosiła głowę.

Współczesny Harvey'owi słynny fizjolog belgijski, Jan Orzciel van Helmont (urodzony w roku 1578), był kontynuatorem poglądów Paracelsa, upatrując w człowieku „*duumvirat*“ dwóch dusz, jednej nieśmiertelnej, drugiej śmiertelnej, zwanej inaczej: „*archeus in-fluus*“ (archeusz życiowy), przez grzech pierworodny od duszy nieśmiertelnej oddzielony. Tu główna siła życiowa, czyli archeusz główny, włada i rządzi drugorzędnymi archeuszami, zawartymi w płynnych częściach ciała organizmu. Choroby są uwarunkowane przez walkę duszy nieśmiertelnej ze śmiertelną, a zadaniem lekarza jest uspokoić rozdrażnionego tą walką archeusza.

Poglądy, podobne do van Helmontowskich powstrzymywały przez długi czas rozwój ścisłej wiedzy fizjologicznej, która, mając wytknięty przez Harvey'a kierunek, nie poszła jego śladem, lecz zeszała na manowce witalistyczne, dające szerokie pole do najfantastyczniejszego objaśniania zjawisk życiowych. Kierunek ten, bardzo szkodliwy i rozwój nauki tamujący, podsycany był szczególnie przez dwóch słynnych, a bardzo wpływowych fizjologów XVIII-go stulecia: Fryderyka Hoffmanna († 1742) i Grzegorza Ernesta Stahla († 1734), z których pierwszy przyjmował istnienie „*uduchownionych monad*“, oraz „*eteru nerwowego*“, jako przyczyn zjawisk życiowych, drugi zaś, autor słynnej teorii „*flogistonu*“, mającej objaśnić zjawiska chemiczne, głosił bardzo mgliste poglądy witalistyczno - fizjologiczne, jak naprzykład, iż organa ciała nie żyją, lecz są tylko „*ożywiane przez duszę*“, lub że fizyka i chemia nie mogą nam tłumaczyć żadnych zgoła czynności organizmu. Zamiast więc postępować naprzód, fizjologia cofała się wstecz w pierwszej połowie XVIII-go stulecia.

Upadkowi jej przeciwdziałał w części Albrecht von Haller († 1777), którego słynna „*teoria drażliwości*“ opartą była na spostrzeżeniach, a jakkolwiek obserwacje jego fizjologiczne nie były wolne od wielu błędów, a wnioski z nich wysnuwane były tem samem



falszywe, nie mniej wpływ tego badacza w dziedzinie fizjologii był bardzo dodatni, ponieważ Haller zalecał metodę empiryczną, nawoływał do robienia wiwisekcji na zwierzętach, i dowodził, że należy porównywać z sobą czynności życiowe u rozmaitych zwierząt. Zobaczymy niżej, że ten dodatni wpływ Hallera w dziedzinie fizjologii ograniczył się rzeczywiście do tej tylko gałęzi biologii, natomiast dla morfologii, zwłaszcza zaś dla nauki o rozwoju zarodkowym zwierząt, stanowisko, zajmowane przez Hallera, było wprost fatalnem, i powstrzymywało na długie lata należyty rozwój tych umiejętności.

Gdy w Niemczech Haller, nawołując do doświadczeń, wiwisekcji i ścisłych spostrzeżeń, przygotowywał grunt dla nowej ery fizjologii, która niebawem miała zabłysnąć, we Włoszech czynili to dwaj dzielni biologowie przeszłego stulecia: Spallanzani († 1799) i Fontana († 1805), którzy z wielkim dla nauki pożytkiem cicho i spokojnie stosowali eksperymentalną metodę w fizjologii, a trzeci ich współziomk. Galvani († 1798), odkrył elektryczność zwierzęcą, budując podwaliny dla zupełnie nowej gałęzi wiedzy, która tak pięknie rozwinęła się w wieku XIX-tym — elektrofizjologii. W Anglii Stefan Hales († 1761) ugruntował mechanikę krążenia, a wreszcie we Francji wielkie odkrycia w chemii, dokonane przez Lavoisiera, oraz stworzona przez niego teoria oddychania (1777), jako też w związku z tem będące doniosłe odkrycie Girtannerera (1790), iż w płucach krew żylna pobiera tlen: wszystkie te rozproszone, a dla dalszego postępu wiedzy fizjologicznej pierwszorzędnej wagi odkrycia, przygotowały grunt dla świetnego rozwoju tej nauki, którym szczyć się może ubiegłe stulecie.

W 1801 roku, a więc na samym początku wieku, urodził się mąż, który w dziejach fizjologii stworzył epokę, który pchnął tę umiejętność na nowe, a wielkie tory — Jan Müller († 1858).

Müller jest postacią niedoścignioną niemal w dziejach fizjologii i wogóle biologii, ogarnął bowiem wielkim swoim umysłem obszar, jakiego nikt przed nim, ani po nim w tej nauce objąć nie zdołał, a jak olbrzymie państwo Aleksandra Macedońskiego — powiada E. Du-Bois Reymond — po śmierci jego rozpaść się musiało na liczne części, bo nie stało geniuszu, który-by całość utrzymać potrafił, tak i wielka dziedzina biologii, ujęta przez geniusz Jana Müllera w jedną potężną całość, musiała rozpaść się po nim na liczne, poszczególne gałęzie, zróżnicować się na oddzielne umiejętności, uprawiane przez liczne rzesze pracowników. Müller był, jak i większość innych współczesnych mu fizjologów, witalistą, ale witalizm jego miał bardzo szczęśliwą po-

stać <sup>1)</sup>. Siła życiowa była dlań wprawdzie siłą zupełnie inną, niż siły przyrody martwej, ale wyobrażał on sobie, że działa ona ściśle na zasadzie praw fizyko - chemicznych. Müller dążył przeto do mechanicznego objaśniania zjawisk życiowych. Nadto obejmował on równomiernie cały obszar tych zjawisk, nie pominął żadnego i stworzył we wszystkich dziedzinach poszczególnych, przez własne, a oryginalne zawsze badania podstawę, na której wszyscy późniejsi fizyologowie ubiegłego stulecia w dalszym pracowali ciągu. Zawsze zwracał uwagę w pracach swoich na całość; nigdy nie przedsiębrał badań specjalnych, które-by miały mu dopomóc do rozwiązania jakiegoś wielkiego, ogólnego zagadnienia. Genialnie umiał zabierać się do badania różnych problematów życia, a mianowicie, nie używał nigdy jednej metody fizyologicznej, jaką w danym wypadku inni fizyologowie byli-by się zadowolnili, ale korzystał ze wszystkich naraz i w iście mistrzowski sposób umiał je łączyć i zespalać dla jednego celu. Wiadomości i metody fizyczne, chemiczne, anatomiczne, zoologiczne, mikroskopowe, embryologiczne i wreszcie filozoficzne, były dla niego w jednakowej mierze dostępne, a korzystał z nich niemal jednocześnie przy rozwiązywaniu wielkich problematów życia.

Jan Müller, rzec można, był ojcem fizyologii nowoczesnej, fizyologii wieku XIX-go. Stworzył on przedewszystkiem fizyologię porównawczą. „Przez porównawczo - anatomiczne rozpatrywanie organów w świecie zwierzęcym, oraz przez historję rozwoju poznajemy dopiero istotne właściwości organów, oraz otrzymać możemy pojęcie o ich cechach fizyologicznych. Dla tego też fizyologia może być tylko porównawczą“. Ta wielka myśl Müllera stała się ideą przewodnią dla wielu jego następców, a zwłaszcza w drugiej połowie stulecia, gdy wspinały rozwój anatomii porównawczej wykazał, iż budowa niższych ustrojów zwierzęcych znakomicie wyjaśnia organizację wyższych, idea Müllera zyskiwała sobie coraz więcej zwolenników, a fizyologia stała się nauką porównawczą, i zaczęła dążyć do badania funkcyi życiowych w całym szeregu zwierząt, od najniższych do najwyższych. Nadto Müller był twórcą idei o tak zwanej specyficznej energii zmysłów, polegającej na tem, że dany organ zmysłowy, bez względu na rodzaj bodźca zewnętrznego, który nań działa, daje nam czucia zmysłowe tylko pewnego, specyficznego rodzaju, na przykład narząd zmysłu wzrokowego, drażniony czy to przez zwykłe bodźce świetlne, czy to przez bodźce mechaniczne (tak zwane świeczki w oczach przy silnem uderzeniu się w oko), daje nam zawsze czucia

<sup>1)</sup> Patrz Verworna: „Allgemeine Physiologie“, 1887.



światłne; przecinanie nerwu wzrokowego podczas pewnych operacji wywołuje u chorych wrażenie potężnego bardzo światła (tak zwane morze światła). Przeciwnie zaś, jeden i ten sam bodziec, zastosowany do rozmaitych organów zmysłowych, wywołuje zupełnie odmienne czucia, zależnie od natury organu zmysłowego, na który działa. Przez wykrycie tej ważnej zasady ugruntowaną została w sposób ściśle naukowy idea fundamentalna, iż świat zewnętrzny nie jest wcale takim, jakim wydaje się nam przez okulary naszych zmysłów, i że gdyby nasze organa zmysłowe inaczej były zbudowane, świat zewnętrzny wydawał-by się nam zupełnie innym, niż obecnie. Przez wykrycie tej zasady, z której wynika, że na drodze czysto zmysłowego badania nie jesteśmy w stanie poznać istoty świata, nas otaczającego, zarówno też przez liczne inne ważne dociekania, naprzykład w kwestyi fizjologii zmysłu wzrokowego u człowieka i zwierząt, lub w kwestyi złudzeń i hallucynacyi wzrokowych, Müller położył podwaliny nowej zupełnie, nieznaney niemal wcale przed nim, umiejętności — p s y c h o f i z y o l o g i i, która znalazła później tak liczne grono miłośników pośród biologów ubiegłego stulecia i wywarła wpływ bardzo doniosły na rozwój samej psychologii, zwłaszcza zaś psychologii dosiadczalnej. Müller pierwszy wcielił tę umiejętność do fizjologii.

Najważniejszą tedy, najdonioślejszą dla postępu fizjologii zasługą Jana Müllera było to, iż zdołał on zespolić w jedną organiczną całość rozmaite kierunki dociekań nad czynnościami życiowymi zwierząt, że zdołał krytycznie je ocenić i wykazać głęboki związek pomiędzy wszystkimi gałęziami nauki o życiu. W ten sposób stworzył podstawy nowej fizjologii. Już przed nim liczni inni badacze wzbogacili wiedzę biologiczną znakomitemi zdobyczami, o których jeszcze w części niżej będzie mowa, naprzykład Magendie († 1855) udoskonalił metodę wiwisekcji, Döllinger i Karol v. Baer dali podstawę embryologii nowoczesnej, Jerzy Cuvier, ojciec anatomii porównawczej, uzasadnił konieczność ścisłego odróżniania funkcji i możliwość określenia budowy organów na podstawie czynności, przez nie spełnianych, Fourcroy, Vaquelin, a głównie Berzelius († 1848), stworzyli chemię fizjologiczną, Th. de Saussure († 1849) zreformował fizjologię roślin, Chladni († 1845) — akustykę; a z wszystkich tych, niezależnych w części od siebie nauk, kierunków i metod zbudował Jan Müller <sup>1)</sup> fizjologię nowoczesną.

Ale prawo ogólne integracyi i dyferencyacyi, całkowania się i różnicowania, rządzące całą ewolucją świata organicznego, stosuje się w równej mierze do ewolucyi umiejętności ludzkich. I tutaj z wie-

---

1) Patrz Preyer: „Elemente der allgemeinen Physiologie“, 1883.

lu pojedynczych, częstokroć najzupełniej, zdawało-by się, niezależnych od siebie grup wiedzy faktycznej i kierunków, powstaje od czasu do czasu, dzięki umysłom genialnym, całość wielka, w której wszystko jednoczy się i wiąże w sposób iście cudowny—powstaje niejako integracya wiedzy na wielką skalę. Lecz gdy wiedza faktyczna rozwija się dalej, gdy liczne, poszczególne grupy zagadnień wymagają nowych metod, dróg i kierunków, gdy pewne uogólnienia nie zadawalniają już umysłów badaczy, następuje wówczas dyferencyacya, zróżnicowanie się danej, zcałkowanej uprzednio umiejętności; rozpada się ona na liczne poszczególne gałęzie wiedzy, specjalizuje się w różnych kierunkach, a wówczas opracowywanie jej staje się dostępniejszem dla wielkich rzesz badaczy. To samo działo się z fizyologią. Jeszcze przed śmiercią wielkiego Müllera, dzieło, zespolone przez niego w jedną harmonijną całość, zaczęło się różnicować ku dalszemu znów pożytkowi i postępowi nauki.

### III.

W drugiej połowie dziewiętnastego stulecia zarysowały się różne kierunki w fizyologii: fizyka l n y, c h e m i e z n y i m i k r o s k o p o w o - b i o l o g i c z n y. Pierwszy z nich t. j. fizyka l n y <sup>1)</sup>, zapoczątkowany został przez Juliusza Roberta Mayera z Heibronnu (1814—1878) odkrycie mechanicznego równoważnika ciepła (1840).

Jako lekarz okrętowy, Mayer, zauważył w Batawii przy puszczaniu krwi nowoprzybyłym tam Europejczykom, że ich krew żylna jest jaśniejsza niż na północy; za przyczynę tego uznał wyższą temperaturę klimatu w strefie zwrotnikowej. Wewnętrzna ciepłota ciała ludzkiego, powodowana przez utlenianie się, jest stała u ludzi wszystkich stref, a przeto ilość produkowanego przez ciało ciepła musi się znajdować w określonym stosunku do ilości utraconego ciepła.

Jeśli więc ciało ludzkie traci wiele ciepła (przez promieniowanie) w klimacie zimnym, to utlenianie czyli spalanie musi się w niem wówczas odbywać energiczniej, ażeby mogła się utrzymać niezmienna

<sup>1)</sup> P. Preyer, l. c.



temperatura ciała: natomiast w klimacie zwrotnikowym, gdzie ciało przez promieniowanie traci bardzo niewiele ciepła, ilość produkowanego ciepła jest też mniejsza, a więc i krew żylna jest tu jaśniejsza, bo oddaje tkankom ciała mniej tlenu, potrzebnego do ich spalania. A i ilość spożywanego pokarmu musi być również mniejsza w krajach zwrotnikowych, bo pokarm przeważnie służy u dorosłego człowieka, podobnie, jak węgiel w maszynie parowej, do spalania, a tylko w części do odnowy tkanek i organów. Mayer doszedł dalej do wniosku, że podobnie, jak w maszynie parowej praca, przez nią wykonywana, odbywa się kosztem ciepła produkowanego przez spalanie się węgla, tak też i organizm żyjący wykonywać może pracę mechaniczną, poruszać się, lub podnosić ciężary kosztem ciepła, produkowanego wskutek powolnego a ustawicznego spalania (utleniania), które się w ciele żywym odbywa. To doprowadziło go dalej do wniosku, że istnieje pewien stały stosunek pomiędzy ilością ciepła i pracą mechaniczną. Późniejsze badania Joule'a i innych pozwoliły określić ilościowo ten stosunek.

Wykrycie mechaniczne równoważnika ciepła miało doniosłe bardzo znaczenie dla rozwoju fizykalnego kierunku w fizyologii, który ugruntowany został, prócz Roberta Mayera, przez cały szereg innych znakomitych badaczy, jak E. H. Webera († 1878), Volkmana († 1877), Ludwiga († 1895), Helmholtza († 1895), Du-Bois-Reymonda († 1896), Mareya i innych. Ernest Henryk Weber, a następnie Edward Weber i Helmholtz ugruntowali fizyologię organów zmysłowych, zwłaszcza widzenia i słyszenia; stwierdziwszy fizykę ucha i oka Ludwig i Marey wykryli metody znakomite dla badania czysto fizykalnych czynności ciała (metody graficzne, zapisujące np. rytmiczne wahania pulsu lub analizujące ruchy ciała podczas chodzenia, biegania i t. p.), Emil Du-Bois-Reymond stworzył metodę fizykalną, polegającą na używaniu prądu galwanicznego, jako bodźca dla nerwów i mięśni.

Słowem, przez cały szereg doniosłych badań, polegających na stosowaniu do fizyologii metod fizykalnych i objaśnieniu najrozmaitszych czynności ustrojów na podstawie praw mechaniki, optyki, akustyki, nauk o ciepłe i elektryczności i t. d., w fizyologii nowoczesnej powstał pewien kierunek swoisty, który oznaczyć wypada jako fizykalny. Fizyologia dziewiętnastego wieku zdobyła liczne, bardzo świetne i doniosłe odkrycia w tej dziedzinie, a jeżeli dotychczas zadawałniała się w tym względzie przeważnie badaniem zwierząt wyższych, kręgowych, a mniej stosunkowo zwracała się ku niższym typom zwierzęcym, to niewątpliwie przyszłe stulecie przyniesie nam świetne rezultaty i w dziedzinie fizyologii fizykalnej ustrojów niższych, pra-

ca bowiem w tym kierunku, rozpoczęta w ostatnich kilkunastu latach, zwłaszcza od czasu urządzenia laboratoryów dla fizjologii w znakomitszych nadmorskich stacyach zoologicznych (np. w Neapolu), daje wszelką rękojmię w tym względzie.

Oprócz kierunku fizykalnego, rozwinął się w fizjologii po czasach Jana Müllera— kierunek chemiczny, zapoczątkowany przez Wöhlera (1800—1882) i Justyna Liebiga (1803—1873). W r. 1828 Wöhler dokonał pamiętnego w historii biologii odkrycia, a mianowicie otrzymał na drodze syntezy chemicznej mocznik, ciało azot zawierające, które stanowi jeden z najważniejszych produktów przemiany materji w organizmie żyjącym, a mianowicie produktów rozkładu ciał białkowych. Przedtem mniemano powszechnie, że tak złożone ciała organiczne, jak np. mocznik, mogą być produkowane tylko przez ustrój i to pod wpływem tajemniczej siły życiowej. Wöhler, otrzymał sztucznie mocznik z ciał nieorganicznych poza obrębem ustroju, zadał cios temu mylnemu pogładowi, a jednocześnie zapoczątkował nowy, wielce doniosły kierunek dociekań fizjologicznych, a mianowicie chemiczno-fizjologiczny, który ze świetnym skutkiem uprawiali następnie: Justus Liebig, Claude Bernard, Pflüger, Voit, Hoppe Seyler, Bunge, Marcell Nencki, Kossel i liczni inni znakomici fizjologowie i chemicy.

To samo co o kierunku fizycznym, można też powiedzieć o chemicznym. Aż do ostatnich dwóch trzech dziesiątków lat ubiegłego wieku chemia fizjologiczna obierała za przedmiot dociekań ciała człowieka i zwierząt wyższych, a dopiero w ostatnich kilkudziesięciu latach zwrócono się także do świata istot niższej organizacyi, gdzie dla fizjologii jest jeszcze olbrzymie pole do badań; prace w tym kierunku zostały również załatwione przez założenie odpowiednich laboratoryów w celniejszych stacyach zoologicznych. Do rozwoju fizjologii roślin przyczynili się najwięcej w XIX stuleciu Th. Saussure Pfeffer, Juliusz Sachs i Wiesner

Ażeby zakończyć przegląd wielkich zdobyczy i kierunków w fizjologii wieku ubiegłego, musimy jeszcze zwrócić uwagę na trzy doniosłe momenty.



## IV.

Zapoczątkowana przez wielkiego Jana Müllera psychologia rozwinęła się wspaniale wskutek badań nad czynnościami organów zmysłowych wspomnianego już wyżej Helmholtza, a nadto Webera, Heringa i wielu innych, oraz wskutek epokowych badań nad czynnościami mózgu i rdzenia Flourensa, Hitziga, Munka i Goltza, dzięki którym wykryto doniosłe fakta lokalizacji i przekonano się, że pewne sfery czuciowe i ruchowe mają swe siedlisko w pewnych okolicach mózgu. Wreszcie fizyologiczna psychologia i psychologia eksperymentalna rozwija się pięknie, dzięki znakomitym badaniom Wilhelma Wundta, licznych jego uczniów i wielu innych uczonych. W związku z tymi badaczami pozostają piękne poszukiwania całego szeregu biologów, jak Jordana, Grabera, Romanesa, Bethego, Forela, Janeta i wielu, wielu innych nad czynnościami organów zmysłowych u zwierząt bezkręgowych, począwszy od najprostszych, oraz nad umysłowością istot niższych. Dzięki tym badaniom, rozwinął się niezmiernie interesujący kierunek porównawczo-psycho-biologiczny, dotychczas stosunkowo bardzo mało wyzyskany, a przedstawiający nader wdzięczne pole dla dociekań przyszłych.

Drugi ważny punkt—to odkrycie komórki roślinnej i zwierzęcej, dokonane w ubiegłym wieku przez Schleidena i Teodora Schwanna. Odkrycie to miało doniosłe znaczenie dla postępu fizjologii nowoczesnej. Komórkę uznano za elementarny organizm, przekonano się, że wszelkie normalne czynności ustroju wielokomórkowego są tylko wynikiem czynności życiowych, zachodzących w komórkach, które ciała składają; że objawy patologiczne są również warunkowane przez zakłócenie normalnych funkcji w komórkach, jak to wykazał i uzasadnił ściśle Rudolf Virchow<sup>1)</sup>. Przeświadczenie o tych prawdach wywołało w ostatnich kilku latach szczególny kierunek w dociekaniach fizyologicznych. Zaczęto bliżej badać czynności życiowe w komórkach, a ponieważ najlepiej nadają się do tego żyjące organizmy jednokomórkowe, ze szczególnym przeto zapalem zwrócono

---

<sup>1)</sup> R. Virchow „Die Cellularpathologie in ihrer Begründung auf physiol. und patholog. Gewebelehre“ Berlin 1858.

się do nich. Najwybitniejszym przedstawicielem owej „fizjologii komórkowej“ jest dzielny uczony niemiecki, profesor jenajski, Maks Verworn, autor znakomitego dzieła „Allgemeine Physiologie“ 1894 (2-ie wydanie wyszło w r. 1897).

Wreszcie trzeci punkt tyczy się wpływu, jaki wywarły na fizjologię teoryje ewolucyjne, nieśmiertelne poglądy Lamarcka, Darwina (1859) i licznych ich następców. Tu wypada nam zaznaczyć dziwny zaiste fakt dziejowy. Wpływ tych idei był olbrzymi, ze względu na nauki morfologiczne, które przez nich zostały zreformowane, zmienione, do niebywałych rozmiarów rozszerzone; natomiast na nauki fizjologiczne nie wywarły one wcale wpływu tak przeobrażającego. Po roku 1859, tj. po zjawieniu się dzieła Darwina „O powstawaniu gatunków“, kierunki badań w fizjologii zupełnie się niemal nie zmieniły, a dociekania ewolucyjno-filozoficzne zajęły prawie wyłącznie umysły morfologów i systematyków. Fakt ten pozostawał zapewne w związku z tą okolicznością, iż problemat zmienności gatunków uznano za wyłącznie prawie morfologiczny, albowiem cechy, odróżniające rasy, gatunki i rodzaje, sprowadzają się przeważnie do znamion budowy.

To też nie dziw, że C. Naegeli <sup>1)</sup>, wołał w r. 1884: „Od półtora przeszło dziesiątków lat przedstawia się fizjologom dziwne zjawisko. Najtrudniejszy problemat własnej ich nauki opracowywany jest przez nie-fizjologów z coraz to bardziej wzrastającym zapalem, w potoku licznych publikacji. Powstanie zaś świata organicznego należy do najgłębszych świętości fizjologii („zum innersten Heiligthum der Physiologie“).“ Nawoływania te niewiele jednak przyniosły korzyści. Wszystkie inne nauki biologiczne, jak zoologia, anatomia porównawcza, embryologia porównawcza, nawet paleontologia, uważały za jedno z najwyższych swych zagadnień kwestyę powstawania i zmienności gatunków, sprawę ewolucyi organizmów oraz czynników, ewolucyę tę warunkujących; fizjologia zaś właściwa najmniej interesowała się temi kwestyami. Nawet różnejajogólniejsze zagadnienia biologiczne, jak kwestya zapłodnienia, dziedziczności, bezpośredniego wpływu warunków zewnętrznych na rozwój jestestw organicznych itp., jako związane ściśle z teorią ewolucyi, jakkolwiek z natury swej należące do fizjologii, tj. umiejętności o czynnościach życiowych, były przeważnie roztrząsane przez zoologów, botaników, anatomów, były głównie przedmiotem dociekań ze strony morfologów. Stąd ogrom-

---

<sup>1)</sup> C. v. Naegeli „Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre“ 1884.



ne znaczenie nauk morfologicznych dla postępu biologii ubiegłego stulecia.

Powiedzieliśmy, że jedną z największych zdobyczy fizjologii ubiegłego wieku po Janie Müllerze było wyrugowanie z nauki mglistego, transcendentalnego pojęcia siły życiowej, jako siły *sui generis*, ograniczającej się jakoby tylko do istot żyjących, a niemającej nic wspólnego z siłami chemiczno-fizycznymi przyrody martwej. Otóż, w pierwszej połowie drugiego pięćdziesięciolecia ubiegłego wieku pogląd ten, jak wszelki wogóle nowy błysk myśli ludzkiej, owaładnął w sposób bardzo krańcowy umysłami biologów. Skrajne poglądy przyrodniczo-materyalistyczne Feuerbacha, Büchnera, Moleschotta i innych myślicieli i fizjologów, prowadzące w dalszym ciągu do filozofii materyalistycznego monizmu Haeckla, sprzyjały w najwyższym stopniu pogładowi; że życia nie warunkują żadne zgola takie siły, które-by różniły się od sił materji martwej.

Tak więc witalizm w znaczeniu dawnem utracił rację bytu, a fizjologów dawniejszych, aż do Jana Müllera, przeciwstawiano nowoczesnym, jako witalistów. Wszelako w drugiej połowie ostatniego pięćdziesięciolecia ubiegłego wieku poglądy rzekomo witalistyczne zaczęły znów świtać w fizjologii.

Cała ta kwestya jednak polega tylko na nieporozumieniu, na użyciu dawnego terminu w celu oznaczenia pojęć zupełnie innych. Dlatego też ów nowszy zwrot w fizjologii słuszniej wypadnie nazwać, za przykładem prof. Rindfleischa, nie witalizmem, lecz neowitalizmem<sup>1)</sup>, dla zaznaczenia w samym terminie, że chodzi tu o pojęcie całkiem odmienne.

W owym „neowitalizmie“ dziewiętnastego stulecia należy, zdaniem naszym, odróżnić „neowitalizm fizjologiczny“ i „psychiczny“, jako pojęcia zupełnie odmienne. Pierwszy, tj. fizjologiczny, polega na uznaniu prawdy, iż dane czysto chemiczne i fizyczne, prawa objaśniające zjawiska w świecie martwym, nie wystarczają w zupełności do objaśnienia wielu bardzo zjawisk biologicznych, albowiem w ustrojach elementarne czynniki chemiczno-fizyczne ulegają tak wielkiej komplikacyi i tak się kombinują z sobą oraz z czynnikami morfologicznymi, polegającymi na organizacyi ustrojów, że tworzą pewne specjalne ustosunkowania, których bliższe poznanie

---

<sup>1)</sup> Prof. Rindfleisch „Neovitalismus“. W zbiorze odczytów, wygłoszonych na 67 zebraniu niemieckich przyrodników i lekarzy w Lubece w roku 1894.

może być osiągnięte przedewszystkiem na podstawie metod wyłącznie biologicznych.

To też już C. v. Naegeli w r. 1884 w swojej „Mechaniczno-fizyologicznej nauce o rozwoju“ starał się dowieść, że życie, wbrew poglądom skrajnych fizyologów materyalistów, nie jest tylko chemią i fizyką organizmu, i że liczne procesy życiowe mogą być zrozumiane na podstawie badania strukturalnych stosunków ciała żyjącego, jego organizacji w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Tę samą ideę wyraża też Verworn („Algemeine Physiologie“), oraz Oskar Hertwig („Entwicklung der Biologie im XIX. Jahrhundert.“), który stara się wykazać, że idąc od złożonego do prostego, tj. od stosunków czysto biologicznych, uwarunkowanych przez organizację materii żyjącej, do prostszych czynników elementarnych, np. do procesów chemicznych lub fizycznych, właściwych wszelkiej wogóle materii, możemy częstokroć daleko głębiej sięgnąć w istotę zjawisk życiowych, aniżeli obierając sobie drogę wprost odwrotną. Ten więc neowitalizm fizyologiczny jest czemś zupełnie różnem od witalizmu dawnego; ostatni przyjmował tajemniczą jakąś siłę *sui generis*, pierwszy zaś twierdzi tylko, że czynniki chemiczno-fizyczne nie wystarczają nam do zrozumienia istoty procesów życiowych. Te ostatnie nie są jednak czemś zupełnie różnem od pierwszych, lecz tylko stanowią bardzo złożone i swoiste ich kombinacje, jaknajściślej związane z elementarną organizacją istot żyjących i przez nią uwarunkowane.

T. zw. „neowitalizm psychiczny“ to znowu rzecz zupełnie inna. Przedstawicielami jego są fizyologowie: Bunge<sup>1)</sup> i Verworn. Można-by go nazwać „psychomonizmem“ (Verworn). Głosi on, w przeciwstawieniu do mechanomonizmu, upatrującego wszędzie tylko „materję i siłę“, że świat jest jedynie sumą moich wyobrażeń, a moja własna indywidualność, podobnie jak indywidualność innych ludzi, jest również tylko wyobrażeniem, jest tedy częstką owego kompleksu wyobrażeń (idea, więcej niż przed dwustu laty wzięta przez Kartezjusza za punkt wyjścia jego filozofii). Bunge, wychodząc z zasady specyficznej energii zmysłów Jana Müllera, określa swój „witalizm psychiczny“ w sposób następujący: „Proste istnieje prawo, iż jeden i ten sam proces świata zewnętrznego, jedna i ta sama „rzecz sama w sobie“, działając na różne nerwy zmysłowe, wywołuje odmienne czucia; a różne bodźce, działając na ten sam nerw zmysłowy,

---

<sup>1)</sup> Bunge „Lehrbuch der physiolog und patholog. Chemie“ (II wydanie, 1889).



wywołują zawsze takie same czucia, a więc procesy w świecie zewnętrznym nie mają nic wspólnego z naszymi czuciami i wyobrażeniami, świat zewnętrzny jest dla nas księgą siedmioma pieczęciami zamkniętą, a jedyne, co bezpośrednio jest dostępne naszemu spostrzeganiu i poznawaniu—to stany i procesy własnej naszej świadomości...“

„Istota witalizmu—mówi dalej Bunge—polega na tem, że obieramy sobie jedynie właściwą drogę poznawania, że wychodzimy od znanego, od świata wewnętrznego, aby objaśnić nieznanego—świat zewnętrzny. Odwrotną i przewrotną drogę obiera sobie mechanizm, który jest niczem innym, jeno materjalizmem, a który wychodzi od nieznanego, od świata zewnętrznego, w celu objaśnienia znanego, to jest świat wewnętrznego.“

## V.

Z kolei przystępujemy do dziejów drugiej wielkiej gałęzi nauk biologicznych—m o r f o l o g i i, a że w najściślejszym z nią związku pozostają teorye ewolucyjne, rozpatrzmy też tutaj historję tych poglądów w minionym wieku.

Ażebymy należycie ocenić zdobycze i kierunki morfologii w ubiegłym stuleciu, musimy bliżej nieco rozpatrzeć, jakie było jej stanowisko u schyłku poprzedniego.

Pod wpływem znakomitych prac Linneusza († 1778) w końcu XVIII wieku, rozpoczął się okres wielkiego rozkwitu kierunku systematycznego, klasyfikacyjnego. Poprzedzony w tym względzie w części przez Raya, Linneusz wprowadził pojęcie rodzaju i gatunku, ugruntował w zoologii i botanice podwójną nomenklaturę łacińską zwierząt i roślin, wniósł pojęcie gromad i rządów, wyróżnił pojęcia gatunku i odmiany, a jakkolwiek wierzył głęboko w stałość gatunków, przyjmując „iż tyle jest gatunków, ile ich na początku świata stworzył duch nieskończony“, to jednak w myśl wypowiedzianego przez siebie aforyzmu „natura non agit saltatim“ (przyroda nie działa skokami), szukał wszędzie między jestestwami organicznymi postaci przejściowych. Postaciom tym nie przypisał jednak znaczenia ewolucyjnego, lecz sądził, że co najwyżej powstać mogły przez mieszanie się, czyli krzyżowanie pewnych gatunków.

Ład i porządek, zaprowadzony w systematyce zwierząt i roślin przez Linneusza, pozwoliły naturalistom zorientować się w olbrzymiej masie nagromadzonych dotąd faktów, ogarnąć całość poznanego dotychczas świata organicznego, a następnie dały możność wtłaczania nowo poznawanych postaci organicznych w pewne ramy systemu. Stąd szybki i potężny rozwój systematycznego kierunku badań, opisy zewnętrznej postaci organizmów i klasyfikowanie tychże. Dążenie do opisu organizmów w celach systematycznych, faunistycznych, dało pochop do przedsięwzięcia podróży i wypraw naukowych ku najodleglejszym zakątkom ziemi w celu badania ich flory i fauny. W wieku XVII badania przyrodnicze prowadzone były podczas większej podróży tylko dorywczo, ubocznie, a najczęściej wyłącznie w celach praktycznych, handlowych lub lekarskich. Dopiero zaś większe zainteresowanie się formami świata organicznego, pod wpływem prac Linneusza, wywołało potrzebę przedsięwzięcia specjalnych w tym celu wypraw naukowych. Rozpoczęła się praca gorączkowa, a muzea europejskie napępniały się tysiącami, nieznanymi dotąd postaciami zwierząt i roślin egzotycznych lub polarnych, które w przyszłości miały pobudzić umysły biologów do badania ich budowy i rozwoju. Sam Linneusz porozsyłał licznych swoich uczniów, jak Kolma, Löfflinga, Hasselquista do różnych krajów odległych. Banks i Solander, towarzysze pierwszej wyprawy Jamesa Cooka (1768—71), bracia Forster, towarzysze drugiej jego podróży (1772—75), Artur Philipp, Karol Thunberg, wreszcie Piotr Szymon Pallas i liczni inni, przywożą do Europy nieprzebrane skarby nowych, nieznanych dotąd postaci, a wprowadzenie szkieł powiększających i mikroskopów wraz z budzącym się coraz więcej zapałem do badań — wszystko to przygotowuje grunt do rozkwitu nauki o życiu.

Badania anatomiczne budzą również stopniowo coraz żywsze zajęcie. W ubiegłych wiekach, wielkie postaci Wazala, Fallopiego, Sylwiusza, Azallego i wielu innych odnawiają i w znakomity sposób rozszerzają wiedzę anatomiczną, ale przez długi bardzo czas anatomia jest tylko nauką o budowie ciała ludzkiego, a cel praktyczny, lekarski, jest niemal jedynym.

Ciała zwierząt wyższych badane były przeważnie w celu bliższego zrozumienia budowy ciała ludzkiego, a sekcjonowano je często tylko w braku trupów ludzkich lub z powodu trudności otrzymaniania takich trupów, gdyż ciemnota mas utrudniała w niezwykły sposób lekarzom studia anatomiczne. Ale już w drugiej połowie siedemnastego stulecia, anatomowie wychodząc zaczynają coraz częściej poza ciasny obręb antropotomii. Malpighi, Willis, Nuck i inni dociekają, oprócz anatomii człowieka, budowy różnych postaci zwierzęcych; na-



wet różne formy zwierzęce: robaki, mięczaki, skorupiaki i owady zaczynają coraz bardziej interesować zootomów. Coraz większe udoskonalenie środków optycznych, zmiany wprowadzane stopniowo w budowie mikroskopu złożonego (wynalezionego jeszcze przez braci Jansenów), pozwalają też naturalistom odsłaniać tajniki świata najdrobniejszego, który jest niewidzialny dla nieuzbrojonego oka. Badanie mikroskopowej budowy organizmów zapoczątkowane zostało przez słynnego włoskiego przyrodnika, Marcelego Malpighiego (1628—1694) oraz przez Antoniego v. Leeuwenhoek'a (1632—1723). Prace ich następców zaczynają znakomicie przeciwdziałać zbyt jednostronnemu przez długi czas kierunkowi systematyczno-opisowemu, wprowadzonemu do biologii głównie dzięki pismom Karola Linneusza, a tym sposobem coraz bardziej rozwija się zamięłowanie do studyów nad budową organizmów, coraz więcej budzi się do życia kierunek morfologiczny, we właściwym znaczeniu tego wyrazu.

Okres wielkiego rozwoju morfologii przypada na stulecie XVIII, a najznakomitszy jej rozkwit na wiek ubiegły.

Pierwsi morfologowie XIX stulecia pozostawali, zwłaszcza w Niemczech i we Francji, pod wpływem filozoficznych kierunków następców Emanuela Kanta, mianowicie Hegla, Fichtego, Schellinga i innych, którzy, spaczywszy pod wielu względami naukę wielkiego mistrza, poprowadzili filozofię na jałowe bezdroża dyalektyki<sup>1)</sup>.

„Natur und Geist—mówi Schelling („Idee zu eine Philosophie der Natur.“ 1797) — sind identisch, und über Natur philosophiren heisst so viel, als die Natur schaffen.“ Takie poglądy prowadziły, rzecz oczywista, do najgrubszych spekulacji, odwodziły od ścisłych badań empirycznych, a do idei stawianych a priori starano się rozciągnąć fakta. Filozofowano o wszystkim i nad wszystkim, a wszelkie prawdy przyrodnicze starano się poznać drogą filozofowania i zagłębiania się w samego siebie.

Stąd nazwa dla całego owego okresu — filozofii przyrody. Zwłaszcza w morfologii owa filozofia przyrody znalazła dla siebie grunt bardzo odpowiedni i wdzięczny.

Oken, Frank, Spix i liczni inni uczeni zajmowali się morfologią zwierząt ze stanowiska filozofii natury, a metodą tych dociekań było porównywanie. Ogłoszono rozprawy naukowe p. t. „Filozofia czaszki“, „Filozofia kręgu“ itp. I dziś zasada porównywania jest naj-

<sup>1)</sup> Por. J. Nusbaum „Pogląd na dzieje układnictwa zoologicznego,“ „Wszechświat“ 1897.

ważniejszym narzędziem w badaniach morfologicznych, ale teraz porównywanie opiera się na faktach ściśle obserwowanych, a stosowane bywa krytycznie i umiejętnie; filozofowie zaś natury porównywali z sobą stosunki morfologiczne zupełnie różnorodne, nie mające nic wspólnego, a puszczając wodze fantazyi, budowali często prawdziwe dziwolaży, utożsamiali np. kręgi kostne w szkieletach kręgowców z odcinkami ciała owadów lub skorupiaków, lub np. z góry wyobrażali sobie pewną stałą liczbę kości, mających jakoby występować w danej okolicy ciała i dowolnie interpretowali samodzielność różnych składników tych kości, tak, jak tego wymagała założona z góry liczba. Oken twierdził, że każde zwierzę składa się właściwie z dwóch osobników zwierzęcych, nasuniętych na siebie brzuchami, a wyszedłszy z takiego „filozoficznego“, niczem w naturze nieuzasadnionego, założenia, dociekał, które części ciała na grzbiecie odpowiadają innym na stronie brzusznej. Jałowość i nienaukowość tak pojmowanej morfologii jest oczywistą. Wszelako pewną zasługą morfologów owej doby było to, że porównywali, że wprowadzili pewną metodę, która następnie, w rękach badaczy-empiryków, głębiej i ściślej rozumujących, stała się źródłem najwspanialszych odkryć w dziedzinie biologii ubiegłego stulecia, punktem wyjścia dla umiejętnej morfologii porównawczej.

Filozofia przyrody wycisnęła też swoje piętno na embryologii osiemnastego i początkach dziewiętnastego wieku. Tu, jak i w anatomii ówczesnej, idea, zrodzona w umyśle badacza, a z góry powzięta, nie wymagała ścisłych dowodów empirycznych; fakta starano się naciągnąć do idei, zamiast trzymać się metody ściśle przyrodniczej, t. j. naprzód dokładnie obserwować, a dopiero na podstawie spostrzeżeń wysnuwać wnioski i teorie. W embryologii, czyli nauce o rozwoju osobnika, panowała mianowicie, aż do kilku pierwszych dziesiątków lat ubiegłego wieku, filozoficzna idea t. zw. ewolucyi, której początek datuje się jeszcze nawet od wieku siedemnastego. Tak zwani ewolucyoniści lub preformiści, których głównymi przedstawicielami byli Albrecht Haller, Malpighi, Bonnet, Prevost, Dumas, Vallisneri, Spallanzani i liczni inni, twierdzili, że w komórkach rozrodczych, tj. w jajach lub plemnikach (owuliści, animalkuliści) zawarta jest jakoby drobna miniaturka całego przyszłego organizmu, że ten ostatni zawarty jest np. w jaju już od samego początku, że posiada już od pierwszej chwili wszystkie części ciała i organa, tylko, że są one skręcone, zwinięte, a będąc zupełnie przezroczyste, nie mogą być zauważone pod mikroskopem. W miarę, jak płód rośnie, części zwinięte rozwijają się (stąd nazwa *evolutio*) w dosłownem znaczeniu tego wyra-



zu. W jaju lub plemniku, sądzono dalej, zawarty jest w miniaturze nie tylko cały ustrój, mający z niego powstać, ale nawet nieskończony szereg drobnych miniatur potomków, wnuków, prawnuków, praprawnuków i t. d., które aż do końca świata mają w danem pokoleniu po sobie następować. Te błędne i szkodliwe dla nauki mniemania, wynikające z zupełnego niemal negowania metody empirycznej w dociekaniach nad rozwojem osobnikowym zwierząt, obalone zostały głównie dzięki znakomitym pracom Fryderyka Kaspra Wolffa, który już w r. 1758 ogłosił swoją „Theoria generationis“, przeciwstawiając ewolucji teorię epigenezy, t. j. teorię stopniowego, a kolejnego występowania w rozwijającym się płodzie zawiązków różnych części ciała i organów, co poszukiwania empiryczne najzupełniej stwierdzają. Poglądy Wolffa, aczkolwiek oczywiste i proste, nie znajdowały jeszcze przez długi czas należytego uznania, tak wielką bowiem była potęga zakorzenionego wśród biologów ewolucjonizmu. Dopiero w roku 1812, gdy Meckel przełożył na język niemiecki inną pracę Wolffa, mianowicie o tworzeniu się przewodu pokarmowego u kurczęcia, ewolucjonizmowi zadany został cios śmiertelny, a cała ta teoria przeszła do historii, świadcząc, jak jałowemi są spekulacje myślowe w biologii, jeżeli nie towarzyszy im ściśle badanie empiryczne.

Po upadku „filozofii przyrody,“ począwszy od kilku dziesięcioleci minionego wieku, rozwój nauk morfologicznych w bardzo szybkim postępować zaczął tempie, a z chwilą ukazania się dzieła Darwina (1859) o powstawaniu gatunków potężnem a szerokiem popłynął łozyskiem.

W roku 1769 urodził się jeden z największych morfologów stulecia, genialny Jerzy Cuvier, reformator, a raczej twórca anatomii porównawczej. U samego progu stulecia, w roku 1800, obejmuje on katedrę w Collège de France, i w tym-że roku wydaje pierwsze trzy tomy swoich „Lekcyi o anatomii porównawczej“, których ostatnie trzy tomy ukazują się w roku 1805; w siedm lat później ogłasza klasyczne swe studia o kościach kopalnych. Wprawdzie już przed Cuvierem John Hunter († 1793) oraz Vick d'Azyr († 1794) zajmowali się ściśle porównywaniem organów, ale wychodzili więcej ze stanowiska funkcjonalnego, to jest zwracali uwagę w swych porównaniach na podobieństwo czynności; Cuvier natomiast postawił anatomię porównawczą na gruncie morfologicznym. Nietylko wzbogacił on naukę niezliczoną ilością faktów zootomicznych, nietylko był niezrównanym mistrzem jako anatom, nietylko, będąc prawdziwym artystą, jako rysownik, wykonał zdumiewającą ilość wspaniałych wizerunków anatomicznych, które po dziś dzień do najklasyczniejszych należą; ale nadto sięgnął głęboko do istoty organizacyi zwierzęcej,

i stworzył wiele zasad ogólnych, olbrzymiej doniosłości dla dalszego rozwoju morfologii porównawczej. On-to pierwszy wykrył naprzykład zasadę korrelacji, czyli współzależności, to jest współzależności wzajemnej wszystkich organów w obrębie ustroju, a na jej podstawie zdołał odgadnąć budowę wielu zwierząt kopalnych tylko z poznanej budowy kilku kości tych zwierząt. On-to dalej uzasadnił pierwszy ideę o tak zwanej nadrzędności i podrzędności organów, to jest myśl, że pewne organa, lub części ciała, mają znaczenie ważniejsze, i są starsze w obrębie wielkich grup zwierzęcych, inne natomiast mają znaczenie drugorzędne i są bardziej niestałe, a dla celów klasyfikacyjnych mniejszą mają doniosłość. Według znamion nadrzędnych należy się kierować przy podziale zwierząt na obszerniejsze grupy. Na tej podstawie Cuvier podzielił świat zwierzęcy na cztery wielkie grupy, czyli typy: 1) kręgowce, 2) mięczaki, 3) stawowate 4) promieniaki; podział, który stał się punktem wyjścia dla wszystkich późniejszych systemów klasyfikacyjnych. Cuvier nie widział żadnego genetycznego związku pomiędzy owymi typami, sądził, że świat zwierzęcy został niejako stworzony według czterech odmiennych planów. Nawet w obrębie każdego typu uważał on pojedyncze gromady zwierząt za zupełnie równorzędne, nie odróżniał organizacyi wyższej i niższej, co było wynikiem zupełnego braku pojęcia o stopniowej ewolucyi organizmów i o genetycznym, rodowym ich związku. Jest to tak zwana teoria typów, której holdował również słynny embryolog, Ernest Karol v. Baer (1828); on jednak odróżniał już wyższe i niższe stopnie organizacyi u gromad każdego typu. Cuvier wreszcie wykazał pierwszy doniosłość paleontologii, to jest nauki o formach kopalnych, dla anatomii porównawczej.

Anatomia porównawcza rozwijała się po epokowych pracach Cuviera z niezwykłą szybkością, głównie zaś rozkwit jej datuje się od czasów K. Darwina, kiedy w nauce tej zaczęto uznawać jeden z najdonioślejszych środków do określenia stopnia pokrewieństwa pomiędzy poszczególnymi grupami organizmów. Na podstawie budowy zwierząt oraz ich rozwoju osobnikowego zaczęto kreślić przypuszczalne dzieje rodowe świata zwierzęcego a jakkolwiek dążenia te nie zawsze prowadziły do rezultatów ścisłych i zadawalniających, jakkolwiek niektórzy badacze przesadne i opaczne wyprowadzali wnioski filogenetyczne (rodowe); to jednak wiedza anatomo - porównawcza zyskiwała stąd tę wielką korzyść, iż gromadził się w niej olbrzymi, cenny materiał faktyczny, i teoretyczne dociekania coraz to pewniejszą i ściślejszą postępowały drogą. Nazwiska takich morfologów, jak Ryszarda Owena, Henryka Tomasa Huxley'a, Ray Lancastra w Anglii, Blainvillia, Leona Dufoura, Lamarecka, Quatrefages'a, Lacaze-Duthiersa, Henryka Mil-



ne-Edwardsa we Francyi, Karola Vogta, Hermana Fola, Claparède'a, Aleksandra Agassiza w Szwajcaryi, E. H. Webera, K. E. v. Baera, J. Fr. Meckela, Teodora Siebolda, Rudolfa Leuckarta, Jana Müllera, Teodora Schwanna, Ernesta Haeckla, Roberta Remaka, Karola Gegenbaura, Oskara Hertwiga, Alberta Köllikera w Niemczech i wielu innych, prześcigających się niemal wzajemnie pod względem ogromu i świetności dokonanych w morfologii porównawczej odkryć — świecą, jak słupy ogniste, w dziejach biologii ubiegłego stulecia.

Na świetny rozwój morfologii porównawczej w XIX-tym wieku wpłynęły dwie głównie okoliczności: udoskonalenie techniki mikroskopowej i filozoficzne traktowanie zagadnień morfologicznych pod wpływem teorii ewolucyi Lamarcka, Darwina i jego następców.

Udoskonalenie techniki, wynalezienie soczewek apochromatycznych, używanych do budowy mikroskopów złożonych, a następnie wprowadzenie i ulepszenie mikrotomu, za pomocą którego można najdrobniejsze części ciała, lub maleńkie zarodki rozkładać na setki skrawków, wreszcie udoskonalenie techniki utrwalania, stwardniania, i barwienia tkanek zwierzęcych, dzięki czemu różnicują się dla oka ludzkiego składniki tkanek i komórek, niewidzialne na świeżych tkankach przy najściślejszych nawet powiększeniach mikroskopowych: wszystkie te środki techniczne przyczyniły się do świetnego rozwoju nauki o rozwoju ciała zwierzęcego, czyli embryologii, nauki o mikroskopowej budowie ciała (histologii), a zwłaszcza o strukturze elementarnych składników ciała, to jest komórek, czyli tak zwanej cytologii, a wreszcie do bliższego poznania budowy tysięcznych postaci zwierzęcych i roślinnych, które bez użycia silnych powiększeń mikroskopowych są prawie zupełnie niewidzialne dla oka ludzkiego. Przez użycie tych środków technicznych otworzył się przed oczyma biologa cały świat nowych, nieznanych mu dotąd zjawisk, umysł badacza wzbogacił się niezliczonymi, nowymi pojęciami, dla ducha jego powstał nowy świat myśli.

W embryologii doniosłe, świetne zdobycze następują szybko jedne po drugich. W roku 1812 zjawia się w przekładzie niemieckim Meckela wspomniana już praca Kaspra Wolffa o tworzeniu się przewodu pokarmowego u kurczęcia, zadająca ostateczny cios teorii preformacyi. W roku 1828 i 1837 v. Baer ogłasza znakomite dzieło: „Ueber die Entwicklungsgeschichte der Thiere, Beobachtung und Reflexion“, rozwijające teorię listków zarodkowych, to jest warstw pierwotnych, z których powstają wszystkie późniejsze organa ciała, w roku 1827 zaś tenże wielki spostrzegacz odkrywa komórkę jajową u zwierząt ssących. W roku 1824 Prévost i Dumas, a później (1836) Rusconi, opisują po raz pierwszy dzielenie się, czyli bródkowanie

jaja. Reichert, Rutke, a zwłaszcza Robert Remak (1851) dokonywają świetnych odkryć w dziedzinie embryologii zwierząt kręgowych, Tomasz Henryk Huxley (1849) przeprowadza porównania pomiędzy trzema listkami zarodkowymi kręgowców, a trzema warstwami ciała zwierząt niższych (jamochłonów). w szóstym i siódmym dziesiątku lat zjawiają się klasyczne prace Aleksandra Kowalewskiego nad embryologią zwierząt bezkręgowych (osłonice, lancetnika, robaków, owadów), w roku 1874 Haeckel ogłasza słynną swoją „teorię gastrei“. W ósmym, dziewiątym i dziesiątym dziesięcioleciu His, Hartwig i inni wyjaśniają znaczenie tak zwanego środkowego listka zarodkowego (mezodermy), zoologowie: Herman Fol, Oskar Hartwig, Boveri, botanicy: Ed. Strassburger, Guignard i inni opisują proces zapłodnienia. Embryologia staje się pod koniec stulecia jedną z najważniejszych umiejętności biologicznych, setki pracowników poświęcają się jej, a w literaturze biologicznej prace w tej dziedzinie zajmują tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym, najszacowniejsze niemal miejsce. Równocześnie dokonywają się świetne odkrycia w cytologii, nauce o komórce, odkrytej w roku 1838 przez Schleidena (u roślin), a następnie przez Teodora Schwama (u zwierząt), oraz w nauce o mikroskopowej budowie tkanek ciała (histologii). Tutaj prace Schwama, Dujardina, Maksa Schulzega, Fr. Leydiga, Alberta Kötlikera, Strassburgera (w botanice), Waltera Fleminga (zjawiska dzielenia się komórek) i wielu, wielu innych badaczy we wszystkich krajach świata cywilizowanego gromadzą olbrzymi materiał naukowy, stanowiący prawdziwą chlubę kilku ostatnich dziesięcioleci minionego wieku.

Powiedzieliśmy wyżej, że udoskonalenie samej techniki badań przyczyniło się do świetnego rozwoju morfologii w ostatnich czasach. Otóż musimy jeszcze zaznaczyć, że udoskonalenie to nie tylko polegało na wykryciu znakomitych środków optycznych, ulepszeniu metodyki barwienia i t. p., ale w znacznej mierze na ułatwieniu biologom znajdowania obiektów dla badań. W pierwszych dziesiątkach lat stulecia, kiedy biolog pragnął zwrócić się ku badaniu niższych form organicznych, zamieszkujących morza, lub otchłanie oceanów, sam musiał zdobywać sobie stosowny materiał i nieprzezwyjęzione często napotykał trudności. Toć jeszcze Jan Müller, badając rozwój szkarłupni nad zatoką tryesteńską, sam jeden, prywatnymi środkami, zdobywać sobie musiał materiał do swych poszukiwań. Jakaż to była olbrzymia strata czasu, energii, i jak często zniechęcała uczonych do badań w tym kierunku. W drugiej zaś połowie stulecia, pod wpły-



wem gorączkowego zainteresowania się uczonych światem niższych organizmów, pod wpływem przekonania, iż w morzach kryją się nieprzebrane skarby form organicznych, których ścisłe i systematyczne badanie do niespodziewanych prowadzić może wyników, rządy różnych krajów, przy pomocy ludzi dobrej woli, zaczęły zakładać tak zwane stacje zoologiczne, lub biologiczne (naprzykład w Tryeście, Concarneau, Neapolu, Roscoff, na Helgolandzie, m. Wimereux, Villa Franca, Banyuls sur mer, Sewastopolu i t. d.), które dla postępu nauki o życiu niesłychaną miały doniosłość. Dość spojrzeć na olbrzymie foliały wydawnictw stacyi neapolitańskiej, kierowanej przez profesora Dohrna, lub tryesteńskiej, kierowanej długi czas przez zmarłego niedawno profesora Clausa, by przekonać się, ile, dzięki tym zakładom naukowym, zyskała biologia. Nadto wielkie podróże morskie i wyprawy, mające na celu badanie fauny głębinowej, odsłoniły przed oczyma uczonych całe światy nowych form organicznych. Przypomnijmy sobie tylko, ile zyskała biologia, a przedewszystkiem morfologia i systematyka zoologiczna przez słynną wyprawę „Challenger“, przez ekspedycye francuskie na okrętach „Talizman“ i „Travailleur“, a w ostatnich latach przez wyprawę niemiecką na okręcie „Waldivia“.

Wraz z rozwojem nauk morfologicznych, z coraz głębszem poznawaniem stosunków budowy i rozwoju zwierząt, z wynajdywaniem coraz to nowych form, wskutek podróży naukowych, systematyka zmieniała się też i doskonaliła szybkim tempem. Po systemie Cuviera zjawily się układy zoologiczne Rudolfa Leuckarta, Teodora Siebolda, Ernesta Haeckla <sup>1)</sup> i t. d. Po roku 1859 wszystkie one dążyły do usystematyzowania świata zwierzęcego wedle stosunków i stopni wzajemnego pokrewieństwa zwierząt, w myśl kierunku, nadanego biologii przez teorię ewolucyi.

---

<sup>1)</sup> Bliższe szczegóły co do tej kwestyi czytelnik znajdzie w pracy naszej we „Wszechświecie“ z roku 1897 pod tytułem: „Pogląd na dzieje układnictwa zoologicznego“.

## VI.

Teorya doboru naturalnego Darwina, jako jedna z prób, a niewątpliwie jedna z prób najszcześliwszych, objaśnienia faktu zmienności form organicznych, oraz faktu znakomitego ich przystosowania do różnorodnych warunków, miała podwójną doniosłość w dziejach biologii ubiegłego wieku. A mianowicie, autor tej teoryi, pragnąc uzasadnić jej działanie, zebrał przedewszystkiem z niezwykłą skrupulatnością tysiączne, pozornie nie powiązane z sobą, fakta z dziedziny zoologii, botaniki, anatomii, embryologii, geologii, paleontologii, geografii roślin i zwierząt, fakta, dowodzące samego procesu zmienności form organicznych, czyli przemiany gatunków. Fakta te Darwin ugrupował w sposób tak oczywisty, iż on pierwszy, rzecz można, postawił kwestyę zmienności gatunków na gruncie ściśle naukowym. Jakkolwiek teorya descendency miała już dawniej wielu poprzedników, jakkolwiek genialny Lamarck w początku stulecia <sup>1)</sup> dosadnie i stanowczo ją przedstawił; to jednak nikt nie zdołał uczynić z niej tak potężnej i tak żywotnej teoryi naukowej, jak właśnie Darwin. Ponieważ zaś teorya ewolucyi została dowiedziona i stwierdzoną przez tysiączne fakta, a niema ani jednego faktu, który-by jej przeczył, uznana ona została obecnie za wielką prawdę naukową, pomimo, że sama zasada doboru naturalnego, to jest próba wytlómaczenia czynników ewolucyi, czyli mechanizmu procesu ewolucyjnego, okazała się tu i owdzie niewystarczającą, została uznana przez wielu tylko za hipotezę tymczasową i uzupełnioną była przez liczne próby, do tego samego zdążające celu.

Teorya ewolucyjna wywarła bezpośrednio wpływ na rozwój wszystkich nauk biologicznych, które są związane ze sprawą przemiany form organicznych, a więc przedewszystkiem na morfologię i systematykę zoologiczną, oraz botaniczną.

Skoro faktem jest, że organizmy rozwinęły się stopniowo i powoli od form najniższych do coraz wyższych, to chodzi o to, jaką dro-

---

<sup>1)</sup> „Philosophie zoologique“, 1809.



gą ten rozwój rodowy się odbywał, i w jakim stosunku pokrewieństwa wzajemnego znajdują się różne grupy ustrojów? Oto pytania, jakie stawiali sobie morfologowie i systematycy w ostatnich kilku dziesięcioleciach. Dociekania filogenetyczne zajmowały w wysokim stopniu jednych i drugich. Na podstawie każdej pracy paleontologicznej, embryologicznej, lub anatomiczno - porównawczej autorowie wysnuwali pewne wnioski filogenetyczne (rodowodowe), i budowali tak zwane drzewa rodowe, a największym zwolennikiem tych ostatnich był i jest jeszcze obecnie Haeckel, który w słynnej swojej „Die generelle Morphologie“, 1866, oraz w wielu innych pismach starał się między innymi ugruntować zasadę równoległości rozwoju osobnikowego i rodowego (prawo rekapitulacji, lub biogenetyczne), oraz za pomocą drzew rodowych usiłował przedstawić stosunki pokrewieństwa organizmów i ich historię genealogiczną.

Ten kierunek w zoologii nowoczesnej (i botanice, — tu jednak nie tak wybitny), który możemy nazwać filogenetycznym, miał liczne dobre, ale i pewne złe strony w dziejach biologii ubiegłego wieku. Dobre polegały na tem, że, dzięki jemu, badacze przystępowali do poszukiwań z pewną myślą przewodnią, z pewną i d e e ą, że praca anatomów i embryologów przestała być dążeniem do bezmyślnego i niekrytycznego gromadzenia faktów bezładnych, że fakt sam w sobie przestał być celem ostatecznym badań naukowych, ale stał się tylko środkiem do osiągnięcia wyższych celów, a mianowicie fakta morfologiczne zaczęły służyć do wysnuwania wniosków teoretycznych. Ta idea przewodnia, to dążenie bezustanne do oświetlenia każdego faktu ze stanowiska ewolucji świata ustrojowego — stanowi najdonioślejszy i najcharakterystyczniejszy rys w dziejach morfologii i systematyki w drugiej połowie ubiegłego wieku. I to jest przyczyną, że nauki te osiągnęły w tym wieku taki stopień rozwoju, na jakim nigdy się nie znajdowały. A gdyby wielkie idee Darwina nie dokonały niczego więcej, jak tylko to, że wywołały tak świetny i niebywały rozwój tych nauk, że doprowadziły do niezliczonej ilości znakomitych odkryć w dziedzinie tych umiejętności: to już przez to samo postać Karola Darwina miała-by epokowe znaczenie w rozwoju wiedzy ludzkiej.

Filogenetyczny kierunek w zoologii miał jednak i pewną stronę ujemną, a mianowicie, jak każdy zresztą kierunek nowy, świeży, był on przez niektórych badaczy zbyt jednostronnie uprawiany; stąd powstał pewien dogmatyzm w nauce, pewna oporność myśli. Fakta, niewiążące się bezpośrednio z filogenezą, zdawały się nie mieć znaczenia głębszego, i stąd powstała pewna nierównomierność w rozwoju nauki. Ale na szczęście nierównowaga ta i jednostronność trwały

bardzo niedługo, bo nowe, jeszcze młodsze kierunki dociekań biologicznych sprawiły szybkie wyrównanie się wszystkich prądów i zlanie się w jedną całość harmonijną, a tem samem szerokiem łożyskiem płynąc zaczyna morfologia u progu nowego wieku, pozostając wciąż pod ożywczem tchnieniem teorii ewolucyi.

Na czem-że polegają te nowe prądy w morfologii współczesnej? Odpowiedź na to znajdziemy, rozpatrując w ogólnych zarysach koleje darwinizmu po Darwinie. Otóż teoria doboru naturalnego znalazła nie tylko gorących obrońców, ale i zaciętych przeciwników, zdania ścierały się silnie: Weisman, Haeckel i inni upatrywali w doborze czynnik niemal wszechwładny, wszechpotężny<sup>1)</sup>; inni, jak Naegeli, lub Herbert Spencer, odmawiali mu wszelkiego niemal znaczenia. Walka wzajemna wywołała ten wielce dodatni rezultat, iż starano się głębiej zrozumieć wszystkie zasady biologiczne, na których opierały się teorie Lamarcka i Darwina. Przedewszystkiem zasada dziedziczności i zmienności, a w związku z nią kwestya wpływu warunków otaczających na organizm, zajęła umysły biologów. Że zaś problemat dziedziczności najściślej jest związany z zagadką budowy i czynności tej substancyi, która jest materyalnem podścieliskiem znamion dziedzicznych, oczywista zatem, że badacze zwrócili się przedewszystkiem do poznania owej substancyi, zawartej w komórkach rozrodczych, do wyjaśnienia procesu zapłodnienia, czyli zlewania się dwóch substancyi, będących podścieliskiem dwóch różnych tendencji dziedzicznych, i wreszcie do badania czynników rozwoju osobnikowego, który musi być przedewszystkiem dobrze zrozumiany, jeśli pragniemy głębiej wnikać w czynniki rozwoju rodowego, bo w zasadzie tu i tam mamy do czynienia z szeregiem ciągłych, a stopniowych zmian organizacyi. Wszystkie te zagadnienia, wchodzące w zakres jednej z najmłodszych gałęzi nauki o życiu, tak zwanej biologii ogólnej, albo, jak inni chcą, mechaniki rozwojowej, wyłoniły się jako konieczny wynik głębszych dociekań w kierunku teorii descendency.

Już sam Darwin w swoim dziele o „Zmienności zwierząt i roślin w stanie kultury“, poruszył mnóstwo zagadnień z tej dziedziny, poświęciwszy obszerne rozdziały kwestyi dziedziczności, pytaniu, jak dalece sięgać może zmienność indywidualna i t. p. Następca jego, C. v. Naegeli, w swojej „Mechaniczno - fizyologicznej teorii pochodzenia“, 1884, głębiej sięgnął do mechanizmu wszystkich tych objawów biologicznych, a jego teoria „idioplazmy“, czyli materyalnego

<sup>1)</sup> „Allmacht der Naturzüchtung“ Weismanna.



podścieliska znamion dziedzicznych, ma tę wielką doniosłość w dziejach biologii ostatniej doby, iż wykazał on w niej, że dociekania w dziedzinie biologii ogólnej rozpocząć należy przede wszystkim od gruntownego poznania organizacyi owej idioplazmy.

W tym samym kierunku szły dociekania A. Weismanna, twórcy „teorii ciągłości plazmy zarodkowej”, badania Wilhelma Roux'a i całego szeregu jego zwolenników, zwłaszcza zaś biologów amerykańskich, nad tak zwaną mechaniką rozwojową, badania, które wprowadziły eksperyment do morfologii i wykazały doniosłość jego dla wyjaśnienia wielu pytań morfologicznych. Wszystkie te badania, oraz ostro ścierające się z sobą polemiki całego szeregu uczonych, jak Weismanna, Roux'a, O. Hertwiga, Y. Delage'a, Herberta Spencera i innych w najważniejszych kwestyach biologii ogólnej — zaskoczył koniec stulecia, a wiek XX-ty przyniesie nam niewątpliwie owoce tej usilnej i gorączkowej pracy.

Kończąc ten zarys dziejów biologii ubiegłego wieku, musimy jeszcze przypomnieć czytelnikowi, jak olbrzymie postępy uczyniły te jej działy, które bezpośrednio łączą się z medycyną praktyczną. Cała bakteryologia dzisiejsza, wiekopomne prace Kocha, Pasteura, Behringa, Ehrlicha i wielu, wielu innych, toć przecież wszystko owoc badań minionego wieku; cała antyseptyka dzisiejsza, która postawiła chirurgię na tak wysokiem stanowisku, ku pożytkowi cierpiącej ludzkości, to przecie owoc badań biologicznych nad drobnoustrojami, badań, dokonanych w minionem stuleciu. A postępy olbrzymie farmakologii, wykrycie licznych nowych środków leczniczych, metody szczepień ochronnych i wstrzykiwań surowic, a dalej skuteczna walka z chorobami infekcyjnymi, higiena publiczna, rozwój nauk weterynaryjnych, rozwój wspaniałej teorii rolnictwa i hodowli zwierząt, wszystkie te wielkie zdobycze praktyczne, dokonane w ubiegłym stuleciu, zawdzięczają swój początek pracom biologów - teoretyków, dążących do najwszechstronniejszego poznania wielkiej zagadki życia.

Wreszcie postępy biologii w drugiej połowie minionego wieku przyniosły ludzkości jeszcze jedną, olbrzymią, może najszczytniejszą zdobycz. Jak wielkie odkrycia Galileusza, Kopernika i Keplera, wyznaczyły właściwe stanowisko naszej planecie w systemie planetarnym i w całym wogóle wszechświecie, tak wielkie spostrzeżenia biologiczne minionego wieku określiły stanowisko człowieka w przyrodzie naszej ziemi. Naiwny pogląd antropocentryczny minął bezpowrotnie. Cały nasz światopogląd zmienił się skutkiem wielkich zdobyczy na polu antropologii nowoczesnej. Nie tu miejsce zastanawiać się głębiej nad tem, czy ta zmiana poglądów wpłynęła na pewne

uszlachetnienie ducha ludzkiego. Ale gdy uprzytomnimy sobie, że nigdy prawo wolności osobistej jednostek ludzkich, dążenie do ulżenia doli warstwom upośledzonym i do ukrócenia brutalnej przewagi mocniejszego nad słabszym, nie były tak głęboko odczuwane, jak w ubiegłym wieku; że nigdy walka z przesadami i ciemnotą nie była tak jawną, jak w minionem stuleciu; że nigdy dobroczynność publiczna nie była tak wielkiem hasłem społecznem, jak w ubiegłym wieku;—gdy to wszystko zważymy, dojdziemy, sądzę, do wniosku, że dalszy rozwój czystej, zawsze wielkiej i zawsze potężnej, wiedzy ludzkiej stanie się w przyszłości, aczkolwiek bardzo jeszcze dalekiej, podstawą nowej etyki społecznej.

PROF. DR JÓZEF NUSBAUM.



---

# Juliusz Słowacki i poemat „W Szwajcaryi.”<sup>1)</sup>

---

## Rozbiór estetyczno - psychologiczny utworu Słowackiego.

---

### I.

#### **O s o b a b o h a t e r k i.**

Postać bohaterki poematu „W Szwajcaryi“ jest jedynie artystycznym wytworem twórczej fantazyi poety i nie można się w niej dopatrywać żadnej rzeczywistej osoby, podobnie jak nie dopatrujemy się jej przy postaciach Goplany, Skierki, Chochlika lub Lilli Wenedy.

Postać tę trudno sobie wyraźnie uprzytomnić, poeta bowiem maluje ją, jak impresyoniści, niejako plamami kolorowemi wywołując w umyśle czytelnika nie szczegółowy obraz, ale jakieś mgliste wy-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt kwietniowy, str. 89.

obrażenie postaci bardzo białej, jasnej, powiewnej. Uderza nas przezroczyta białość jej lic (w. 308), które rumieniec, urodzony ze śmiechu, zamienia w różę (w. 61), tak samo, jak rumieniec smutny maluje przejrzystym obłokiem (w. 211). Uderza nas dalej kolor jej ust (w. 309); jej uśmiech gnieździ się niejako wśród pereł i róży (w. 59). Sprostrzegamy szafiry jej oczu (w. 261) jej jasne błękitne spojrzenia (w. 383), warkocze, w które cała może się osłonić (w. 311), jej szyję białą (w. 228), alabastry widne choć zakryte (w. 145), po których jeszcze przebiega fala białości (w. 262). Te wszystkie wrażenia, które pod wpływem tego opisu rodzą się w umyśle czytelnika, potęguje jeszcze poeta w dwojaki sposób: najpierw przez oświetlenie i tło, na które postać tę rzuca, a następnie przez nazwy i porównania.

Ukochaną obielił dzień alabastry (w. 135), koło niej igrają tęcze w blasku rozmaite (w. 147), jest ona jasna od promieni słońca (w. 22), biała w blasku księżyca (w. 423), rozwidniona żrenicą błękitu (w. 24), różowa od Alp na śniegu różowych (w. 424). Tym kolorom odpowiada także tło, na którym ją poeta maluje. Pokazuje nam ją po raz pierwszy na tle tęczy rozwieszonych na mgłach srebrzystych (w. 11), i jakby chcąc wywołać odpowiedny nastrój, wspomina najpierw o białym jagnięciu i gołębiu, który przez tęczę szybko przeleci i błysnie. Dalej tłem jest śnieg lawiny (w. 43), para dymiąca (w. 45), grota lodowa o ścianach kryształowych (w. 134), jezioro błękitne (w. 76), łąka jasna (w. 240); lub wprost kraina błękitu (w. 82), niebieskie lazury (w. 178), albo jasność pędząca szafirowym szlakiem (w. 78). Do tego tła dobrane także białe łabędzie, duchy ze skrzydłami na ramionach (w. 184), anioł stróż biały, który rozwiniętymi skrzydłami nakrywa wszystko (w. 197), lilia cała jasna, w bieli (w. 243).—Poeta nazywa swoją ukochaną jasną królową (w. 136), lub wprost mówi biała (w. 140); jest ona jak biała lilia (w. 245), jak białe łabędzie (w. 75), jak gołąb (w. 414), jak widmo blade (w. 31). Nawet uczucia poety mają białe pióra (w. 106) podczas, gdy ukochana myśli o myślach błękitnych (w. 156).

Co wywołało taki obraz, jakie okoliczności złożyły się na takie przedstawienie bohaterki?—Głównem źródłem była niewątpliwie wyobraźnia samego poety, która już dawniej rysowała przed oczami jego duszy, zmęczonej i wyczerpanej smutkiem, postać jakiejś cichej białej dziewczki. Widzimy to najlepiej z listu do matki z dnia 30



czerwca 1835<sup>1)</sup>). Pamiętajsz, mamó, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć... Lilia wodna niech się tobie zamieni w jakąś miłą, spokojną, cichą duszkę, a zrozumiesz moje żądanie“<sup>2)</sup>). Podczas pobytu samotnego w Veytoux marzy znów o takiej białej postaci, gdyż w tym czasie, jak widać z listu „Do autora „Irydiona“<sup>3)</sup>), zrodziła się w jego umyśle biała Lilla Weneda. I rzeczywiście jest ogromnie wiele podobieństwa między bohaterką „W Szwajcaryi“ a postacią Lilly Wenedy. Ta biała Wenedzianka (II, 30), o złotych włosach (III, 25), z głową ubraną w lilie (IV, 7), przemawia tak, jak tylko biała bohaterka poematu „W Szwajcaryi“ mogła-by przemawiać:

„Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,  
Co biały, jak ja, swą mnie siostrą mniema,  
I ten jest za mną, co nad gołębiami  
W nieba błękicie jeszcze wyżej lata:  
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,  
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła,  
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła“<sup>4)</sup>

I można z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że wytworzona siłą wyobraźni poetyckiej postać bohaterki „W Szwajcaryi“ wystąpiła potem wykończona i niejako zrealizowana jako postać Lilly Wenedy. Do tego mogą się odnieść słowa w przedmowie do „Lilli

1) Listy, t. I, str. 303.

2) Ustęp ten odnieszono niejednokrotnie do Maryi W.: że Słowacki myśli tu o wymarzonej postaci, a nie rzeczywistej Maryi W., widać z samego zestawienia tych słów z opisem Maryi W., oraz z następującego po nich zdania: „Ol ol ol z takim wykrzyknikiem konają osoby w tragediach... z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja (naturalnie, ażeby kiedy na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat). Czyżby tak pisał, gdyby taki kwiat już znalazł (w osobie Maryi W.) i tylko nie mógł go pozyskać?

3) Przedmowa do „Lilli Wenedy“, Dzieła, t. III, str. 203, 204

4) Prolog, w. 75—81.

Wenedy<sup>1)</sup>: „Ta mara srebrnej białości (tj. bohaterka poematu „W Szwajcaryi“), która na dziwnej zieleni łąk Szwajcarskich, na odłamie skały, stawała przedemną, teraz, zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiadała swego poświęcenia się historię; cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce, nawet przez ojca własnego, raniła“<sup>2)</sup>.

To wszystko jednak nie tłumaczy nam jeszcze przyczyny, dla czego ta postać bohaterki taka mglista, rozwiana, tak mało rzeczywista, iż zdaje się być—jak zauważył słusznie Ignacy Matuszewski— „tylko złudzeniem, mirażem, subiektywną wizją poety, który nie daje nam nigdy realnego obrazu kochanki, lecz szereg nastrojowych scen, gdzie mglista postać kobieca zlewa się w jedną całość z jakąś niezmierną naturą“<sup>3)</sup>.—Tajemnicę wyjaśnia nam list poety z dnia 20 października 1835<sup>4)</sup>, w którym Słowacki pisze „Trzy miesiące przepełnione pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jednolitość wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury, widziałem ją zbliżoną błękitną, albo chmurną“ — Ze słów tych widzimy, że ta rozwiewność postaci bohaterki, to jej niejako rozplątanie się w tle, jest wynikiem artystycznego zamiaru poety, który w ten sposób chciał oddać harmonię, panującą w naturze, naśladować „tę dziwną jedność wszystkiego“. A widząc z bliska naturę tylko błękitną, lub chmurną, odmalował temi dwoma kolorami, lazurowym i białym, bohaterkę i wszystkie przedmioty, nawet, jakieśmy widzieli. myśli i uczucia; choć gdyby mu szło jedynie o uwydatnienie powiewności

1) Dzieła, t. III, str. 204.

2) Można-by na tej podstawie przypuszczać, że postać bohaterki „W Szwajcaryi“ zrodziła się w umyśle poety pod wpływem znanego napisu na grobowcu Julii Alpinuli. Przypuszczenie to jednak było-by niesłuszne. Postać bowiem „białej dziewczeczki“ była wytworzona w duszy poety jeszcze przed pobytem w Veytoux, jak to widać z zacytowanego listu z d. 30 czerwca 1835. Napis zaś dodał tylko wytworzonej już przez wyobraźnię postaci kilka rysów, które weszły następnie w skład tragedii Lilli Wenedy.

3) Słowacki i sztuka nowoczesna. „Tygodnik ilustrowany“ 1899 r. str. 824.

4) Listy, t. I, str. 314.



i jasności głównej osoby, toby raczej postawił ją tle na ciemnem, na tle borów sosnowych lub skał czarnych, na których przez prawo kontrastu te przeciwne jej własności tem wyraźniej-by wystąpiły.

## II.

### A k c y a p o e m a t u.

Podobnie, jak postać bohaterki, tak również wszystkie opisane w poemacie zajścia między nią, a poetą, wszystkie sceny i zdarzenia są jedynie wytworem poety. Czy jednak na wyobraźnię tę nie działały jakie zewnętrzne pobudki, czy Słowacki nie zaczerpnął skąd pomysłów i motywów do przeprowadzenia akcji?—Można z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuścić, że do poematu weszły pewne reminiscencye z czasów pierwszej miłości poety ku Ludwice Śniadeckiej. Już p. Hössick zauważył, iż scena, w której kochanek podgląda jak się jego ukochana kąpie, pisana jest z myślą o Ludwice Śniadeckiej<sup>1)</sup>.—Widać to z ustępu z pieśni IV. „Podróży po Ziemi Świętej“<sup>2)</sup>, w którym poeta opisuje, jak niegdyś, dawniej na Litwie, w czasie lata, szedł czytać lub marzyć na kładce ponad rzeczka, która była kąpielą gwiazd i jego kochanki.

„I tak czytałem niegdyś walkę Greka,  
 Jak dziecko, które czegoś chce i czeka,  
 Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,  
 (Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie)  
 Czeką, czy biała i powiewna postać  
 (Widać aleje i lipy w ogrodzie)  
 Może z pod wielkiej jarzębiny wstanie  
 I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!“

1) Anelli i trzy poematy, l.f.c., str. 281.

2) Pisma pośm., wyd. II, t. I, str. 148.

Również ta scena poematu „W Szwajcaryi“ (VI), w której kochankowie, rozmawiając z sobą, trzymają oczy wbite do wody, a fala przybliża i łączy ich obrazy, ten także obraz musiał poeta zaobserwować w czasach pierwszej swej miłości. We wspomnianym bowiem ustępie do Ludwiki Śniadeckiej pisze <sup>1)</sup>:

„I chciałbym cały włosem się osłonić  
Nad dawną księgą — i dawne lzy ronić;  
I być zbudzonym, jak dawniej — nad rzeką,  
Gdy na aleje złote słońce spadło;  
Kiedy słyszany jakiś głos daleko  
Wolał jak echo; gdy w rzeki zwierciadło  
Patrzę — patrzałem na twój wzrok uroczy,  
Nio śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.“

Odbiciem tych samych wrażeń może być także obraz z ustępu II „W Szwajcaryi“:

„Powiew miłości owiał mię uroczy,  
Stałem przed nią i spuściłem oczy.“

Prócz tego działały jeszcze pewne wpływy literackie, o których już wyżej była mowa. Mianowicie scenę wspólnego czytania książki zaczerpnął Słowacki z Dantego<sup>2)</sup>, a pomysł ślubu w domku pustelnika zrodził się może pod wpływem Szekspira<sup>3)</sup>.

Tyle co do drobnych wpływów i pobudek, które nie wytłumaczają jednak nigdy całego utworu. Poza niemi bowiem dopiero zaczyna się właściwa praca twórcza pod wpływem siły wyższej, natchnienia, osłonięta tajemnicą, której nigdy żaden krytyk nie będzie w stanie przeniknąć, która często nawet, jak wiemy z zeznań wielkich ludzi, dla świadomości samego piszącego pozostaje zagadką. Tylko pod dzia-

<sup>1)</sup> Pisma pośm., t. I, str. 152.

<sup>2)</sup> Prof. Tretjak „Szkice literackie“, str. 157—9.

<sup>3)</sup> Hösick, „Anhelli i trzy poematy“, str. 272.



łaniem tej bezwiednej potęgi mogło powstać tak skończone arcydzieło, w którym wszystkie najdrobniejsze szczegóły zlewają się w jedną doskonałą, harmonijną całość. Najlepszym dowodem tej skończonej konstrukcyi całości jest akcyja poematu. Pozornie luźne epizody i sceny, związane są jednak w jednolitą całość, a porządek ich oznaczony najistotniejszą potrzebą rozwijającej się w nich myśli przewodniej.

Akcyja zaczyna się u wodospadu rzeki Aar „pod jasną tęczą różnofarbnej bramą“. Tam nastąpiło pierwsze spotkanie dwojga kochanków, tam zrodziła się miłość. Odtąd idą oni razem, pełni szczęścia, które nawet zwierzęta odczuwają. On jej wyznaje swe uwielbienie w pełen prostoty, naiwny sposób, mówiąc o sarnach, które stanęły blisko: „one się zakochały w tobie“. Te słowa i spojrzenia wywołują już rumieniec, który białą twarz ukochanej zamienia w różę. Odtąd ona go prowadzi, gdzie zechce: on znajduje rozkosz w najzupełniejszej uległości; ona też pierwsza wyznaje przed Tella kaplicą, że go kocha. I nie moglibyśmy sobie wyobrazić inaczej tej sceny; wyznanie musiało wyjść od niej; bezgraniczne uwielbienie kochanka straciłoby na swej sile, ujęte w słowa. Stosunek mimo to pozostaje ten sam, pełen wzajemnej nieśmiałości. Kochankowie, wyznając przy kaplicy ponad falą jeziora swą miłość, nie śmieją spojrzeć sobie w oczy i trzymają je wbite do wody; w grocie lodowej zaczyna się kochanek modlić do swej pani, jak do królowej niebios. To jest sam szczyt miłości czystej, nie zmaczonej jeszcze żadnem ziemskim pożądaniem, pełnej niewinności i anielskości. Kochankowie są tak uduchowieni wzajemną miłością, że mogli-by pójść na szczyt góry, chwycić się za łańcuchy gwiazd i ulecieć z plejad gromadą.

Od tego punktu zaczyna się druga faza miłości, w której namiętność bierze powoli górę i rzuca wreszcie kochanków w objęcia. Ta granica oddana mistrzowsko przez samo miejsce, w którym akcyja się rozgrywa. Podczas, gdy tanta miłość kończy się w górze na koronach śniegu, ponad borami sosnowemi, w towarzystwie gwiazd i duchów, ta zaczyna się w parowie, w sosnowej chacie, do której okien zaglądały różę; niedaleko jest kaskada, a szum jej podczas nocy księżycowej miesza się z płaczem słowików. Pod tą kaskadą rodzi się po raz pierwszy namiętność nagle, niespodziewana, gwałtowna:

„I czułem ją tu na mych rękach białą,  
Sercem bijącą, brylantową w oczach“

To uczucie przedtem nieznanie burzy spokój kochanki, wprowadzając w jej duszę bolesną walkę i smutek. Jednym z najpiękniejszych epizodów jest ten, w którym kochanek, widząc ją w takim stanie, chce zatrzeć w jej pamięci to, co się już stało i sprowadzić napowrót w stan poprzedniej czystej, idealnej miłości, i opowiada o lilii jasnej, białej, która czekała aż ukochana umyje twarz i ręce w źródle, o szmerze liści, który on wywołał swem drżeniem, o jej ucieczce, i mówi jak ten, który, czując co innego w sercu, stara się to uczucie słowami zagłuszyć i pokazać, że ono wcale nie istnieje<sup>1)</sup>. Mimo tych usiłowań, tkwiące w duszy pragnienie rozpała dziwnym ogniem skronie kochanki, pogłębia jej ócz szafiry i przyśpiesza falę białości na łonie, aż przychodzi wreszcie do wybuchu namiętności w grocie posępnej i ciemnej, w nocy, podczas burzy czerwonej gromami, gdzie zastał ich dzień „z twarzą ognistą przy twarzy“.—Traktowanie tej sceny jest arcydziełem delikatności i oględności poety, a zarazem siły i dramatyczności. Równie doskonałą jest następna scena, ten kontrast obudzonych teraz w sercu kochanki wyrzutów, obudzonego uczucia smutku i bojaźni przed jakąś straszłą, okropną karą Boską, a natury pogodnej, jasnej, która przez tęczę ranną i przez krążek księżyca, tonący w błękicie, zdaje się głosić wesołość i radość.

Trzecia faza w stosunku dwojga kochanków zaczyna się przy blasku wschodzącego księżyca, przy śpiewie słowików i szmerze liści. W takiej chwili dwa serca:

„Jeśli coś mają przebaczyć—przebaczą,  
Jeżeli o czemś zapomnieć — zapomną.“

W takiej też chwili kochankowie, pełni spokoju, siedzą w progach chaty i rozmawiają o rzeczach anielskich. Jak długo trwa ten pełen zaufania spokój, to ciche, wielkie szczęście,—tego nam poeta nie maluje. Dopiero w zakończeniu utworu wspomina o kilku scenach, które trzeba odnieść do tego właśnie czasu:

---

<sup>1)</sup> Prof. Tretiak uważa, że cały ten ustęp jest zupełnie niepotrzebny („Szk. lit.“, str. 155), podobnie także p. Hösick nazywa tę scenę „najbardziej nieudaną“ („Anelli i trzy poem.“, str. 281). Nie można się zgodzić z temi zapamiętaniami.



„Nie wiem, jak sobie jej postać malować?  
 Czy kiedy poszła śpiącego całować,  
 Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?..  
 Czy kiedy wiejskim otoczona dworem  
 Chodziła, gdyby zaklęta królowa?  
 Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?  
 Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa?

Łatwo odgadnąć przyczynę takiego sposobu przedstawienia rzeczy. Sceny te, pozbawione już bezgranicznych zachwytyłów z pierwszej fazy miłości idealnej, pozbawione także w znacznej części namiętności, cechującej drugą fazę miłości, owiane natomiast pogodą i spokojem były-by obniżyły linię akcji, dążącej ciągle w górę do coraz silniejszych scen i efektów, były-by osłabiły wrażenie ostatniej dramatycznej sceny, której tragizm potęguje i ta okoliczność, że następuje tak nagle zaraz po chwilach pierwszego uniesienia miłosego.

I w chwili najmniej spodziewanej, w chwili „gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna“, przychodzi cicho i nagle nieszczęście, wiodące za sobą smutek, żal, ból i rozpacz. Ukochana umarła. — Chwili tej nie maluje poeta<sup>1)</sup>; oddaje tylko przełom straszny w uczuciach kochanka od uczuć najwyższego szczęścia przez „przecucia, co straszą“ do smutku i rozpacz.

Musimy tu zauważyć, że jak dotychczasowa akcja w poemacie rozwijała się niejako sama z siebie, wszystkie sceny następowały jedna po drugiej z nieubłaganą koniecznością<sup>2)</sup>, tak to ostatnie nieszczęście przychodzi z zewnątrz, nie spowodowane żadnym czynem kochanków, nie wywołane żadną z ich strony winą. Niesłuszne bowiem było-by zapatrywanie, że bohaterka poematu umarła, nie mogąc przeżyć utraconej niewinności. W jej uczuciach bowiem po scenie w grocie widzimy wprawdzie tęsknotę i żal, ale ani smutku, ani rozpacz; owszem w scenach następnych (zwłaszcza jeżeli przyjmiemy ja-

<sup>1)</sup> Przyczynę tego staramy się podać w psychologicznym rozbiórce uczuć smutku.

<sup>2)</sup> Przyroda jest tylko zastosowana do tych scen, ale ich nie wywołuje; na przykład scenie w grocie towarzyszy burza z piorunami, ale jej nie spowoduje.

ko tu należące sceny opisane w ust. XX), jest ona pełna pogody i spokoju. Przyczyny śmierci poeta nie podaje. „Zniknęła jak sen jaki złoty“ i uleciała za niebieskie szranki między Aniołów Boskich (w. 271), którym już przedtem była podobna.

Wszystkie te sceny i zdarzenia przedstawione są w formie opowiadania nieszczęśliwego kochanka. Opowiadanie całe cechuje pewna mglistość i tajemniczość, która nadaje tym scenom cechę czegoś lekkiego, niezemskiego, jak gdyby rzeczywiście chyba we śnie się zdarzyły. Ukochana zniknęła, jak sen jaki złoty (w. 1); sam bohater, widząc ją, myśli, że śni: „I byłem jak ci, co się we śnie boją“ (w. 35), lęka się bowiem, że zniknie jak widmo blade, „nim dusza ze snu obudzona krzyknie (w. 32). Gdy widzi ją przy źródle razem z lilią, obie takie białe, mówi: „Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę (w. 245). Wszystko co zaszło, wszystkie uczucia, całe szczęście, „tego nawet śpiącym nie odsłonić, ani pokazać, ani zawrzeć w słowie“ (w. 194), „wszystko to dzisiaj już podobne snowi“ (w. 374)<sup>1)</sup>.

### III.

#### O b r a z y n a t u r y.

Szczególniejszy koloryt i charakter nadaje poematowi tło, na którym poeta te wszystkie sceny przedstawił, opisy bujnej przyrody, obrazy i widoki Szwajcaryi, które wplótł w akcję poematu. Pobudek zewnętrznych i wzorów dostarczyła mu przedewszystkiem dłuższa wycieczka po górach (w sierpniu 1834 r.), podczas której zwiedził część Szwajcaryi leżącą między jeziorem Genewskim a jeziorem Czterech Kantonów, zachwycając się obrazami i widokami, które podczas tej podróży przesuwają się przed jego oczyma. I tak: kaskada

---

<sup>1)</sup> W języku, zwłaszcza w porównaniach, widoczny jest wpływ Dantego (zob. w. 35, 226, 272, 392). Także piekło wyobraża sobie według Dantego, jako miejsce, gdzie panują „piekielne chłody“ (w. 159). Wpływ ten widoczny jest również w formie, gdyż cały szereg ustępów pisanych jest tercyną (uwagę tę zawdzięczam prof. Porębowiczowi).



rzeki Aar, opisana w ustępie II, jest to znany wodospad Hanclegg<sup>1)</sup>, który poeta musiał widzieć przechodząc przez czarującą dolinę Oberhassli<sup>2)</sup>. Jest to jeden z najwspanialszych wodospadów alpejskich. Rzeka Aar spada z całym impetem rwącej masy wody w głęboką, ciemną przepaść, a rozbijając się o skały, rozpyła na mgłę i proch wodny, który wylatuje w szerokim kole. W porze południowej słońce, padając na wodospad, tworzy na nim tęcze, których łuki podnoszą się lub zniżają.—Tę właśnie chwilę potrafił wyzyskać poeta i z obrazu pelego grozy, podniesionej jeszcze przez dzikie otoczenie, w jakim natura wodospad ten umieściła, utworzyć obraz pełen wdzięku i pogody. Początki rzeki Rodanu, opisane w ustępie III, widział poeta, przejeżdżając przez Grimsel<sup>3)</sup>. Rodan, jak wiadomo, wypływa z wielkiego lodowca (Rhone-Gletscher), rozciągającego się tarasami na przestrzeni około 10 km. Poeta porównywa ten lodowiec do olbrzymiego delfina: w wyższej jego części, pokrytej śniegiem, widzi „srebrzyste nozdrze“, niższą zaś, w której lód ma przesliczną niebieską barwę, uazywa „paszczą błękitną“; z niej ucieka Rodan.

Kaplica Wilhelma Tella (opisana w ustępie V i VI), znajduje się nad brzegami jeziora Czterech kantonów, a mianowicie jednej jego części t. zw. Urnersee. Kaplica leży u stóp góry Axenberg, pomiędzy drzewami; przed nią skała wysterczająca w jezioro (Tellsplatte); o tem miejscu myśli poeta, mówiąc: „Oto przed Tella kościołem pierwsza na kamień wyskoczyła płochą“ (ust. V). Wspomnianą wreszcie w poemacie górę Jungfrau, która się w tęczowe ubiera kolory (ust. VIII), widział poeta, jak pisze w liście<sup>4)</sup>, z okolicy Lauterbrunnen (powyżej jeziora Brienckiego).

Prócz tych miejsc, wyraźnie przez poetę wymienionych, możemy się jeszcze domyślać, że, malując grotę lodową w ustępie VII, myślał o sklepieniach z lodu, znajdujących się w Rosculanen, z których ścian, według słów jego listu „kropliste od słońca spadały deszcze“<sup>5)</sup>—Tak samo miejsce pod kaskadą (ust. X), mógł oglądać w okolicy jeziora Brienc-

1) Nie Giessbach, ani Staubach, jak niejednokrotnie dotąd twierdzono; pierwszy bowiem jest utworzony przez strumień tej samej nazwy, wpadający do jeziora Brienckiego, drugi zaś znajduje się poniżej tego jeziora w okolicy wsi Lauterbrunnen, utworzony przez rwący potok górski.

2) List d. 21 sierpnia 1834, t. I, str. 256.

3) L. c., str. 256.

4) L. c., str. 255.

5) L. c., str. 256.

ckiego. Strumień bowiem Giessbach, o którym wspomina Słowacki w liście <sup>1)</sup>, tworzy poniżej sławnego wodospadu kaskadę, która w formie łuku przelatuje nad grotą znajdującą się w skalach. Z grotty tej, w której można się znajdować, niebędąc zmoczonym ani kroplą wody, roztacza się śliczny widok na całą okolicę przez cienkie pasma spadającej wody. Obraz roztaczający się ze szczytów gór (ust. VIII), opisał poeta zapewne na podstawie wrażeń, których doznał, będąc na szczycie Faulhorn (góra między jeziorem Brienskim a doliną Grindelwald), gdzie słońce czerwone miał niżej od siebie na niebie, a mgła rozpościerała się u stóp jego. Tu również widział zjawisko „wieczorem Alp na śniegu różowych“, gdyż, jak sam pisze <sup>2)</sup>, przed nim wychodził z mgły ogromny szereg gór śniegowych, które wszystkie były czerwone od słońca, ogniste <sup>3)</sup>. Do przedstawienia domku pustelnika (ust. XVII), zaczerpnął pewno Słowacki wzoru z klasztoru św. Bernarda, który tak wielkie na nim zrobił wrażenie. Tu jednak zaszło ciekawe i charakterystyczne przekształcenie widzianego rzeczywiście obrazu. W liście do matki opisuje w ten sposób wymieniony klasz-

<sup>1)</sup> L. c., str. 255.

<sup>2)</sup> L. c.

<sup>3)</sup> Zjawisko to zresztą, dość pospolite w Alpach, powstaje skutkiem tego, że promienie zachodzącego słońca oświetlają jeszcze szczyty gór, podczas gdy w dolinach panuje już zmrok nocny. Opisał je znakomicie Goethe w wierszu p. t. „Euphrosyne“ (S. Werke, Stuttgart 1895 XXV, B.).

„Auch von des höchsten Gebirgs beeisten zackigen Gipfeln  
Schwindet Purpur und Glanz scheiden der Sonne heinweg.

Lange verhüllt schon Nacht das Thal und die Pfade des Wandrers

Der am tosenden Strom auf zu der Hütte sich sehnt,

Zu dem Ziele des Tags, der stillen hirtlichen Wohnung“.

W obrazie, w ustępie VIII, poświęcił Słowacki częściowo prawdę dla uzyskania odpowiedniego wrażenia ogromnej wysokości. Pisze bowiem, że „orły skrzydeł rozwianych żałobą rzucają cienie na lecące chmury“. Obraz ten oddaje znakomicie wysokość, na której kochankowie się znajdują; jest jednak niemożliwy, zwłaszcza przy zachodzie słońca (Jungfrau słońce złote ma pod sobą).



tor 1): „Wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnym i mglistym powietrzu ukazał się klasztor... Ksiądz Gwardyan w czarnym habicie stał na ganku... pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty; za klasztorem błyszczało, oprawione w skalistym brzegu, czarne, ołowianego koloru, jezioro. Klasztor ten, gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycającym“. Życzeniu fantazyi czyni poeta zadość w poemacie i maluje tu ten sam klasztor z krzyżem na szczycie, z psami u bramy, na tle czarnego jeziora, śniegów i chmur, ale już jako samotny dom pustelnika, przez niego samego tylko zamieszkały.

W skład poematu wszedł także niewątpliwie szereg obrazów, które się przesuwają przed oczyma Słowackiego, podczas jego pobytu w Genewie oraz w Veytoux. Z widoku jeziora Genewskiego zaczerpnął pewno poeta tę lazurową barwę, którą maluje wszystkie jeziora, a także rzekę Aar w poemacie. Jedynie bowiem to jezioro odznacza się tą wybitnie niebieską barwą, podczas gdy inne mają raczej odcień szarozielony; rzeka zaś Aar jest koloru szarego, jak zwykle woda wypływająca z lodowca. Wybitny charakter okolic jeziora Genewskiego noszą także ustępy, w których poeta wspomina o różach, cyprysach i wiszniach, o labędziach i śpiewie słowików.

Tak więc obraz natury, który roztacza Słowacki w swym poemacie, nie jest opisem realnym Szwajcaryi, ale jedynie obrazem idealnym. Słowacki nie maluje natury tak, jak się ona z pewnego miejsca i w pewnym okresie czasu przedstawia, ale wybiera i zestawia takie widoki, takie ich oświetlenie i takie chwile w przyrodzie, które odpowiadają jego celowi artystycznemu. Stąd też miejsce i chwila, a szczególnie oświetlenie, stoi u niego w ścisłej i nierozzerwalnej łączności z nastrojem, ze stanem duszy działających osób. Czyż np. idealna, powiewna postać bohaterki mogła gdzieindziej i w odpowiedniejszej chwili ukazać się kochankowi, jak nie właśnie wśród mgły wodospadu i tęczy na tych mgłach rozwieszonej? Czyż mogła gdzie lepiej wystąpić jej niewinność i skromność, jak nie w tej grocie lodowej, w której wszystko przybiera białe, jasne barwy, mróz okrywa perłami różę, a krople ze sklepienia spadają z jasnością ogromną, przez które załamany promień światła wywołuje tęcze rozmaite? Poprzednio zaznaczyliśmy już, że miłość idealna kochanka dochodzi do punktu kulminacyjnego na szczycie góry, podczas gdy namiętność występuje po raz pierwszy w parowie. Scenie w grocie towarzyszy burza gromami czerwona, podczas gdy po wyjściu kochanków z grotu najpięk-

1) L. c., str. 253.

kniejsza pogoda tęczą poranną głosi przebaczenie i spokój. Wschód księżyca w ustępie XVII już nietylko wyraża pewien nastrój, ale nastrój ten sprowadza, zmuszając serca ludzkie do zapomnienia i przebaczenia. Największym już jednak wyrazem tej zupełnej łączności natury ze stanem duszy jest cała scena XVII. Budzącym się smutnym przecuciom kochanka odpowiada tu motyl czarny, który rzuca na czoło ukochanej cienie duże, podczas, gdy pod nim róże wyglądają z pod czarnej gazy. Z gór wydaje się kochankowi ogród, jak cementarz ponury, szalet jak trumna, ziemia smutniejsza, wody błękitniejsze. — Arcydziełem jest zwłaszcza ostatni krajobraz:

„Jezioro czarne, głązy, śniegi, chmury  
 Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,  
 Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie“,

A na to tło rzucony:

Dom pustelnika śniegiem przysypany,  
 I dwa ogromne na straży brytany,  
 Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,  
 Cela, pustelnik stary, księgi w pyłe.

To połączenie barw zimnych, czarnej, białej, błękitnej, wywołuje już nastrój ponury, przygnębiający; rzucone na to ostre oświetlenie, czerwone jak krew, wzbudza uczucie grozy, przecucie nieszczęścia. Z obrazu zaś, na to tło rzuconego, wieje zimno, zaniedbanie, samotność i pustka <sup>1)</sup>.

Z tą cechą opisów natury w poemacie łączy się ściśle druga, mianowicie to, tak świetnie scharakteryzowane przez Krasińskiego, „przymilanie się natury szwajcarskiej, nachylanie się gór i słupów z lodów ku sercu, które kocha i szczęsnem jest“. I rzeczywiście, zdaje się, że cała natura bierze niejako czynny udział w akcji, która się

<sup>1)</sup> Uwagę tę zawdzięczam profesorowi Antoniewiczowi.



na jej tle rozgrywa. Gdy kochankowie idą w góry, płoszą dwie sarny:

Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,  
 Stały blisko, złote, nieruchome,  
 I utopiły oczów błyskawice  
 W kochanki mojej błękitne źrenice.

Za ukochaną leci łódź sama (w. 77), a rybki wyrzucają się do niej z wody (w. 80); fala przy Tella kaplicy łączy i przybliża ich obraz (ust. VI), jeżeli ze szczytu góry nie wróca, potok spadnie po nich też kaskadą (w. 182). Gdy czytają razem książkę, a kochanek całuje ją w usta i porywa na ręce, wiatr rzuca na nich wodę z kaskady i mgły wilgotne (ust. X). Gdy ukochana myje w źródle twarz i szyję, lilia, jak służebnica, czeka, aż ona wyjdzie z kąpeli (w. 244). Tak samo kwiaty patrzą na nich (w. 338), lub nawet szepeczą miłośnic do ucha (w. 268); trzody na łąkach są o nich zadumane (w. 361), a gołębie z ich powodu niespokojne (w. 360). Po śmierci bohaterki, gaje, łąki, strumienie pytają smutne o nią (w. 380), a na dolinie słychać różne płacze i jęki (w. 405).

Wszystkie wreszcie szczegóły obrazu, poszczególne jego rysy, są znakomicie pochwycone z natury. Słowacki, jak sam pisze <sup>1)</sup>, zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnymi dźwiękami natury“; to też zrozumiał ją i odczuł w najdrobniejszych szczegółach i odcieniach. Szczególnie jest on wrażliwy na barwy; malując obraz jakiegoś miejsca, potrafi zawsze wybrać takie oświetlenie, w którym widok ten występuje najlepiej. Już wyżej zaznaczyliśmy, że, opisując wodospad rzeki Aar, wybrał chwilę, kiedy wodospad ten robi największe wrażenie, mianowicie, gdy słońce przez kilka godzin południa pada prosto na wodę i maluje na niej tęcze. Tak samo musimy podziwiać mistrzowstwo oświetlenia w obrazie kaplicy Wilhelma Tella. Poeta postawił kaplicę, „pełną kolorów“, na tle ciemnym skał, borów sosnowych i cieniu, który one rzucają na wodę. I w tym tylko oświetleniu miejsce to występuje najpiękniej, podczas gdy nie wychodzi zupełnie naprzykład u Goethego (Schweizerreise) <sup>2)</sup>, który widzi kaplicę w cieniu, na tle jasno oświetlonych Alp.

<sup>1)</sup> List z dnia 20 października, 1835 roku, str. 314.

<sup>2)</sup> S. Werke: „Stuttgart“, 1895, XXV, B.

Szczególnie ulubione jest przez Słowackiego białe światło księżycy, noc miesięczna, tajemnicza, blada. Gdy księżyc ma się pokazać, panuje w naturze cisza, jak gdyby w oczekiwaniu tej chwili; księżyc wschodzi z tęczą srebrzystą wokoło (w. 320), maluje wszystko na białło (w. 423), zaziera w szybę szklaną jeziora (w. 399), rzuca smutne blaski (w. 401), zdaje się, że chce o czymś cichem pomówić z każdym słowikiem, listeczkim i kwiatem (w. 319). Rankiem kładzie się do snu (w. 267), gdy jego krążek tonie w błękicie (w. 304). To zamilowanie jest szczególnie charakterystyczne, jeżeli porównamy Słowackiego pod tym względem z Mickiewiczem, który zawsze woli silne, jasne, wesołe światło słońca. Również znakomicie oddaje Słowacki szmery i dźwięki w przyrodzie; odpowiednio jednak do treści poematu, są one ciche, przygłuszone, tajemnicze. Ściany grotty lodowej pod wpływem uderzeń kropel wody, spadających ze sklepienia, p ł a c z ą (w. 141), dzwony trzód na górach j ę c z ą (w. 169), dzwonek z domku pustelnika słyhać jak śpiew skowronka na niebie (w. 231). W nocy cichej, miesięcznej, słowiki p ł a c z ą razem z kaskadą (w. 192), kwiaty s z e p c z ą miłośnie do ucha (w. 268), źródła d y s z ą po murawach (w. 316). Znakomicie oddany przez sam dźwięk słów ten „jęk szklany“, jaki wydaje natura przy wschodzie księżycy:

Wszystkie się wtenczas słowiki r o z j ę c z ą

I wszystkie liście na drzewach z a b r z ę c z ą.

Wszystkie te dźwięki stają się jeszcze smutniejsze po śmierci ukochanej; wtedy już fontanny p ł a c z ą (w. 410), słowiki j ę c z ą (w. 406), a po całej dolinie słyhać p ł a c z e różne (w. 408).

Natomiast prawie zupełnie nie oddaje poeta kształtu otaczających przedmiotów. Raz tylko mówi, że lawina śniegowa przybiega do stóp człowieka „spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi“ (w. 44). To właśnie pominięcie, to oddanie przyrody przeważnie w barwach, czyni ją tak idealną, niezmierną, nadaje jej szczególny wdzięk i urok.



## IV.

## U c z u c i a   m i ł o ś c i .

Najistotniejszą wreszcie częścią poematu są uczucia, w nim wyrażone. Możemy odróżnić wyraźnie dwie grupy tych uczuć: miłości i smutku.

Miłość rodzi się odrazu, od pierwszego widzenia. Geneza jej, odana po mistrzowsku w czterech tylko wierszach:

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,  
To zakochały się w niej moje o c z y ,  
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,  
Poszło i s e r c e , a za sercem d u s z a <sup>1)</sup>.

To stopniowanie od zachwytu do sympatii, a od tej aż do związku dusz, który jest dopiero właściwą miłością, nie mogło być rozłożone na dłuższy przeciąg czasu; miłość bowiem taka, jak ją poeta dalej maluje, musiała powstać w jednej chwili, bez starania, bez walki, oporu, bez wątpliwości i wahania, pełna odrazu głębokiej wiary i bezgranicznej ufności.

Początkiem jej, a zarazem podstawą, jest uczucie zachwytu i uwielbienia. To trwa u kochanka bez zmiany od chwili poznania ukochanej, aż do jej śmierci, i daje się odczuć z każdego niemal wiersza poematu. Ukochana jest pełna aniejskiego świtu (w. 23), aniołem złotym (w. 133), jasną królową (w. 136). Kochanek nazywa ją świętą (w. 152), niebieską (w. 283), piękną (w. 293). Gdy ukochana stoi nieruchoma w grocie lodowej, zaczyna się do niej modlić, jak do królowej niebios (ust. XVIII); gdy wybiega z chaty, ustrojona jak gór

---

<sup>1)</sup> Teorya o miłości, która idzie przez oczy, była powszechnie znana w średniowiecznej poezji miłosnej; spotykamy ją także u Dantego („Vita Nuova“). Naturalnie, nie trzeba tu myśleć o żadnym wpływie.

dziewice, myśli, że padnie z zachwytu (w. 340). Tak więc w oczach kochanka piękność fizyczna i duchowa ukochanej zlewa się w jedną nierozzerwalną całość, budząc tak uczucie zachwytu nad jej wyglądem, twarzą i postacią, jak i uwielbienie jej czystości, skromności i niewinności. W związku z tem ostatniem uczuciem pozostaje uczucie zupełnej uległości kochanka względem jego pani; ona go wszędzie prowadzi (w. 74), ona może z nim zrobić, co zechce (w. 87). Słowacki uchwycił tu znakomicie tę pierwszą i najistotniejszą cechę każdej czystej, idealnej miłości. John Ruskin wykazał ją w dziełach całego szeregu największych gieniuszów ludzkości, którzy taką miłość opiewali <sup>1)</sup>. Zdaniem tego gienialnego myśliciela, „we wszystkich wiekach chrześcijańskich, nacechowanych czystością i postępem, widzimy absolutną uległość i posłuszeństwo kochanka wobec jego mistrzyni... W tej, pełnej zachwytu, uległości, tkwi uświęcenie wszelkich sił mężczyzny i nieprzerwany ciąg jego usiłowań“. Jest to uczucie wyższe, ponieważ dla każdego prawego charakteru tylko wtedy możliwe, jeżeli się łączy z silnem przekonaniem o idealnych przymiotach ukochanej.

Najwyższym jednak szczytem miłości wedle poety, to stan, w którym pod wpływem tych uczuć wpada w szczególniejszy rodzaj uniesienia, a dusza, do pewnego stopnia niekrępowana już więzami ciała, odzyskuje swoje pierwotne i naturalne właściwości; w tej chwili przestaje dla niej istnieć materya i przestrzeń („Nie wiem, czy tam była łódź pod nami“; zaczynałem „chodzić po wodach i po niebie latać“, ust. IV), w takim stanie wchodzi w bezpośrednią i rzeczywistą styczność z otaczającym światem duchów. To też nie trzeba uważać za metaforę, ani za poetyczną personifikację, kiedy poeta mówi, że „z duchy prawie zaczynał się bratać“ (w. 72). Kiedy czuje ich obecność naokoło (w. 177), słyszy, jak duch jakiś szepce mu do ucha (w. 207), widzi anioła stróża, który rozwija skrzydła od skały do skały i nakrywa parów i szalet (ust. IX). Stan ten, w istocie swej, nie jest niczem różny od stanu, który nazywamy natchnieniem; wtedy także, jak pouczają nas świadectwa wielu największych gieniuszów ludzkości, wchodzi dusza natchnionego w bezpośrednią styczność z otaczającym nas światem duchów. Ten związek ustaje w poemacie Słowackiego w drugiej fazie miłości, z chwilą, gdy kochanków ogarnia ziemski namiętność.

---

<sup>1)</sup> „Sezam i lilie“, tłóm. polskie, Warszawa, 1900.



Wyrazem wszystkich, powyżej opisanych, uczuć, jest uczucie wielkiego szczęścia, które znów jest złożone z całego szeregu różnych uczuć. Maluje je najlepiej poeta w ustępie, gdy mu ukochana wyznaje swą miłość:

A ja — ach, nie wiem, co się ze mną stało!  
 Czy mnie anieli do nieba zabiorą,  
 Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,  
 Czy uśmiechami rozrywa się łono,  
 Czy serce jak lód rozegrzany taje,  
 Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje...  
 Wszystkie uczucia gwałtownemi loty  
 Na serce spadły, jak gołębi chmura,  
 Pię ły i białe w nim obmywać pióra  
 Aby się czyste rozlecieć po niebie.

(ust. V).

Niekiedy przybiera ono charakter dziecinnej naiwności, wesołości i pustoty. Widać to ze sceny z sarnami, o których kochanek mówi do ukochanej: „One się zakochały w tobie!“, a za to przylatuje do niego najpierwszy jej uśmiech (ust. III). Tę samą naiwność widać ze słów, w których kochanek wyznaje, że przez całe długie pół godziny myślał, iż jego ukochana nie jest niebieskim aniołem (ust. V), lub gdy narzeka na falę, która łączy ich postacie: „Ach, fala taka szalona i pusta!“ (ust. VI). Tak samo ukochana, wyznając mu swą miłość, „na kamień wyskoczyła p ł o c h a“, a potem łódkę jego odtrąciła na fale jeziora. Bardzo charakterystycznym i znakomicie podchwyconym rysem jest to, że charakter ten nadaje poeta tylko pierwszej fazie niewinnej, idealnej miłości. Kiedy później kochanek stara się ten nastrój dziecięco-żartobliwy sprowadzić, mówiąc:

Luba! Jak Bóg jest na niebie,  
 Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna,  
 Lilija jedna wszystkiemu jest winna.

to widzimy, że jest to tylko usiłowanie powrotu do poprzedniego, pełnego niewinności stosunku, usiłowanie, które się już nie udaje.

Z chwilą wystąpienia namiętności ginie bezpowrotnie uczucie szczęścia i wesołości, przeradzając się w uczucie niepokoju i smutku, a podczas sceny w grocie nawet w uczucie trwogi i żalu. Później, choć częściowo powraca (ust. XVI), ale już nie w dawnej sile, i kochankowie idą naprzykład do celi staruszka w nadziei, że ich „może rozweseli“ (w. 334).<sup>1</sup>

Namiętność bowiem gra w poemacie rolę uczucia niższego; ujmuje ona zdradą (w. 203) wbrew woli i mimo świadomości (w. 212). Ukochana boi się tego uczucia (w. 229), broni się przed niem (w. 229), a gdy ją powoli opanowuje, staje się smutniejszą, cichszą (w. 222) i skarży się na nie (w. 266), jakby bólu doznawała. Wybuchowi namiętności towarzyszy tajemna trwoga w ciemności (w. 276), niepamięć jakaś Boskiej kary (w. 277), smutna skarga Nymf czystych (w. 278); po tej scenie zaś występuje nieśmiałość, bojaźń, żalność, tęsknota i wstyd (ust. XV).

Nasuwa się tu jeszcze kwestya dla zrozumienia utworu Słowackiego najbardziej może zasadnicza. Jeżeli, jakżeśmy stwierdzili, postać bohaterki poematu jest jedynie wytworem fantazyi poety, wszystkie opisane sceny nie są odbiciem żadnych rzeczywistych zdarzeń i wypadków; czy również uczucia, w tym poemacie wyrażone, pełne prawdy i szczerości, nie są wyrazem rzeczywistych uczuć? Czy nie mają one żadnego realnego podkładu? Zdaniem naszym, nie ulega wątpliwości, że Słowacki w czasie pisania poematu znajdował się w takim stanie psychicznym, jaki wyraża cały utwór; nie ulega wątpliwości, że odtworzył w nim swoje rzeczywiste uczucia. Stan ten jednak nie był wyrazem, ani odbiciem żadnego rzeczywistego miłosebnego stosunku, ale powstał raczej jako reakcya, wywołana przez tę rzeczywistość, nieodpowiadającą potrzebom serca poety. Słowacki nie powiększył fantazyą rzeczywistego drobnego uczucia do siły, z jaką wyraził je w poemacie, — nie wyidealizował w duszy słabej rzeczywistej sympatyi do potęgi gorącej miłości, ale właśnie czując całą niedostateczność tych uczuć, czując, jak sam mówi, że los go karmi tylko ich okruszynami, że w nich „nie niema wielkiego“<sup>1)</sup>, odrzucił, odrzucił je daleko od siebie i uleciał w kraj fantazyi i imaginacyi. Wymarzył sobie postać jakiejś bardzo miłej, cichej, spokojnej dzie-

---

<sup>1)</sup> Myśl, dwa razy powtórzona: w liście z dnia 27 października 1833 roku (str. 211), oraz w wierszu do Laury (w. XI).



weczki, wymarzył wszystkie, związane z nią sceny i zdarzenia <sup>1)</sup>. Proces ten psychiczny możemy obserwować w jego listach. Już bowiem w liście z dnia 5 lutego 1835 roku pisze do matki: „Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już nigdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakiegoś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobnej do osiągnięcia“ <sup>2)</sup>. Prawie w pięć miesięcy później, w liście z dnia 30 czerwca 1835 roku, opisuje już matce swoje marzenia o jakiejś cichej duszce, białym kwiecie, który-by chciał znaleźć na rzece żywota, obwinąć się koło niego i zasnąć. Jeszcze później, może podczas pobytu w Veytoux, musiały się zrodzić w jego umyśle opisane w poemacie wypadki.

Tak więc uczucia miłości, wyrażone w poemacie, były odbiciem rzeczywistych uczuć poety, ale te nie odnosiły się do żadnej istniejącej rzeczywiście osoby. Była to w całym tego słowa znaczeniu, jak ją znakomicie nazwał Krasiński, „miłość marzona“, której przedmiot był wytworem fantazyi poety. W jaki sposób potrafił Słowacki taką miłość marzoną do tego stopnia plastycznie wyrazić, i z taką prawdą i niemal realizmem odtworzyć wszystkie najdrobniejsze rysy tego uczucia, to już tajemnica nieprzenikniona jego umysłu i tej siły, płynącej z góry, natchnienia <sup>3)</sup>.

---

1) Proces psychologiczny odbywał się właściwie w odwrotnym porządku; najprzód zrodził się w umyśle poety wymarzony stan uczuciowy, później pod jego wpływem powstał szereg wyobrażeń wytwórczych.

2) Ten stan uczuciowy powstał zapewne znów pod wpływem natury szwajcarskiej. W jednym bowiem z listów pisze Słowacki charakterystyczną uwagę: „Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać“ (tom pierwszy, str. 211).

3) O takim uczuciu wspomina Byron w „Wędrownkach Child Herolda“. w których wtenczas rozczytywał się Słowacki. Mianowicie w ustępie pod tytułem: „Jezloro Lemanu“ wymienia Byron Russa, który

Uczuć swych nie dał żyjącej kobiecie,  
Ani zmarłej, w snach naszych wdziwiającej życie —  
Lecz z myśłonej istocie, która kształty wzięła,  
W ognistych pismach wdzięki rozlała obficie,  
I choć p l ó d w y o b r a z i — żywot nru zwichnęła.

## V.

## Uczucia smutku.

Cóż jednak sądzić o uczuciach smutku, które wyraża poeta po stracie swej ukochanej? I tu odtworzył Słowacki częściowo swoje rzeczywiste uczucia tęsknoty, spleenu, melancholii, których tak często doznawał. Widać to dokładnie z listu poety z dnia 27 kwietnia 1834 roku <sup>1)</sup>, w którym pisze: „Przez te kilka dni księżyc w pełni wschodzi za górą. Nie możecie sobie wystawić, jak to smutno i pięknie, kiedy noc czarna, kiedy samotny w moim pokoju otwieram okno i czuję zapach wiosenny liści, i słyszę słowika w alei ogrodowej, a potem widzę z wolna wschodzący za górą księżyc. Uczucia, których wtenczas doznaję, można zamknąć w tych dwóch wyrazach: Smutno i cicho“.

Te same uczucia wyraził poeta w ustępie XIX swego utworu, mówiąc:

I tak mię budzą zalanego łzami  
 Te drzewa, księżyc ten i ta fontanna,  
 I wstaję blady, przez okno wyczieram,  
 Słuchając różnych płaczów na dolinie.  
 Słowiki jęczą i fontanna płynie,  
 Mówią mi o niej, ja serce otwieram  
 I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą...

To samo widać ze wspólności ostatnich ustępów „W Szwajcaryi“ z wierszem do Ludwika Śniadeckiej, napisanym podczas pobytu w Veytoux pod tytułem: „Ostatnie wspomnienia do Laury“. I tam wyraża poeta swój ogromny smutek i melancholię:

---

1) Tom pierwszy, str. 238.



Nic mię nie żegna, nie mię nie czeka,  
 Nic za mną, i nie przedemną.

W ustępie zaś ostatnim „W Szwajcaryi“ mówi:

Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,  
 Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno;  
 I wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie.

W tym czasie odczuwał również Słowacki gorące pragnienie śmierci. W liście z dnia 7 listopada 1834 roku wyraża przeczucie, że go „wicher jaki zmiecie z tego świata“; to samo przeczucie jest przedmiotem wiersza, wpisanego w roku 1835 w album Maryi W. W liście z dnia 7 marca 1835 roku pisze, że chciał-by się gdzie rzucić w jezioro; we wspomnianym zaś wierszu do Śniadeckiej, mówi:

Więc niech mię prędko chmury czarnemi  
 Porywa wicher nicości,  
 Bo już przekląłem wszystko na ziemi,  
 Wszystko w aniele przeszłości.

Tak samo w zakończeniu tego wiersza:

Duszę mi od was wichry uniosą,  
 Lecz wichry, pełne błyskawic.

To samo pragnienie wyraził Słowacki w innej formie w ustępie XIX-tym „w Szwajcaryi“, gdzie mówi, że o śmierć prędką modli się z rozpaczą, oraz w zakończeniu utworu, gdzie przeczują, że:

Dusza stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

Prócz tego możemy jeszcze zauważyć pewien wpływ „Trenów“ Kochanowskiego <sup>1)</sup>. Tam ojciec, nękanym smutkiem po śmierci córki skarży się:

Omyliłś mię, jako nocny sen znikomy,  
 Który wielkością złota cieszysz zmysł łakomy:  
 Potem nagle uciecze: a temu na iawi,  
 Z onych skarbów ieno chęć, a żądze zostawi.  
 Takeś ty mnie Orszulo drogą uczyniła,  
 Wielkieś nadzieje w moim sercu roznieciła,  
 Potymeś mię smutnego nagle odbieżyła  
 Y wszystkie moje z sobą pociechy zabrała,  
 Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę <sup>2)</sup>.

Tę samą myśl wyraził zwięźle i dobitniej Słowacki:

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,  
 Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Pod wpływem jego fantazyi, porównanie Kochanowskiego traci swój pierwotny realizm i nabiera odrazu poetycznego wdzięku i polotu <sup>3)</sup>.

Te wszystkie uczucia przywiązał Słowacki w swym poemacie do śmierci bohaterki. Odmalowanie ich uderza nadzwyczajną wiernością i prawdą. Kochanek dręczy się dobrowolnie wspomnieniami minio-

<sup>1)</sup> W liście z dnia 30 listopada 1833 roku pisze Słowacki: „Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że „Treny“ są niezrównanej piękności.

<sup>2)</sup> Tren XIII.

<sup>3)</sup> Wyraz z ł o t y traci swe pierwotne znaczenie, a przybiera przenośne: czarodziejski, cudowny.



nych chwil szczęścia; cały poemat jest niejako takim wspomnieniem. Bohater zagłębia się myślą w szczęśliwą przeszłość (w. 411) i maluje jedną scenę za drugą, uprzytomniając sobie zarazem swoją stratę i swój ból. („Gdy myślę, boleść dręczy mnie nieźmierna“, w. 131). Przytem jednak unika wspomnień okropnej chwili katastrofy. Przedstawienie tej chwili przewyższa jego siły; „są łzy, co mówić na zawsze zabronią“ (w. 381). Szczegół ten jest znakomicie podechwycony z rzeczywistości. Bardzo często bowiem człowiek, który przeżył wielkie nieszczęście, ucieka myślą od chwili, w której ono nastąpiło, stara się wymazać ją niejako z pamięci, usiłując nawiązać łańcuch wspomnień z wypuszczeniem tego właśnie ogniwa. Dalszem uczuciem, które występuje na plan pierwszy, jest uczucie zupełnej bezradności i niemocy (w. 387)—naturalny wynik poprzednich uczuć, skoncentrowanych ku pewnemu celowi, gdy ten na raz zniknął; w związku z tem uczuciem pozostaje pragnienie zupełnej samotności (w. 388). Na tle wiary w życie pozagrobowe rodzi się pragnienie śmierci, o którą kochanek „modli się z rozpaczą“. Jako pewne ukojenie, wreszcie występuje pragnienie zmiany miejsca; ukojenie bardzo słabe, gdyż połączone jest z silnem przekonaniem i wiarą, że wszędzie, „gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną, z a w s z e mi smutno, i w s z ę d z i e mi jedno“. To samo uczucie wyraża w prostych a głębokich słowach Kochanowski po stracie swej córki:

Lubo wstając gore jaśnie,  
 Lubo padnąc słońce gaśnie,  
 Mnie jednako serce boli,  
 A nigdy się nie utoli<sup>1)</sup>.

To też u Kochanowskiego, jak i u Słowackiego, jedyną ostatnią nadzieją jest nadzieja śmierci i wyższego życia za grobem.

---

<sup>1)</sup> Tren XVII. Ukojenie zupełne dają Kochanowskiemu nie słowa matki, ale następuje ono dopiero wskutek śmierci drugiej córki, która uczy go, „aby ojciec nieszczęsny zaraz odżalował wszystkiego, a na twardsze rozkoszy się ohował“.

W oddaniu tych uczuć smutku przez Słowackiego uderzają dwie szczególnie cechy, które występują najwyraźniej w zestawieniu naszego poematu z „Trenami“ Kochanowskiego. Pierwsza z nich, to dziwny spokój tych uczuć. U Kochanowskiego smutek, boleść, tęsknota mają ponure, surowe i proste rysy; smutek jest tu wrogiem, który obejmuje poetę skrzydłami czarnemi; wydziera mu spokój, wtrąca w otchłań rozpacz i zwątpienia. Poeta nie chce mu uleść i wyzywa przeciw niemu do walki naprzód rozum; gdy ten zawodzi, czas; gdy zaś i ten siadłszy na wadze, nie może żalu ruszyć z miejsca, udaje się do samego Boga, i tu znajduje dopiero ukojenie. Inaczej u Słowackiego. Tu niema porywów i walki. Jest ból z powodu śmierci ukochanej, ale jest także wiara w nieśmiertelność duszy,—a nawet więcej,—jest zupełna pewność i bezpośrednia świadomość wyższego świata duchów. Jest rozpacz taka, jak ją określa Malczewski, „bez przytułku, bez celu, bez granic“, ale nie przeradza się ona nigdzie w bunt przeciw zrządzeniu woli wyższej. Jest pragnienie śmierci, ale objawia się tylko w prośbie o nią, w modlitwie gorącej, w nadziei, że niedaleki czas, w którym dusza umęczona będzie mogła wyjść z ciała i ulecieć za miebieskie szranki.

Tę niezwykłą u Słowackiego cechę uczuć mógł wywołać czynnik, którego wpływ już poprzednio kilkakrotnie wykazaliśmy; mianowicie wpływ przyrody alpejskiej; Poeta czyni charakterystyczną uwagę w jednym ze swych listów z tego czasu <sup>1)</sup>: „Tu wszystko cichą przybiera barwę“. Tak samo w innym liście <sup>2)</sup> określa swe uczucia słowami: „smutno i cicho“. Nic dziwnego zatem, że i uczucia jego na tle tej przyrody taki, a nie inny, przybrały charakter.

W związku z tą pierwszą cechą pozostaje druga, mianowicie, że ten smutek przybiera u Słowackiego jakiś urok poetyczny i wdzięk pociągający. Niekiedy stoi on prawie na granicy rokoszy; poeta usycha z żalu, ale także omdlewa z tęsknoty (w. 2). Nawet śmierć nie ma w sobie nic straszego.

Wywoła ją księżyc, który:

<sup>1)</sup> List z 15 marca 1833 roku (tom pierwszy, str. 177).

<sup>2)</sup> List z 27 kwietnia 1834 roku (tom pierwszy, str. 238).



przyjdzie aż pod ławę,  
 Idąc po fali... z a s z e l e ś c i z ł o t e m,  
 I z a ł a s k o c z e tak duszę tajemnie,  
 Że stęskni, ocknie się i wyjdzie ze mnie.

## Wnioski ogólne.

Dobiegliśmy do końca naszego rozbioru. Utwór Słowackiego jest, zdaniem naszym, w zupełności wytworem artystycznego natchnienia, a nie odbiciem, ani wyrazem żadnych rzeczywistych stosunków. Powiedzieliśmy już wyżej, że utwór ten stanowi w rozwoju twórczości Słowackiego jeden z punktów zasadniczych, od którego zrozumienia zależy już nietylko słuszne ocenienie sposobu tworzenia Słowackiego i wartości literackiej poematu, lecz, co ważniejsza, sąd o całym odpowiadającym temu poematowi okresie życia, a nawet o charakterze samego poety. Kto bowiem przyjmuje poemat „W Szwajcaryi“ jako wylew uczucia ku pannie Maryi W., ten, konsekwentnie idąc, musi przyjąć jakieś wprost niezrozumiałe powiększenie przez fantazyę nikłego w rzeczywistości uczucia; wskutek tego charakter i serce poety przedstawiają się w bardzo niekorzystnem, a nawet wprost ujemnem świetle. Trzeba przyjąć, że Słowacki kocha nie sercem, lecz jedynie fantazyą i wyobraźnią. I sąd ten (zdaniem naszym zupełnie mylny) był niejednokrotnie wypowiedzany. Tak na przykład dr Chmielowski sądzi <sup>1)</sup>, że „miłość u Słowackiego nie jest to miłość człowieka zwykłego, złożonego z ciała i duszy; ale poety, szukającego pomysłów do swoich przyszłych utworów. Głos serca za-

<sup>1)</sup> „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego“, wydanie czwarte, str. 134.

miera—króluje fantazyja“. Najkonsekwentniej przeprowadził ten sposób zapatrywania na charakter Słowackiego hr. Tarnowski w cytowanej już pracy w „Kronice rodzinnej“<sup>1)</sup>: „Można wnosić,—są słowa hr. Tarnowskiego,— że Słowacki żadnej z kobiet nie kochał bardzo, że te wszystkie miłości były jakieś słabe, powierzchowne i niedokształcone, że ani razu nie doznał miłości tak silnej i tyle z jej powodu nie cierpiał, jak naprzykład Mickiewicz. A jeżeli wolno iść dalej w domysłach, to, opierając się na jego ogromnej miłości własnej, rzekli-byśmy, stosując do niego prawdę psychologiczną, sto razy stwierdzoną, że ludzie tego rodzaju w stosunkach z kobietami szukają przedewszystkiem zaspokojenia tej miłości własnej, i że głównym dla nich wdziękiem i powabem w miłości nie jest to, czego doznają sami, ale to, że w kobiecie wzbudzili uczucie. Temu uczuciu się przypatrują, tem się cieszą, niekiedy upajają, a niekiedy tylko bawią, ale sami mniej nierównie czują. Stosunek Słowackiego do wszystkich kobiet, które spotykał... miał taki, jeśli się nie mylimy, charakter.

Zupełnie do innych wniosków dochodzimy, jeżeli przyjmiemy, jak powyżej staraliśmy się udowodnić, że poemat „W Szwajcaryi“ jest jedynie i wyłącznie wytworem artystycznego natchnienia. Wskutek tego, skoro odpada główny dowód, na którym opierano twierdzenie o miłości Słowackiego ku Maryi W., oczywiście jest rzeczą, że należy całą tę „wielką miłość“ sprowadzić do właściwych granic przelotnej sympatyj ku młodziutkiej, piętnastoletniej pannie, sympatyj bez większego znaczenia i głębszego wpływu na życie Słowackiego i jego działalność literacką. Jeżeli zaś rozważymy wszystkie, powyżej zacytowane ustępy, odnoszące się do Ludwiki Śniadeckiej, to musimy dalej dojść do przekonania, że wpływ pierwszej miłości Słowackiego rozciąga się bez przerwy od chwili jej powstania, aż niemal po czasy Towianizmu. Można go zauważyć we wszystkich niemal ważniejszych utworach poety<sup>2)</sup>, nawet (choć w drobnej mierze) w poemacie „W Szwajcaryi“ (który w całości jest wyłącznie dziełem fantazyj). W tem świetle występuje zupełnie inaczej charakter samego poety. Widzimy bowiem, że, podobnie jak jego stosunek do matki, pozostanie na zawsze jednym z najpiękniejszych

1) „Kronika rodzinna“, 1880, str. 289, 290.

2) „Marya Stuart“ (rozmowa między Maryą a Rizziem, akt trzeci, scena siódma). „Godzina myśli“, „Lambro“, „Kordyan“, „Anieli“, „Podróż do Ziemi Świętej“, „Beniowski“ i inne.



przykładów synowskiej czci i przywiązania, tak również pierwsza jego miłość świadczyć będzie zawsze o czystości i szlachetności jego uczuć, o sile i stałości jego charakteru. W tem świetle ukazują się zupełnie słuszne sławne jego słowa w „Beniowskim“, zwrócone do Ludwiki Śniadeckiej:

I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?

Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną.

Bliższe uzasadnienie, oraz przeprowadzenie tych zapatrywań, wykaczało-by już poza ramy naszej pracy.

KAZIMIERZ JARECKI.

---

# Z PODRÓŻNEJ TEKI.

---

## I.

### Inwokacja.

---

Duch gór, duch szczytów woła mnie,  
Głos jego mocny słyszę...  
Pójdź w moje zmierzchy, w moje dnie,  
W moje rozwiewne cisze.

Pójdź w zamki, którem z mgieł i z chmur,  
Zbudował sam dla ciebie,



A oprzyj końce mdlejących piór  
Na przychyłonym niebie.

Wstąp w jary, kędy srebrny pył  
W sto tęcz się rozpromienia,  
I pij z żywiących ziemi żył,  
Z krynicy upojenia.

Kaskad mych struny lutni daj,  
W wichrów je nastrój szumy,  
A zaś dolinom pieśń szczytów graj,  
Surową pieśń zadumy.

W grom się zasłuchaj moich burz,  
Co skalne wstrząsa drzewa,  
A zaś dolinom pieśń nową złóż,  
Pieśń, co wskroś serc rozgrzmiewa.

W milczeniu mojem zaton tak,  
Jak w oceanie nocy,  
A zaś się zerwij — jutrzenny ptak —  
Z zórz pieśnią, z pieśnią mocy.

Wzbij się nad siebie wzwyż a wzwyż,  
Za moich tchów podmuchem,

A weź na czoło chryzmat mych cisz,  
Aż się uczujesz duchem.

Pod tobą wicher, pod tobą grom,  
Przepaści i urwiska,  
A ty wstąp, cicha, w mój wieczny dom,  
Skąd życia zdroj wytryska.

Niema tam cichych, miękkich gniazd,  
Wysłanych w kwietne puchy,  
Lecz bystrzej patrzą oczy gwiazd,  
I głośniej szepcą duchy.

Może obaczysz jutrzeńki wschód  
Złocący czasów ciekli...  
Może zasłyszysz tej wieszczby cud,  
Której czekają wieki...

Wyżej! Wstąp wyżej, w mój tajny świat,  
W krainę ukojenia...  
Na szczytach moich zakwita kwiat,  
Samotny kwiat natchnienia.



## II.

**Na jeziorze.**

Woda — taka cicha,  
Jak sen...  
Wiatr — lekuchno wzdycha,  
Jak sen...  
Łódka — tak ucieka,  
Jak sen...  
Myśl — taka daleka,  
Jak sen...

## III.

**W pustelni.**

Mówią, że święty tutaj żył  
Sam na sam z niebem.

Umartwiał ciało, wodę pił,  
Zagryzał chlebem...

Mówią, że pięciu bożych ran  
Miał krwawe znaki.  
Że chleb i wodę nosiły mu  
Powietrzne ptaki...

Mówią, że gwiazdę własną miał  
Złocistowłosą,  
Że co noc z nieba zbiegała doń  
Stopeczką bosą...

Mówią, że żył tu, jakby cud,  
W wiecznej tęsknocie,  
Aż go raz martwym pobożny lud  
Odnalazł w grocie.

W kapturze czoło, jak ten szczyt,  
Owiany w burze,  
A zaś na sercu ostygłem miał  
Alpejską różę...

. . . . .



Słucham, i nie wiem czy to szmer  
Modlitwy, czy pieszczoty...  
A nad pustelnią ugasa dzień,  
Różano - złoty.

---

IV.

## W błyskawicznym pociągu.

---

Huk, świst, pęd dziki...

— Wszystko zmieszane:

Cisze, okrzyki,

Jeziora szklane,

Bory i góry,

Blaski i cienie,

Błękit i chmury,

Moc i omdlenie,

Śniegi i kwiecie,

Wiosny i zimy...

Świat drży, wre, pędzi;

Tuż po krawędzi...

Coś go ponosi...

Wypadnie z osi...  
Trzymaj się, świeciel  
— My lecim, lecim, lecimy...

Dalej! Daleko  
Od smutku mego!  
— Rzeka za rzeką,  
Spienione biegą,  
Szczyty przez szczyty  
Migają wspięte,  
Kaskad rozświty  
Drżą wniebowzięte...  
Jak ptak skrzydlaty,  
Uderzam w buje,  
Z światów na światy,  
Wzlatam, zlatuję...  
Z dolin na turnie,  
Z turni na hale,  
Niosę się górnice,  
W modrym kryształce...  
Ziemia ucieka,  
Wstecz chmury biegą...  
Zdala! Zdaleka]  
Od smutku mego!

Huk, pęd, świst wściekły...  
— Skalne murzyska  
Lecą tak zbliska,

Że się rozbiją,  
Że prysnąć muszą...  
A nie! Uciekły...  
Uciekły z duszą.  
Gonitwa dzika...  
Świat gdzieś umyka,  
Potworną zmiją  
Barw, światel, kształtów,  
Nataré i gwałtów...  
Nim promień oka  
Padnie z wysoka  
W kwietną równinę,  
Już się w jej głębi  
Piekło rozkłębi,  
Ognisto sine...  
Jakieś olbrzymy  
Tłoczą się, cisną,  
Aż na nich dymy,  
Mrokiem zawisną,  
Wyżrą źrenice,  
Zaczernią lice...  
W huk, w tentencie,  
W komet warkoczu,  
Buchając skrami  
Z wyżartych oczu  
Ślepe olbrzymy,  
Pędzą za nami,  
Pędzą zawzięcie...  
My lecim, lecim, lecimy!



Dalej! Daleko  
Od smutku mego!  
Żary mnie pieką,  
Ziębią mnie śniegi...  
Przepaści brzegi  
Kuszą i biegają...  
W dymie, w skrach, w trzasku,  
Potworne moce  
Pędzą nas z blasku  
W podziemne noce...  
Pędzą ziejące  
Upiorów rzeszą,  
Aż znów na słońce,  
Na dzień nas wskrzeszą...  
W ognistych pyłach,  
— Dech ledwo chwytam,  
Dech ledwo czuję...  
A krew mi w żyłach,  
Jak dzwon pulsuje...  
Nie dbam, nie pytam,  
Co, jak, dlaczego...  
Zlatam, wzlatuję,  
Świat gdzieś ucieka...  
— Dalej! Zdaleka  
Od smutku mego!

---

V.

**W cichej dolinie.**

Góry rozwarły ramiona,  
By objąć cichą dolinę...  
Noc schodzi srebrna, zroszona,  
By objąć cichą dolinę...  
Gwiazdy rozbłysły wysoko,  
By objąć cichą dolinę...  
W zadumie patrzy me oko,  
W daleką, cichą dolinę.

M. KONOPNICKA.

---

# PISMIENNICTWO.

Generał Szilder „Cesarz Mikołaj I i Polska w r. 1825—1831“ Ruskaja Starina 1900.

Ukończywszy obszerne dzieło, poświęcone panowaniu i działalności cesarza Aleksandra I, z którego swego czasu zdawałem sprawę, autor z kolei rzeczy poświęcił pracę panowaniu cesarza Mikoła I, której owocem będzie równie piękne i obszerne dzieło w niedalekiej przyszłości. „Ruskaja Starina“ wydrukowała jednak większy ustęp z przygotowanej do druku pracy, p. t. „Cesarz Mikołaj I i Polska od 1825 do 1831“ i na rozdział powyższy postanowiłem zwrócić uwagę naszego czytelnika, ze względu, iż opiera się on na pierwszorzędnym źródłach, dotychczas nieznanym naszym historykom, i że zawiera bogatą treść, rzucającą charakterystyczne światło na ówczesną epokę w Królestwie Polskiem. Owym nieocenionym źródłem, stanowiącym podstawę pracy autora, jest autentyczna korespondencja Cesarza Mikołaja I z bratem W. Ks. Konstantym i najwybitniejszymi osobistościami rosyjskimi świata wojskowego i cywilnego. W ko-



respondencyi owej występuje najdokładniej charakter monarchy, jego dążenia polityczne i dosadnie zarysowuje się kontrast zasadniczy, jaki tworzył ze swoim poprzednikiem. Dla naszych politycznych dziejów pozostanie korespondencya owa nieoszacowanym źródłem historycznego światła, a na niej wyłącznie poprzestał autor, gromadząc skrzętnie i drugorzędny materyał, aby tylko stworzyć pełny dziejowy obraz.

General Szilder rozpoczyna swą opowieść dziejową od ponurych czasów spisku 1825 r., nadmieniając, że W. Ks. Konstanty oddawał się do ostatniej chwili złudzeniom, że społeczeństwo polskie nie ma z owym spiskiem nic wspólnego, że armia polska, jak zapewniał brata, jest przejęta jak najlepszym duchem lojalności i wierności. Aresztowanie ks. Jabłonowskiego położyło jednak kres owym złudzeniom i wtedy W. Ks. Konstanty przyznał, że nie można pozostawać w bezczynności, lecz, że należy czemprędzej zorganizować Komitet śledczy, który-by się zajął wyświetleniem całej sprawy. Komitet ów został szybko utworzony na poły z rosyjskich i polskich członków, a przewodniczenie w nim powierzono ordynatowi Zamoy-skiemu, prezesowi senatu. Donosząc o tym fackie cesarzowi, W. Ks. Konstanty chlubi się, że wszystko uczyniono na podstawie prawa i że nie dopuszczono się najmniejszej samowoli, a przytem cesarzewicz wyraził nadzieję, że Komitet śledczy będzie w całej tej niefortunnej sprawie surowszym od niego i od monarchy. Przejęcie listów Kościuszki u generała Kniaziewicza dało sposobność W. Ks. Konstantemu do wyrażenia monarsze wyrozumiałego i pobłażliwego poglądu na tajne stowarzyszenia w Królestwie Polskiem. Zdaniem W. Ks. Konstantego całe społeczeństwo polskie jest jednym „société nationale“, do którego upoważnione zostało obietnicami Aleksandra I, albowiem z niemi monarcha, aż do końca panowania swego, nieskrywał się ani na chwilę. Zresztą z postępowania Komitetu śledczego był cesarzewicz najzupełniej zadowolony i upewniał, że cały naród polski jest oburzony na samą myśl, że mogły się wpośród Polaków znaleźć indywidua, które-by miały jakiegokolwiek cele wspólne z rosyjskimi rewolucjonistami.

Z powodu zeznań księcia Jabłonowskiego W. Ks. Konstanty pisał do swych przyjaciół, aby zwrócono uwagę monarsze, jakimi były prądy przewodnie polityki polsko-rosyjskiej cesarza Aleksandra I. Polacy nie mogli być ani ślepymi, ani głuchymi, a w dodatku Cesarz Mikołaj, wstąpiwszy na tron, upewnił wszystkich swym manifestem, iż zamierza wstępować w ślady swego poprzednika. W końcu oświadcza cesarzewicz, iż, skutkiem rozkazu najwyższego, gotów jest milczeć posłuszny monarsze, ale nie mniej jest tego zdania, że o tem

wszystkiem trzeba monarchę uprzedzić i dokładnie objaśnić. Następnie, gdy Komitet śledczy coraz bardziej przekonywać zaczął, że na dnie polskich tajnych stowarzyszeń spoczywa sprawa narodowościowa, a nie żadna wspólność dążeń z rewolucjonistami rosyjskimi, W. Ks. Konstanty, mimo zapewnień, że bynajmniej oskarżonych bronić nie myśli, przekonywa istotnie monarchę, że do swych dążeń upoważnieni byli obietnicami Aleksandra I. Cesarzewicz powołuje się na świadectwo Łańskiego, Nowosilcowa, że po stworzeniu Królestwa Polskiego był stanowczo za wprowadzeniem administracji rosyjskiej, ale na wyraźny rozkaz Aleksandra I musiał się pogodzić z innym porządkiem rzeczy. Przypomina też, że w sprawie nominacji generał-gubernatorów, gubernatorów i wice-gubernatorów, jak również w sprawie mundurów korpusu litewskiego, rzecz była rozstrzygnięta na korzyść polskiej narodowości, i że z tego powodu Polacy mogli mieć uzasadnione nadzieje, że lada chwila obietnice cesarza Aleksandra I przybiorą kształty rzeczywiste. Dzięki tej polityce, ogarnęła Polaków jedna myśl i jedno pragnienie przyłączenia dawnych prowincji do Królestwa, i to pragnienie właśnie stało się zgubnem źródłem, z którego wytrysnęły wszystkie tajne stowarzyszenia.

Gdy Opocznin czytał list z powyższemi wywodami cesarzewicza Mikołajowi I, ten wrzucił tylko ramionami i wyrzekł jeden tylko obojętny wyraz—ach! odpowiedzi jednak wyraźnej na te wszystkie palące wątpliwości od monarchy W. Ks. Konstanty nie otrzymał, ale miał się wkrótce dosadnie przekonać o tem, że Mikołaj bynajmniej w sprawach polityki polsko-rosyjskiej nie myślał iść śladami swego poprzednika. Cesarz Mikołaj I zapatrywał się na politykę obietnic cesarza Aleksandra tak, jak i Orłów, tj. jak na posiew burzy. Sam zamierzał stać twardo na opoce prawa i zobowiązań, pozostawić konstytucję polską nietkniętą, ale zamierzał również ściśle przeprowadzić granicę między Rosyją i Polską i nie ratyfikować ani jednej obietnicy Aleksandra I-ego.“ Wielki Książę Konstanty z goryczą w sercu przyjmował wieści o tym zwrocie polityki cesarskiej, przyrzekając bratu posłuszeństwo i zapewniając go przytem, że już ministrowi Grabowskiemu powiedział, że na zawsze pozostanie Rosyaninem, Mikołaj w odpowiedzi na to odpisał bratu: zostań Rosyaninem, Grabowski niech będzie Polakiem, a ja będę jednym i drugim, Ale w moich własnych oczach przestał-bym być Rosyaninem, gdy-bym przypuścił możliwość odłączenia w jakikolwiek sposób Litwy od Rosyi.

Dopóki on żyje, Polacy nie mogą liczyć na to, żeby się kiedykolwiek na przyłączenie Litwy do Królestwa zgodził, albo-



wiem jest to rzecz nie do osiągnięcia, która-by dla Rossyi mogła sprowadzić oplakane następstwa. Wszystko to nie przeszkodzi mi być zarówno dobrym Polakiem, jak i dobrym Rosyaninem, (tak brzmią słowa monarchy). Dowiodłem tego w każdej okoliczności i dowiodę ścisłem wykonywaniem i ochroną praw, które mój poprzednik podarował Królestwu. Ciężko mi wreszcie poruszać ową strunę, ale to mój obowiązek przed Bogiem i przed Wami, zwłaszcza że w żadnym razie nie chcę Was okłamywać i wolę Wam chwilowe sprawić niezadowolenie. — Wkrótce potem cesarz Mikołaj, ażeby udobruchać brata, prosi go listownie o starego żołnierza polskiego dla syna, późniejszego Aleksandra II, a to gwoli nauczeniu się szybszemu polskiemu języku, którym syn powinien tak władać, jak rosyjskim. Monarcha prosi brata o tę przysługę, chcąc mu okazać, iż wierzy głęboko w jego przywiązanie do swoich dzieci.

Przygotowując się do wojny z Turcją, cesarz Mikołaj miał zrazu zamiar posilkować się w niej i polskimi wojskami. W. Ks. Konstanty zapatrywał się jednak na powyższą wojnę jako na cios dla zasady legitymizmu i, będąc zwolennikiem pokoju, starał się wszelkimi sposobami o wyłączenie polskiej armii od wojennej akcji. Ostrzegał on przytem monarchę, że Austria i Prusy czekają jedynie na ogołocenie z wojska granicy, ażeby doprowadzić do skutku swoje skryte a obłudne zamiary. Do owych ostrzeżeń dołączył W. Ks. Konstanty charakterystyczne uwagi, pochodzące od starego Suworowa, krórego zwykł był mawiać, że zanim się uczyni jakiegokolwiek postanowienie i uczyni krok przed sobą, trzeba rzucić okiem na prawo i na lewo, naprzód i w tył. Cesarz Mikołaj, jakkolwiek mu się uśmiechała myśl połączenia w wojennej akcji dwóch narodów, będących pod jego berłem, wyrzekł się tego, aby nie drażnić brata i uciekł się do półśrodków, to jest wezwał do armii rosyjskiej pewną ilość oficerów polskich, aby przynajmniej: „Croiser et fraterniser les uniformes“. Wkrótce przyszło Mikołajowi jeszcze bardziej żałować, że pomiędzy obydwojma wojskami nie wytworzyła się drużba wojenna na polu bitwy, albowiem przysłani oficerowie polscy okazali się doskonałym materiałem i sam cesarz o nich pisał: Je ne puis assez me louer des officiers que vous avez bien voulu m'envoyer; ils se distinguent partout, où l'on les emploie et plusieurs méritent déjà des récompenses“.

Tymczasem w Królestwie Polskiem, po ukończeniu czynności Komitetu śledczego, sąd sejmowy miał wydać wyrok na oskarżonych. Kraj cały został jednak sterroryzowany i obezwładniony gęstą siecią tajnych stowarzyszeń, które zarzucały kraj pamfletami, rozniecające-



mi ogień namiętności. Sąd sejmowy nie śmiał pójść przeciw prądowi opinii publicznej i wyrok prawie uniewinnił wszystkich podsądnych. Bieliński, prezes sądu sejmowego, miał też wyrzec w chwili stanowczej: serce moje nie pozwala mi potępić narodowego uczucia. Wyrok sądu sejmowego oburzył głęboko W. Ks. Konstantego. W pierwszym uniesieniu krupila się na Bielińskim jego zapalczywość. W listach do cesarza i przyjaciół nazywał go: „la vielle ganache de président“ lub „l'insigne bêtise de Bieliński“. Przytem jednak nie zapominał cesarzowicz, że się coś należy senatowi i nazywał go „notre sot et imbécile senat.“ W r. 1829 skończyła się dopiero oplakana sprawa. Cesarz przesłał wypomnienie senatowi i zatwierdził wyrok, ale w głębi serca czuł się monarcha silnie dotkniętym. Gdy mu w Turcyi zakomunikowano treść wyroku, wyrzekł ze smutkiem: nie-szczęśliwi! ocalili przestępnych, ale zgubili swoją ojczyznę.

Kiedy w 1826 r. wyniknęły wątpliwości co do sprawy koronacyjnej w Warszawie, opowiadano sobie, że cesarz Mikołaj miał zagadnąć księcia Lubeckiego temi słowy: Pojmuję, że po koronacyi na cesarza, winienem się jeszcze koronować, jako król polski; tego wymaga konstytucya, ale nie pojmuję dla czego koronacya miała-by się koniecznie odbyć w Warszawie.—Na to odpowiedział Lubecki w tonie żartobliwym, że nic łatwiejszego, jak spełnić wolę monarszą, ogłaszając, że konstytucya polska stosuje się także i do ruskich stolic. Zgadzał się jednak na koronację w zasadzie i to na koronację w Warszawie, monarcha pragnął tylko, o ile możności, jak najmniej ceremonii, a zwłaszcza religijnych. Le moins il y aura de farces, le mieux cela vaudra pour moi,—oświadcza stanowczo Mikołaj i projekt stosowny polecił wypracować jak najprędzej. W. Ks. Konstanty i w kwestyi koronacyjnej zabrał głos, starając się przekonać brata, że nie powinien z ceremoniału wyłączać zupełnie strony religijnej. Cesarz na przedstawienie brata zgodził się być przytomnym na nabożeństwie w kościele św. Jana i to jedynie dlatego, że on to znajduje „opportun“. W Rosyi wieść o koronacyi nie była przyjęta życzliwie. Mówiono, że nie było przykładu, ażeby się cesarze koronowali dwa razy, i to koronowali w podbitych państwach. W samym obrzędku upatrywano zmniejszenie dostojęstwa imperatorskiego, albowiem pomazańca Bożego dotknie się nieczysta ręka.

Dnia 5/17 maja tegoż roku odbył cesarz uroczysty wjazd do Warszawy. Przy moście praskim koń W. Ks. Konstantego odmówił posłuszeństwa jeźdźcowi, co go stropiło niezwykle, jako złowróźbna przepowiednia. Prymas z duchowieństwem oczekiwali monarchy u stóp Franciszkańskiego kościoła. Monarcha zatrzymał się przed nim, przyjął święconą wodę, i wysłuchał modlitwy, co się wszystkim podo-

bało, a rozgościwszy się w zamku i wzięwszy małżonkę pod rękę, piechotą, bez żadnej eskorty, udał się do pałacu Brühlowskiego z wizytą, gdzie mieszkał W. Książę Konstanty. Wszyscy zachwyceni byli tym dowodem ufności dla narodu i przeprowadzali monarchę gromkimi wivatami. — Nazajutrz odbyła się ceremonia koronacyjna, a gdy po złożeniu przysięgi w sali tronowej na zamku, prymas wykrzyknął trzykrotnie „vivat rex in aeternum“, wśród obecnych senatorów i posłów zapanowała cisza i nikt za prymasem nie powtórzył okrzyku. Gdy ich pytano później o powód obojętności podobnej, odpowiedzieli, że nikt ich nie uprzedził o tym zwyczaju, o którym nie wiedzieli, ale Lisicki, na którego się powołuje niefortunnie generał Szilder, w zdarzeniu powyższem upatrywał stanowczy rozbrat między Polakami a dynastją. — W kościele, dokąd się po koronacyi udał monarcha, musiało, jak pisze Benkendorf, owładnąć Polakami pewne uczucie dumy na widok potomka Piotra Wielkiego, oddającego cześć ich wyznaniu w świątyni, w której tyłu polskich monarchów się koronowało. Na nas jednak, pisze dalej Benkendorf, czyniło to wszystko przygniatające wrażenie, jakby w przewidywaniu niewdzięczności, jaką się naród polski za to wszystko monarsze wypłaci.

Podczas pobytu monarchy w Warszawie panowała pomiędzy braćmi jak najzupełniejsza zgoda. W. Ks. Konstanty jednak czuł się obecnością brata krępowanym w swej samowoli, dla tego objawiał stale „humeur massacrant“. Skargi głośnie na jego srogość nie doszły do wiadomości cesarza, ale Benkendorf oświadcza, że, przebywając wśród posłów i senatorów na uroczystościach, nasłuchać się musiał wyrzekañ na szorstkie i obrażające postępowanie cesarzewicza. Byli nawet tacy, co go upewniali, że oddali-by chętnie konstytucyę i wszelkie przywileje kraju za to, żeby tylko mogli być pod bezpośrednimi rządami monarchy. — Ten złowróźbny nastrój ducha zasmucał szczerze Mikołaja I, złożył on przysięgę narodowi bez żadnej myśli ukrytej, z szczerem i stanowczym zamiarem dotrzymania jej w najdrobniejszym szczególe. Tymczasem W. Ks. Konstanty postępowaniem swoim niweczył wszystko, co zdobywała otwartość i prawość charakteru monarchy. Z drugiej strony nie mógł się cesarz zdobyć na odwołanie W. Ks. Konstantego z tej posady. Uważając go za tego, który był właściwie na tron przeznaczonym, Mikołaj I zachowywał względem brata niezwykle względy delikatności i niezmiernie trudno mu przychodziło wyrzucić cesarzewiczowi choćby najmniejszą nieprzyjemność, i to nawet wtedy, gdy jej się domagały ważne interesa państwowe.

Po koronacyi Mikołaj I udał się do Berlina. Z powrotem odwiedził monarcha znowu Królestwo Polskie i był przytomnym letnim



ćwiczeniom wojska w obozie pod Powązkami. Tam go też doszła szczęśliwa wieść o zwycięstwie Dybicza pod Kulewczą, które rozstrzygnęło o losach kampanii. W obozie też pod Powązkami odbyło się dziękczynne nabożeństwo w przytomności całego wojska, a po jego ukończeniu monarcha wykrzyknął—hurra! który to okrzyk powtórzonym był gromko przez żołnierzy. W. Ks. Konstanty niezadowolony był z tego powodu; uważał on całą uroczystość za zbytęczną demonstracyę, a przede wszystkim nie podobał mu się okrzyk hurra! Odjeżdżając z kraju monarcha miał spotkanie z księżną Czartoryską, matką, księcia Adama w Puławach, ale tylko spotkanie przypadkowe, albowiem zaproszenia do Puław przyjąć nie chciał. Stara księżna Czartoryska wychodzi z tego opisu nieszczególnie, bo nietylko ukazuje się nam, jako czarownica, ale jako niegrzeczna. Opis też owego spotkania nosi cechy nieprawdopodobieństwa i powstał tylko chyba skutkiem nieporozumienia, zupełnie przypadkowo.

W r. 1830, przybył Mikołaj I znowu do Warszawy, ażeby otworzyć pierwszy sejm polski za swojego królowania. Mowa tronowa i wogóle wszelkie przemówienia publiczne monarsze nosiły inne piętno, aniżeli za Aleksandra I. Polityka obietnic stanowczo porzuconą została i myśli przyłączenia Litwy do Królestwa odnaleźć nie było można. Za to cała mowa dotyczyła spraw Królestwa i przekonywała, że monarcha szczerze się jego dobrem zajmować myśli. W listopadzie 1830 r. Dybicz został wysłany do Berlina w celu ostatecznego omówienia wspólnej akcji przeciw Francyi, od której Prusy się wszelkimi sposobami wykręcić chciały. W Berlinie też zaskoczyła Dybicza wiadomość o wybuchu rewolucyi w Warszawie. Król pruski nie omieszkał zapytać bohatera zabałkańskiego, co się stanie obecnie z ową armią 160,000, przyrzoną przez Rosyę przeciw Francyi, a Dybicz w odpowiedzi uważał za stosowne przyśpieszyć swój wyjazd do Petersburga, poprzedzając go listem do monarchy, w którym nazywa Polaków „*ces misérables rebelles*“, i zapowiadając: że „*le peuple polonais subira les peines d'une corruption générale, on ne peut détruire des vices radicaux qu'en les deracinant*“. W dodatku bohater zabałkański wyobrażał sobie, że usmierzenie polskiego powstania jest dziecinnem zadaniem.

Cesarz Mikołaj otrzymał list od W. Ks. Konstantego, pisany z Włodawy, w którym oświadcza, że dzieło lat szesnastu zostało przez gromadkę podchorążych, oficerów i studentów zniweczone. Cesarzewicz stwierdza, że cała masa ludności, a zwłaszcza właściciele ziemi, są rozpaczeni podobnym zwrotem, a sam opisuje czarnymi barwami położenie swego wojska i oficerów, którzy wyszli tylko z tem, co mieli na sobie. W Ks. Konstanty oświadcza też otwarcie, iż ma



złamane serce. W 52 roku życia, a w 36 roku służby, nie myślał, aby mu przyszło zakończyć karierę w tak oplakany sposób. Na końcu modli się cesarzewicz do Boga, aby ta armia, której poświęcił szesnaście lat życia, zastanowiła się i powróciła na drogę obowiązku i czci. W odpowiedzi na ów list monarcha odpisał bratu w bardzo charakterystycznych wyrazach. *Si des deux nations et des deux trones l'un doit périr, puis-je balancer un instant et vous même ne le feriez vous pas. Ma position est grave, ma responsabilité terrible, mais ma conscience ne me reproche rien vis-à-vis des Polonais.*

Tymczasem rząd rewolucyjny wysłał dwóch deputatów do Petersburga, w celu porozumienia się ostatecznego z Cesarstwem. Deputatami owymi byli: książę Lubecki i hrabia Jeziński. Mikołaj I zdecydował się przyjąć deputatów pojedynczo: Lubeckiego w charakterze ministra, a Jezińskiego w charakterze podróżnika (*voyageur*). Z Lubeckim trwała rozmowa półtorej godziny. Jeziński, wezwany do Cesarza, rzucił się przed nim na kolana i łkał jak dziecko. Monarcha, uspokoiwszy jego troski, wytłómaczył mu jasno, iż jedynym sposobem doprowadzenia rzeczy do możliwego porządku będzie to, jeżeli dyktator ukarze winnych. Monarsze nie wypada się okazywać karcicielem i przyjemniej mu będzie wystąpić z aktem łaski i przebaczenia. Przedewszystkiem sam naród polski winien z siebie zmyć piętno winy i oczyścić się w oczach cesarza, Europy i własnej ojczyzny. Jeziński przyrzekł, że wypełni wolę monarszą, na co mu odpowiedział Mikołaj, w takim razie pana powieszają.—Wszystko jedno, ale spełnię swoje,—zakonkludował Jeziński. Nazajutrz zjawił się Jeziński u Benkendorfa, zapewniając, że wymyślił środek zapobiegający komplikacyom obecnej chwili, a gdy zaciekawiony Benkendorf zapytał o ów talizmaniczny środek, odebrał od Jezińskiego objaśnienie następujące: Cesarz winien oświadczyć mniej więcej jak następuje: Polacy, jestem z was niezadowolony, zhańbiliście się, ale daję wam środek poprawienia wszystkiego. Wyruszcie bezwzględnie przeciwko Galicyj i Poznańskiemu. Ja te prowincye wam ofiaruję.—Benkendorf miał co do zdrowych zmysłów Jezińskiego pewne wątpliwości, wytłómaczył mu niepodobieństwo podobnego środka, a co do uzdolnienia politycznego Polaków, zachował nie bardzo korzystne wyobrażenie, nadmieniając „ils sont tout plus ou moins malades d'esprit.“

Cesarz Mikołaj był przekonany, że od przebiegu kampanii zależy egzystencya polityczna Rosyi, i że dla tego nie zemsta, ale nieunikniona konieczność zmuszała go do wojny. Przerwaniem boju pod Grochowem przez Dybicza był monarcha szczerze zmartwionym, i nie szczędził bohaterowi zabałkańskiemu gorzkich wymówek. Niestety! był to dopiero początek nieszczęśliwych pomysłów i pomyłek zara-

zem. Gwiazda Dybicza miała zagasnąć na zawsze. Co się tyczy bitwy pod Grochowem, której wyzyskać nie potrafił, to krążyła później opinia, iż Dybicz chciał z korpusem Szachowskiego wykonać rozpaczliwy atak na Pragę, ale w chwili stanowczej dano mu radę, aby zaniechał kroku tak ryzykownego. Dybicz radzie tej uległ, i nigdy doradcy nie chciał wymienić, ale przypuszczano, że był nim W. K. Konstanty. Po Grochowie, który, zdaniem cesarza Mikołaja I. powinien się być zamienić w Berezynę, rozpoczęła się korespondencja monarchy z Dybiczem, przepełniona coraz więcej goryczą. W jednym z listów pisze cesarz Mikołaj do Dybicza te słowa: „według własnych waszych raportów, posiadasz pan 189,000 wojska przeciw około 80,000 Polaków, a wszędzie spotykamy nieprzyjaciela w prawie równej sile, i we wszystkich pańskich rozporządzeniach nie widzę nic takiego, coby pomyślny skutek obiecywać miało“. W późniejszym znów liście przypomina Mikołaj Dybiczkowi, że Suworow potrafił z małą ilością wojsk zwyciężać Polaków, i że wieki całe są świadkami tego, że Polacy nie są w stanie nieustannie zwyciężać Rosssyan. Z raportów Dybicza zaś wynika, że 89-tysięczny korpus rossyjski znajduje się w stanie obronnym przeciwko 40,000 Polaków. „Tout cela est pitoyable“, — zakończył cesarz.

Gdy jednak Dybicz przyszedł do przekonania, że z armią, którą dowodził, nie będzie w możności pokonania rewolucyi, i że należy w tym celu uciec się do narodowego opolczenia, wówczas cesarz wezwał z Tyflisu Paskiewicza. W Petersburgu zakomunikował monarcha Paskiewiczowi projekt pozbycia się Królestwa Polskiego aż do prawego brzegu Wisły. Paskiewicz zgodził się z owym planem w zupełności. Jego zdaniem należało ukarać Polaków pozbawieniem ich nazwiska Polaka i dla tego przedewszystkiem powinno zniknąć na zawsze Królestwo Polskie. Następnie zaś trzy województwa: Mazowieckie, Kaliskie i Sandomierskie można-by odstąpić Prusom, a województwo Krakowskie Austryi. Tym sposobem oba mocarstwa będą związane wspólnym interesem z Rosssyą i stanowić będą naturalne przymierze przeciwko Francyi i Anglii. Wreszcie, ażeby dostatecznie ukarać Polaków za niewdzięczność i wiarołomstwo, powinien monarcha z rzędu swych tytułów usunąć nazwę króla polskiego. Dopiero wtedy każń będzie dostateczną.

Nominacya Paskiewicza opóźnioną została odniesionem przez Dybicza zwycięstwem pod Ostrołęką. Zwłoka jednak niedługo trwała, albowiem Mikołaj I rozgoryczony był silnie tem, że Dybicz po raz wtóry w tej kampanii nie umiał wcale wyzyskać zwycięstwa. Monarcha zdobył się jednak na łaskawy list do Dybicza, w którym go zachęca: „prouvez



que vous êtes encore le staryj zabalkanskij. kończąc: „Adieu! mon cher ami, faites enfin de façon, que je puisse vous comprendre“. Ale list monarszy nie zastał już Dybicza przy życiu, słynny bowiem wódz Zabalkański umarł na cholereę pod Pułtuskim. Główną komendę nad wojskiem objął czasowo Toll, ale zawiadomił bezzwłocznie cesarza, iż czyni to z konieczności, prosząc o zanominowanie wodza, gdyż sam nie czuje się zdolnym dźwigać taką olbrzymią odpowiedzialność. Po otrzymaniu nominacji, Paskiewicz podążył do armii, i z Pułtuska zawiadomił Cesarza listownie, że zdecydowany jest wykonać plan, nakreślony przez Mikołaja, to jest przeprowić się przez Wisłę i zdążyć szybko ku Warszawie.

Z wieścią o poddaniu się Warszawy wysłany został do Petersburga Suworow, wnuk generalissimusa. Wieść powyższa została przyjęta przez monarchę i cały kraj z radością, ale i w pośród Rossyan objawiły się głosy, przemawiające do monarchy za przebaczeniem i złagodzeniem kary na winnych. Charakterystycznym jest przemówienie Parrota, dawnego druha Aleksandra I, który w podniosłych słowach wykazywał monarsze, że zemsta jest jedynie objawem namiętności, i karząc żywych, nie wskrzesi się umarłych. W słowach tych przejawia się więcej szczeroci, aniżeli w długich i zimnych wywodach, jakimi raczył ambasador francuski Mikołaja I.

Na tem kończę sprawozdanie z interesującej pracy generała Szildera, nadmienając, że pozostanie ona cenną dla naszych historyków, jako sumienne streszczenie źródeł rosyjskich, które były dla nas niedostępnymi, a więc i nieznanymi. Polskich źródeł autor nie znał, gdyż cytowanie w dwóch, czy w trzech miejscach namiętnej i nienaukowej pracy Lisickiego za znajomość literatury polskiej uważanem być nie może. Jednostronna znajomość źródeł wpłynęła również niekorzystnie i na sądy historyozoficzne autora. Przyznać można łatwo, zapatrując się zwłaszcza na przeszłość ze stanowiska rosyjskiego historyka, że polityka Cesarza Mikołaja, uznająca obietnice poprzednika za niewykonalne mrzonki i niepozwalająca odrywać Litwy od Rosyi miała poważne racye stanu za sobą. Mimo to, niewolno rosyjskiemu historykowi przypisywać katastrofy 1831 roku temu jednemu powodowi, i z tego tytułu ferować straszliwe wyroki na polskie krótkowidztwo i lekkomyślność. Sam autor przytacza świadectwa wiarogodnych rosyjskich dygnitarzy, że Polacy oddali-by nawet swą konstytucyę, byle tylko nie zostawać pod rządami W. K. Konstantego, które ich narażały na nieustanne upokorzenia i nasuwały poważną troskę o przyszłość. Pozostawienie W. K. Konstantego



na przodowym stanowisku w Królestwie, pomimo tylu dowodów lekceważenia dla porządku konstytucyjnego, okazywanych jeszcze za Aleksandra I, wzbudzało powszechne przekonanie, że on-to właśnie przeznaczony został przez monarchę na grabarza konstytucyi i Królestwa Polskiego. Z postępowania Cesarzewicza sądząc, nikt odgadnąć nie był w stanie, że W. K. Konstanty staje w obronie polityki Aleksandrowskich obietnic, a wszyscy natomiast byli przekonani, że wkrótce, za zgodą monarchy, wybije ostatnia godzina dla autonomii Królestwa. Sentyment braterski, cokolwiek zadaleko posunięty, uczynił politykę cesarza Mikołaja I niejasną. Otwartość i lojalność monarszego charakteru nie została należycie zrozumiana i oceniona dla tego właśnie, że czyny namiestniczej władzy (choć formalnie W.K. Konstanty namiestnikiem nie był) stały w sprzeczności z wykonaniem prawnych zobowiązań i przysiąg, a bynajmniej nie dla tego, że rozwiewały obietnice Aleksandra I. Ten ważny wzgląd powinien w oczach rosyjskiego historyka złagodzić surowe potępienie katastrofy 1831 roku. Wyrozumiałości tej jednak nie spotykam u generała Szildera w należytnym stopniu.

A. REMBOWSKI.

---

Ada Negri: „Niedola. Burze“. Przekład Maryi Konopnickiej. Warszawa, 1901.  
Nakładem Bronisława Natansona.

Ada Negri-Garlanda należy do najznakomitszych talentów poetyckich Włoch współczesnych. Urodzona w roku 1870 w Lodi, jako córka biednej robotnicy fabrycznej, poetka przeszła w dzieciństwie przez całe piekło nędzy, a zdobywszy wykształcenie, poświęciła się stanowi nauczycielskiemu. Wychowana w warunkach ciężkich, w prawdziwej niedoli, która po ziemi włoskiej chodzi wzdłuż i wszerz i urąga jasnemu błękitowi nieba, rozpiętemu nad tą krainą sztuki i wiecznego piękna, karmiona gorzkim chlebem zawodów i trosk, Ada dojrzała wcześniej i wcześniej zaczęła pisać.

Pierwszą jej książką był zbiór wierszy o głębokiej treści społecznej, wydany pod wiele mówiącym tytułem: „Fatalità”. Wówczas-to oczy Włoch całych zwróciły się na młodą nauczycielkę wiejską z Motta Visconti, a imię Ady Negri stało się głośne. Rozgłos ten jednak nie zmienił w niczem położenia poetki. Autorka „Niedoli” po dawnemu uczyła niesforną dziatwę wiejską, w drewnianych chodakach biegnąc co rano do szkółki i skromną pensją opędzając potrzeby własne i nadewszystko ukochanej matki. W tej atmosferze powstały dalsze jej utwory, które świadczą, że płomienny duch młodej dziewczyny przewyciężyć umiał wszystko, a prawdziwy jej talent łamał wszelkie przeszkody, rósł i męźniał, krystalizował się i nabierał blasku. „Tempeste” (Burze) zajaśniały już blaskiem tym w całej pełni i wywołały żywe zainteresowanie się osobą autorki dwóch książek, rozechwytywanych przez czytającą publiczność całej Europy.

Najprzód tedy, staraniem Emilii Peruzzi, Florentynki, kobiety, pałającej chęcią przyczynienia się ku wszystkiemu, co górne i dobre, młodzianka Ada Negri otrzymała pensję z asygnacji, którą przed nią pobierała znana poetka neapolitańska, Giannina Milli. Pensja ta, wynosząca 1,700 lirów rocznie, zapewniła jej na czasie byt i pozwoliła swobodnie pracować w umiłowanym kierunku. Wkrótce potem powołano ją na nauczycielkę literatury do „Scuola Normale Gaetana Agnesi” w Medyolanie, gdzie młode dziewczęta przygotowują się do zawodu nauczycielskiego. Ostatecznie jednak byt jej ustaliło zamążpójście. Zaślubiwszy w roku 1896 bogatego fabrykanta, nazwiskiem Garlanda, poetka zamieszkała w uroczem ustroniu wiejskiem, gdzie odtąd w szczęściu i zadowoleniu tworzy dalej.

O życiu jej prywatnem wogóle wiemy mało. Ani Sofia Bisi Albini, która podała krótką biografię Ady Negri w gorąco skreślonym wstępie do jej „Fatalità”, ani p. Hedwig Jahn, w niemieckim przekładzie jej poezyi — nie umieją nas o tem poinformować. Poetka bowiem jest bardzo skromna i powściągliwa w udzielaniu wskazówek, dotyczących własnej osoby. Na liczne zapytania w tym kierunku odpowiada krótko: „Kochałam, pracowałam, i całą duszę swoją, i cały swój talent poświęciłam podniosłemu ideałowi. I dziś pracuję także, i będę pracowała zawsze — oto wszystko”.

I jest w tem szczerą prawda. Miłość, praca i gorące ukochanie ideału tętnią w tych poezyach pięknych i silnych, a niepowszednich swoją mocą w dobie rozkładu, zniechęcenia i apatyi. Krzepią one i podnoszą na duchu.

Imię Ady Negri dobiegło i do nas, ale z utworami jej ogół nasz dotychczas mało się zaznajomił. Kilka mniej lub więcej szczęśliwych przekładów w pismach peryodycznych i zupełnie nieudolne elukubracje G a b o r a, które ukazały się w roku zeszłym w postaci książki, nie spopularyzowały u nas włoskiej poetki. Dopiero tłómaczenie obecne otwiera przed czytelnikiem polskim cały skarbiec myśli i słowa Ady Negri, a *Nie d o l a* i *B u r z e* wchodzą do literatury polskiej, nie jako gość przelotny, ale jako nabytek trwały i cenny.

Zasługa to p. Maryi Konopnickiej i jej wielkiego, wszechstronnego talentu.

Szczęśliwy poeta, któremu los pozwoli mieć takiego tłómacza! Wówczas dzieło jego nie traci w przekładzie, ale, częstokroć, zyskuje nawet.

I w danym wypadku, w znacznej części, tak właśnie się dzieje. P. Konopnicka bowiem nie przełożyła, ale o d t w o r z y ł a poezję Ady Negri, i tę szlachetną pracę odtwórczą, daleką od rzemiosła literackiego, nie przypominającą biurka, zarzuconego słownikami, samodzielna, nie wzorowaną na przekładach francuskich i niemieckich — znać w każdym wierszu.

Odbiegając czasem od oryginału, walcząc z trudnościami rytmu i wysłowienia, poetka nie wszędzie zdobyła się na „*p o s a g o w e p i ę k n o*“, ale wszędzie wywiązała się z zadania, jakby tego nikt inny nie potrafił, wykazała wszystkie zalety oryginału i ujawniła wszystko, co poza tezą społeczną jest u Ady Negri prawdziwą poezją. A jeśli popełniła jaką nieścisłość, to, niewątpliwie czuła ją i zostawiła — tylko, jako *m a l u m n e c e s s a r i u m*.

Tak się stało naprzykład z prześliczną „Prządką“ („Popolana“). Utwór ten niezwykle rytmiczny, dosadny i jednolity, przetłómaczony został świetnie oprócz ostatniej strofy.

W oryginale brzmi ona:

Nero di polve e splendido d'amore

Affranto e sorridente,

Ecco, ei m'avvolge in una stretta ardente

E sento sul mio cor battergli il core.





Come timido augello sotto l'ala,  
Come rosa divelta e reclinata...

Ho bisogno di pace.

Sul tuo giovine fronte, oh lascia,  
[lascia  
Ch'io preme il labro acceso e trepi-  
[dante,  
Ch'io ti susurri l'unica parola

Che inebbrii nel delirio d'un in-  
[stante...

Ho bisogno d'more.

Jak kryje głowę ptak trwożny pod  
[skrzydło,  
Jak róża wspiera zbyt pełną ko-  
[ronę...

Potrzeba mi spokoju!

Do twego czoła młodego—o, daj mi,  
Przycisnąć usta płomienne i drzące!

Daj, niechaj szepną tobie jedno  
[słowo,

Słowo szalone i upajające --

Potrzeba mi miłości!

Uwalnia nas to od szczegółowego rozbioru przekładu „Niedoli“ i „Burz“. Ada Negri, w której pieśni „dźwięczy struna szczerolota miłości, co świat odradza bez końca, jako pocałunek słońca płodna, a wiekuista, jak posiew żywota“, znajdzie u nas czytelników wielu a dzięki przekładowi p. Konopnickiej, zyska sobie licznych przyjaciół wśród tych, co, narzekając na jałowość twórczości współczesnej, na przekwit formy, na sztukę dla sztuki i pogoń za nieuchwytnym absolutem, żądają od poezyi treści podniosłej i ideałów społecznych. Te znajdują wszyscy. Jeżeli bowiem, jak mówi p. Bisi, istnieje poezya, którą zdolni są odczuwać w s z y s c y, to jest nią poezya Ady Negri, nawskroś współczesna (moderna) i demokratyczna. Wre w niej rzeczywistość, o którą tak wołał Artur Graf, a która istotnie płynie tam, jak potok, jak „ogromna fala głosów, które wprawiają nas w podziw, zapalają entuzjazmem i smucą śmiertelnie.“ A nad tem brzmi głos nadziei i wiary:

W bólu najwyższy lot bierze ptak boży...

Kto noc przewalczy, zwycięża o zorzy.

Książka, z wyjątkiem kilkunastu utworów, zawiera wszystkie, objęte wydaniem włoskimi, poezye Ady Negri. Nakładcy wydali ją, jak na stosunki nasze, bardzo wykwintnie i starannie. Całość, nader estetyczną, szpeci jedynie przeładowanie ozdobami kwiatowemi, które wykonane są szablonowo i bez smaku, a przytem — podnoszą niepotrzebnie cenę książki.

Z. D.



---

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Mamy przed sobą sprawozdanie z działalności Towarzystwa higienicznego za rok 1900, instytucji, która rozwija się stale i pomyślnie, mimo iż w społeczeństwie naszym nie znalazła jeszcze ani takiego poparcia, na jakie zasługuje dla celów i zadań swoich, ani takiego, jakie jej się należy względnie do naszego poziomu kulturalnego. Członków liczy Towarzystwo obecnie 505 rzeczywistych i 181 zwyczajnych. Z liczby członków rzeczywistych w Warszawie mieszka stale 428. Jest to bardzo mało i świadczy, że nawet nie wszyscy lekarze warszawscy poczuli się do obowiązku materialnego i moralnego poparcia młodej instytucji, że większość naszej inteligencji, acz niewątpliwie sympatyzuje z Towarzystwem, z dziwną powściągliwością zachowuje się wobec niego. I rzeczywiście nie tylko nie wstępuje ona w poczet jego członków, ale trzyma się z daleka od wszelkich prac T-wa i — jak to zaznaczyła już nieraz prasa — nie uczęszcza na cie-

kawę i pouczające odczyty w tej liczbie, w jakiej-by się tego spodziewać należało.

Przyczyna tego tkwi niewątpliwie w naszej bierności i apatii, w naszym lekkomyślnem traktowaniu wszelkich, najdonioślejszych nawet, spraw społecznych, w zdolności zadowolenia się frazesem, tam, gdzie potrzeba czynu i gdzie tylko powolna, ale ciągła i wytrwała praca wydaje owoce. Hasła umiemy głosić i, głosząc je, dużo przytem hałasu czynić, ale według tych haseł postępować i ideę jakąś w życie wcielać potrafią u nas tylko nieliczne jednostki.

Tym jednostkom właśnie zawdzięcza Towarzystwo higieniczne, iż, mimo braku należytego poparcia ze strony ogółu, nie wiedzie życia anemicznego, i że działalność jego nie jest bezpłodna, choć w bardzo jeszcze skromnych zamyka się granicach. Oto jej rezultaty:

W r. 1900 rada Towarzystwa z inicjatywy jego wydziałów załatwiła sprawy następujące:

- 1) Na posiedzeniu wydziału higieny ludowej: a) dano tytułem zapomogi rubli 400 na budowę i urządzenie łaźni ludowej w osadzie Drobin gub. Płockiej; b) rozesłano do fabryk warszawskich i prowincjonalnych broszurę d-ra Bartkiewicza, p. t. „Statystyka kąpeli warszawskich“, oraz opracowaną przez sekcję higieniczną Towarzystwa lekarskiego łódzkiego i wydaną przez Towarzystwo higieniczne broszurę: „Kąpiele dla robotników“; c) przesłano do Towarzystw Rolniczych w miastach gubernialnych Królestwa Polskiego i do sekcji rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu: opisy i plany wzorowych chat wiejskich oraz łaźni ludowych.
- 2) Na przedstawienie wydziału higieny szpitali i przytułków: a) złożono p. general - gubernatorowi opracowany przez d-ra Rychlińskiego memoriał w sprawie opieki nad umysłowo chorymi i b) zrobiono podanie do Rady Miejskiej Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności Publicznej o pozwolenie na dokonanie w szpitalach warszawskich spisu jednodniowego podług wzoru, opracowanego przez wydział.
- 3) Wydział higieny zdrojowisk i miejscowości klimatycznych zaproponował wydanie i rozesłanie kwestyjonariusza w celu badania miejscowości letnich i zdrojowisk. Kwestyona-

ryusz ten został wydrukowany w końcu lipca, wskutek czego, ze względu na spóźnioną porę, rozesłanie odłożono do wiosny.

- 4) Z inicjatywy wreszcie wydziału higieny wychowawczej: a) wydrukowano 60,000 egzemplarzy przepisów, opracowanych przez d-ra J. Kramsztyka p. t. „Rady dla matek“ i po uzyskaniu zezwolenia Rady miejskiej, rozesłano je do szpitali warszawskich w celu rozdawania chorym stałym i przychodzącym na poradę; b) wysłano 4-ry osoby do Naas, w Szwecyi, na naukę slojdu i w celu zapoznania się z prowadzeniem gier i zabaw dziecięcych; c) urządzono 12 odczytów publicznych z dziedziny higieny wychowawczej, które w sali muzeum przemysłu i rolnictwa wygłosili pomiędzy 5 listopada i 14 grudnia d-rzy: Bączkiewicz, Gepner, Kozerski, Kramsztyk J., Ołtuszewski, Roszkowski, Rychliński, Skowroński, Szumlański i Tomaszewicz-Dobrska. Odczyty te cieszyły się bardzo dużem powodzeniem i dały na czysto dochodu rub. 971 kop. 26.

Z dwóch miast prowincjonalnych, mianowicie z Lublina i z Łodzi, nadesłano do Towarzystwa podania o pozwolenie na powtórzenie tych odczytów, na cele dobroczynne; na podania te udzielono odpowiedzi przychyłnej.

Dr Themersen, członek Towarzystwa, mieszkający w mieście Lipnie gub. Płockiej, nadesłał podanie o zajęciu się sprawą odczytów higienicznych na prowincyi wogóle. Uznając wielką potrzebę i pożytek takich odczytów, rada wyznaczyła komisję w celu opracowania szczegółowego projektu; do komisji należą: członek rady dr. Sokolowski i przewodniczący wydziałów: ks. Gralewski, dr. Chełchowski i dr. Nussbaum.

Dwie ważne sprawy, zapoczątkowane przez T-wo jeszcze w r. 1899, mianowicie fundacya barona Lenvala i ogródki dziecięce im. Raua, nie mogły być w roku ubiegłym załatwione. Akty darowizny zwrócone zostały przez p. generał-gubernatora z żądaniem ułożenia ustawy dla tych instytucyi i przedstawienia projektu uzupełnienia ustawy T-wa w taki sposób, aby cel i zadanie projektowanych instytucyi odpowiadały celom T-wa. Projekt ustawy instytucyi higieny dziecięcej opracowany został przez komitet przy udziale ofiarodawcy, ustawę zaś ogrodów dziecięcych napisał adwokat przysięgły H. Konic. Projekty ustaw po rozpatrzeniu przez Radę i po zatwierdze-



niu przez zebranie ogólne, zostały złożone ponownie wraz z aktami darowizny i projektem uzupełnienia ustawy do kancelaryi p. general-gubernatora w celu uzyskania zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych.

W sprawie założenia oddziałów prowincjonalnych decyzji w roku ubiegłym nie uzyskano.

W roku sprawozdawczym Tow. hyg. brało udział w następujących zjazdach naukowych, przez wysłanie delegatów: w zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie; w Zjeździe międzynarodowym higienicznym w Paryżu i w zjeździe międzynarodowym wychowania fizycznego w Paryżu.

Towarzystwo liczy siedem wydziałów specjalnych, jak oto: 1) wydział higieny szpitali i przytułków; 2) wydział higieny zdrojowisk i miejscowości klimatycznych; 3) wydział higieny ludowej; 4) wydział higieny wychowawczej; 5) wydział higieny miast i mieszkań; 6) wydział biologiczny, chemiczno-fizyczny i statystyczno-meteorologiczny; 7) wydział higieny zawodowej i przemysłu i 8) utworzony w końcu roku sprawozdawczego nowy wydział przeciwgruźliczny.

W każdym z wymienionych powyżej wydziałów praca w ciągu roku szła rażno i składnie. Odybyto 74 posiedzenia, wygłoszono prawie tyleż odczytów na rozmaite tematy i omówiono wiele spraw pilnych i żywotnych, co do których wnioski przedstawiono radzie Towarzystwa.

Sprawozdanie, które w tej części swojej jest szczegółowe i wyczerpujące, pozwala nam zaznaczyć, że instytucja trafnie pojęła zadania i cele swoje. Stwierdzić jednak musimy, że działalność Towarzystwa dotychczas prawie nie wyszła poza granice rozważań teoretycznych, rozpraw akademickich i żądań do pewnego stopnia utopijnych, które niewątpliwie nie pozostaną bez wpływu na praktyczne urzeczywistnienie ideałów higieny, ale obecnie dalekie są jeszcze od tego, aby ich wpływ mógł się już odbić na stosunkach zdrowotnych miasta i kraju.

Do tego potrzeba koniecznie szczerego, rozumnego i obywatelskiego poparcia i współdziałania ze strony wszystkich, co dobro społeczeństwa mając na celu, pragną dlań pracować i dźwigać je ku poziomowi wyższej kultury.

Nie wątpimy, że poparcie takie Towarzystwo rychło u inteligentnego ogółu naszego znajdzie—i oby w przyszłym sprawozdaniu mogło się już na nie powołać.

---

Za granicą redakcyje pism poczytniejszych bardzo często urządzają t. zw. z cudzoziemska ankiety w sprawach, mających donioslejsze znaczenie ogólne. Przy pomocy odpowiednio ułożonego kwestyonaryusza zbierają opinie ludzi światłych, fachowców, uczonych, wybitnych polityków i t. d., o danej rzeczy, i przyczyniają się w ten sposób, jeżeli nie do wszechstronnego, to, bądź co bądź, do gruntowniejszego oświetlenia, czy to jakiegoś projektu rządowego, czy jakiejś kwestyi społecznej, czy wreszcie jednej ze stron życia współczesnego w rozmaitych jego kierunkach.

U nas ankiety tego rodzaju są jeszcze nowością. Było ich zaledwie kilka w sprawach mniejszej wagi—i to przeważnie w pismach galicyjskich. Ankieta zaś w sprawie traktatów handlowych, urządzona niedawno przez redakcyę „Gazety Polskiej“ jest niewątpliwie pierwszą poważniejszą w naszym dziennikarstwie próbą rozpatrzenia sprawy ważnej przy współdziałaniu sił umysłowych, stojących poza obrębem redakcyi. Próba ta, przyznać musimy, wypadła bardzo pomyślnie. Opinie ludzi fachowych w przemyśle, rolnictwie i handlu napłynęły obficie, materyał do wniosków zebrał się bogaty, zwrócono uwagę na jedną rzecz, przez publicystów naszych traktowaną powierzchownie, pogłębiono i rozszerzono ramy całej sprawy, wreszcie—nadano jej kierunek praktyczny, sprowadzając z terenu rozważań czysto teoretycznych na grunt istotnych potrzeb ekonomicznych kraju.

Na wezwanie redakcyi pośpieszyli z odpowiedzią: p. J. Kunitzer, prezes Towarzystwa akcyjnego fabryki wyrobów bawełnianych „Heintzer & Kunitzer“ w Widzowie; p. Stefan Jabłoński, inżynier—dyrektor fabryki Towarzystwa akcyjnego W. Fitzner i K. Gamper w Sielcach pod Sosnowcem (fabryka kotłów); E. Herbst, prezes Tow. akcyjnego p. f. K. Scheibler w Łodzi; J. Surzycki, dyrektor tegoż Towarzystwa; inżynier Stefan Kossuth ze Zgierza i p. Antoni Stamirowski, współwłaściciel firmy „Hordliczka i Stamirowski“; p. Stanisław Sulimirski, właściciel dóbr Lutosławce; inżynier K. Arkuszewski, dyrektor specjalnej fabryki ogrzewań centralnych, wentylacji i urządzeń sanitarnych w Łodzi; p. Ludwik Meyer, właściciel fabryki wyrobów wełnianych pod Łodzią („Manin“) wielkich cegielni, oraz majątku Brus; p. A. N. obywatel z gubernii Płockiej, wreszcie pan Edward Reicher z Aleksandrowa —



wszyscy, ludzie na wybitnych stanowiskach i gruntownie ze sprawą obeznani.

Najważniejsze punkty nadesłanych odpowiedzi dają się streścić w pozycjach następujących:

a) Że w przyszłym traktacie należało-by unikać niekonsekwencji obecnego, nie clić wyżej materiałów surowych niż wyrobów, wogóle—nie czynić z cel przeszkody do rozwoju żadnej gałęzi przemysłu, bo z zasady służyć one powinny do przemysłu.

b) Że represalia celne za podwyższenie cel od zboża powinny być tak obmyślane, żeby nie szkodziły rolnictwu, zamiast mu dopomódz.

c) Że powołanie do życia specjalnej instytucji, która-by się zajmowała badaniem warunków wytwórczości i zbytu na całym świecie, jest konieczne. Taka instytucja nietylko dopomagala-by do rozkwitu przemysłu i rolnictwa przez udzielanie informacyi osobom interesowanym (gdzie kupować, gdzie sprzedawać, jakie są i gdzie koszta produkecy i tam dalej), ale przygotowała-by materiał do racjonalnego obliczania stawek celnych w przyszłych traktatach.

d) Że doryweze w pewnych odstępach czasu traktowanie tych spraw przez pojedynczych ludzi lub instytucye nie zastąpi w tej mierze specjalnego organu i nie ma żadnego znaczenia praktycznego.

e) Że pozycye celne powinny być ustalone na parę lat przedtem, zanim zaczną obowiązywać, aby producenci i kupcy mieli czas przystosować się do nowych warunków.

f) Że utrudnienie swobodnego napływu kapitałów cudzoziemskich nie przyniosło-by przemysłowi żadnych korzyści.

g) Że, nareszcie, sprawy te mają wogóle pierwszorzędną doniosłość i nie powinny być lekceważone, bo od załatwienia ich w ten lub inny sposób zależy w znacznej mierze pomyślność ekonomiczna ludności.

Na bliższą uwagę zasługują wywody p. Reichera z Aleksandrowa, doskonałego znawcy naszych stosunków handlowych.

Jako przyczynek do kwestyi traktatów celnych, autor zaznacza przede wszystkim fakt „bezwiednego faworyzowania Niemców“; i charakteryzuje stosunki handlowo-przemysłowe pograniczne. Z centrów pogranicznej działalności Niemców, z Katowic, Wrocławia, Bytomia, Poznania, Bydgoszczy, Gdańska Królewca, Torunia udało im się przy pomocy całej sieci doskonałych organizacyi zagarnąć handel i przemysł miejscowy; handel drzewny nietylko z Królestwa, ale z całego cesarstwa, jest w ich ręku;  $\frac{3}{4}$  całej ilości zboża, otrąb i makuch



oni zagarnęli; cały wywóz ptactwa domowego, gęsi, nierogacizny, prawie całość wełny, skór surowych, kiszek, chmielu, lnu, melasy — słowem prawie cały nasz handel wywozowy w ich ręku spoczywa. Nawet jaja, raki, wędliny, anyż, wełna czesankowa stąd dostaje się do miejsca zbytu tylko przez pośrednictwo komiwojażerów niemieckich. Sami oni jeżdżą po zakupy do miejsc produkcyi lub zbytu, aż na Ural i Kaukaz. Przytem konsulowie ich wszędzie są im pomocni i o wszystkim ich informują, na każde zapytanie niezwłocznie, szczegółowo, po kupiecku odpisują, bez marki, bez próśb.

„Handlem drzewa, spławianego Niemnem, Wartą, Wisłą (cytujemy słowa p. Reichera) o ni i zawładnęli już oddawna; mają w Toruniu port i giełdę dla produktów surowych, są więc panami całego rynku drzewa, zwłaszcza, że ani w Warszawie, ani we Włocławku, niema portu zimowego. Obroty te wydarli Warszawie, której się one z punktu graficznego należą; tutaj krzyżuje się cały ruch towarowy, tędy drzewo przepływa i tu odbywa się przeladunek z szerokotorowych wagonów na wązkotorowe. Toruń, Katowice, Gliwice w ostatnich kilkunastu latach zagarnęły cały prawie handel otrąb i makuch; sam Toruń sprowadza rocznie dla całych prawie Niemiec około 10 mil. pudów tych produktów. Handel temi produktami i takiemi, jak len, konopie, wełna itd., jest o tyle dla nich korzystniejszy, są oni o tyle pod tym względem w lepszych niż nasi kupcy warunkach, iż, nie opłacają żadnych podatków, całą manipulację przeprowadzają przez korespondencyę, albo też przyjeżdżając do kraju, sami załatwiają głównejsze operacye, a inne powierzają mniejszym domom handlowym i wyciągają cały zysk dla siebie. Nawet w interesach bankierskich i inkasowych — pograniczne pruskie banki wszystkie prawie operacye w swe ręce zagarnęły. Skutkiem świetnych wszelkiego rodzaju urządzeń bankowych, żyro-konta, instytucyi wywiadowczych i innych udogodnień — cały obrót pieniężny skupił się w Berlinie. Finansowania wielu Towarzystw akcyjnych lub zamiany już istniejących przedsiębiorstw na Towarzystwa akcyjne dokonywa zagranicą. Dzięki temu wiele milionów rubli spływa corocznie do kieszeni niemieckich. W handlu żelazem, cynkiem, blachą naszych hut sąsiedzi nasi przy sprzedaży w wielkich ilościach pośredniczą. Kolosalne ilości węgla z Zagłębia Sosnowieckiego oni zakupują, by je później z zyskiem do Częstochowy, Łodzi, Rudy, Warszawy lub Cesarstwa odprzedać. Ciągną oni z tych operacyi wielkie zyski, gdyż kopalnie wysyłają im węgiel podług ich dyspozycyi, a oni z zagranicy całą tą operacyą kierując, nie potrzebują u nas ponosić żadnych podatków handlowych, gildyjnych, miejskich, gminnych, na sądy, na szkoły itd. Tak samo urządzają się zagranieczne domy komisowo-ekspedycyjne:

zawierają olbrzymie obroty w kraju na rzecz Rosyi, nie ponosząc przytem żadnych ciężarów—tu dla nich pracują agentury handlowe kolejowe. Skutkiem konkurencji między domami handlowymi krajowymi—oni interesy tych ostatnich prowadzą, zamiast sami pod własną zagraniczną firmą pracować. Zadawalać się mogą małym zyskiem dla tego, iż do tych obrotów kapitaliści zagraniczni dostarczają gotówki. Zagraniczni dostawcy nie tylko mają znakomite zyski, lecz skutkiem udzielania im przez agentury kolejowe 3-miesięcznego bezprocentowego kredytu, obniża im się przy tej operacji cło wchodowe o całą sumę procentów, a koszty przewozu i formalności celnych przy prawie bezpłatnej taksie, redukują się do minimum. Przy masowych artykułach powyższe środki wpływają i umożliwiają przepływ towarów zagranicznych. Natomiast my, wysyłając naftę, oleje, kawior, drzewo, len, produkty surowe, nabiałowe itd., nie mając za granicą agentur kolejowych, musimy płacić drogie prowizye i cło gotówką. O żadnym kredycie trzymiesięcznym mowy być nie może, a stąd i zysk naszych eksporterów musi być mniejszy. Nawet tak mały podatek, jak opłata za komiwojażerów, nie może ich osiągnąć, gdyż z próbami towarów prawie nie jeżdżą, a interesy załatwiają osobiście, następnie listownie potwierdzają je i kończą. Skutkiem tej przewagi nad nami i mając paszporty oraz legitymacye na załatwienie prawie bez kosztów, bez straty czasu, są w stanie, u samego źródła, po jaknajtańszej cenie zakupy czynić, a po jaknajdroższej wprost naszemu konsumentowi sprzedawać. Wszędzie po większych miastach zakładają składy fabryczne, lub sprzedają wprost znaczniejszym odbiorcom, przyczem cały zysk sami osiągają, nie dopuszczając pośredników krajowych. W tej także przewadze Niemców nad nami szukać należy przyczyn szalonego wzrostu ich miast, oraz rozwoju przemysłu i fabrykacyi, gdy tymczasem nasze miasta zaledwie słaby byt wiodą.“

Dalej autor charateryzuje stosunek policyi i urzędników pruskich do poddanych tutejszych.

„Gdy tutejszy poddany — objaśnia nas p. Reicher — osiedla się w Prusiech, w jakimś małym miasteczku, za najlegalniejszym paszportem, czy to celem zajęcia się handlem, lub rzemiosłem, albo też otworzy jakie przedsiębiorstwo, natychmiast policya tak się przybyszem zaopiekuje, iż ten w przeciągu krótkiego czasu zmuszony jest ze stratą sprzedać swój kramik i wynieść się. Nie pomogą prośby, ani błagania, dobytek musi w krótkim czasie spieniężyć, traci prawie wszystko, a jeśli dobrowolnie się nie wyniesie, to, choć posiada dzieci małe, choć są chorzy w domu, podczas mrozu, deszczu, lub zawieruchy, bezlitośnie zostaje przetransportowanym do granicy, a w dodatku



każą mu jeszcze za konwój zapłacić. W sposób, wyżej opisany, postępują też Niemcy, gdy dowiedzą się, iż tutejszy chłopiec jakiś jest w terminie u rzemieślnika: gdy tylko go wyśledzą, natychmiast zostaje wydalonym. Od robotników naszych, pracujących w Niemczech krótszy, lub dłuższy czas, ściągają na „Invaliditäts-Casse i na „Orts-Versicherungs-Kranken-Casse“ co tydzień z zarobków pewną część, lecz robotnicy ci z tego korzyści żadnych ani podczas choroby, ani w razie wypadku nie mają, i pieniądze, z ich ciężkich zarobków pochodzące, służą tylko dla wzbogacenia tych kas. Jest to krzyżująca niesprawiedliwość, i dziwić się należy, iż dotychczas na to nie zwrócono uwagi. Biednym tym ludziom na wszelkie możliwe sposoby okrawują zarobki, i niema, niestety, nikogo, kto-by się za nimi ujął“. Skutkiem niewładania niemieckim językiem i ciężkiego materialnego położenia, niższa warstwa ludności jest najbardziej dotknięta i pod każdym względem krzywdzona. Każdy pruski urzędnik pozbywa się ich, gdyż albo rzeczywiście nie rozumie, co do niego mówią, albo też udaje. Nawet na poczcie przy wysyłce pieniędzy dla rodziny do kraju robią im utrudnienia, wymagając niemieckich adresów. Toż samo dzieje się na pogranicznych stacjach pruskich; gdy u nas urzędnicy kolejowi na takich punktach z obowiązku muszą władać obcimi językami — tam niewolno kasyerowi udzielać pasażerowi wyjaśnień, dokąd chce jechać, jaki jest najdogodniejszy pociąg i t. d. Dalej powstają tam ustawicznie zatargi przy nazwach miejscowości na pograniczu i t. d.

Krzywd i utrudnień takich wylicza p. Reicher całe szeregi i dopomina się w końcu o opiekę dla tej sfery ludzi, którym z jakiegokolwiek względów wypadło mieszkać za granicą, i o urządzenie większej liczby wice - konsulatów, z tym wszelako warunkiem, aby urzędnik objeżdżał swój okrąg i na miejscu się informował o potrzebach naszym, aby, słowem, działał, a nie urzędował tylko.

Przytoczyliśmy głos ten trzeźwy i malujący jaskrawo stosunki handlowe z Niemcami, gdyż przyczynia się on nietylko do sprawy traktatów handlowych, ale z rozmaitych innych względów powinien obudzić interes szerszego ogółu, który, wyzyskiwany ekonomicznie i gnębiony moralnie, musi zawołać kiedyś: „quousque tandem“?



W dniu 30 września roku zeszłego, jak już to zaznaczyliśmy w swoim czasie na tem miejscu, przypadła dwóchsetna rocznica urodzin Stanisława Konarskiego, jednego z największych mężów w dziejach oświaty naszej, reformatora szkolnictwa polskiego.

Obecnie dowiadujemy się, że parafia Złotniki, do której należy rodzinna wieś Konarskiego, Żarczyce Większe, w powiecie Jędrzejowskim, gubernii Kieleckiej, uczciła pamięć swego współparafianina ufundowaniem tablicy i medalionu, wykonanego przez Piusa Welońskiego, a wzorowanego na słynnym medalionie „Sapere auso“, wybitym z polecenia króla Stanisława Augusta.

Tablicę tę, dwa metry wysoką, wmurowano w ścianę kościoła w Złotnikach, aby głosiła potomnym chwałę imienia, które w czci u swoich przetrwało dwa wieki.

Napis na tablicy opiewa:

#### Na wieczystą rzeczy pamięć.

W kościele tym chrzest święty otrzymał Hieronim Konarski, urodzony 30 września 1700 roku we wsi Żarczyce Większe, położonej w parafii Złotniki, ziemi Chęcińskiej, z ojca Jerzego, miecznika inowrocławskiego i małżonki jego, Heleny z Czermińskich. W młodzieńczym wieku wstąpił do Zgromadzenia oo. Pijarów w Podolińcu, przyjmując imię Stanisława.

Ten-to

ks. Stanisław Konarski,

oddany służbie Bożej i pracy dla dobra narodu, wprowadził zdrowe zasady wychowania publicznego, gromił bezrząd w narodzie, zwiastował nową epokę w piśmiennictwie polskim. Wydawca zbioru ustaw krajowych, założyciel szko-

ły Collegium Nobilium Warszawie, autor dzieł  
znakomitych.

zmarł w Warszawie dnia 3 sierpnia

1773 roku.

Wybitnemu synowi Kościoła świętego, miłośnikowi światła w narodzie, mężowi, pełnemu jasnowidzącego rozsądku i twórczej działalności społecznej, w dwusetną rocznicę urodzin, wielbiciele cnót i zasług jego kamień ten kładą.

R. P. 1900.

Inicytorom tej szlachetnej fundacyi pamiątkowej należy się uznanie i wdzięczność publiczna.

---

W handlu księgarskim ukazała się świeżo broszura p. Aleksandra Jelskiego pod tytułem: „Zgubny kult obczyzny u nas w świetle literatury ojczystej“. Studium społeczno obyczajowe (Petersburg, 1901).

Autor nie porusza tu kwestyi nowej, ale porusza kwestyę, o której w stosunkach naszych nigdy nie można mówić za dużo, za często i niepotrzebnie, w której nigdy nie jest dosyć nawoływać. Na tle licznych cytat i wyimków z przedniejszych pisarzy polskich rozmaitych epok, rozpatruje p. Jelski to, co orzeczono u nas w sprawie „naleciałej na kraj nieszczęsnej obcomanii“, która się wyraziła najprzód w absenteizmie, a następnie w cudzoziemszczeniu i zwyrodnieniu wyżyn społecznych. Niewątpliwie pod tym względem dzieje się dziś u nas znacznie lepiej, niż było dawniej, są jednak pewne strony naszego życia, które nie uległy jeszcze poprawie do tyła, ażeby słowa p. Jelskiego uważać można za spóźnione i odmówić im aktualności. Przeciwnie, dobrze i na czasie jest zapoznać się z jego pracą, gruntowną i po obywatelsku napisaną, i zwrócić zwłaszcza uwagę na to, co mówi w niej o b o n a c h - c u d z o z i e m k a c h .

Rzecz to nie nowa. Już w roku 1892 „Gazeta Warszawska“ (№ 2) gorzko ubolewa nad manią sprowadzania bon i nauczycielek z Paryża, jak się okazuje, zwykle a w a n t u r n i c, poczem dzieci, skończywszy edukację, nie znają ani francuskiej, ani polskiej ortografii, i są tylko zdolne do prowadzenia flirtu w żargonie francusko-polskim“. Podobnież w „Gazecie Rolniczej“ z roku 1893 (№ 3), znany ekonomista - agronom, Jan Owsiniński, powstaje na szerzącą się francuzomanię, przez co „tracimy samodzielność naszej myśli, stajemy się niewolnikami obcej“. W roku 1894 do jednego ze współpracowników „Kraju“ pisała rozumna jakaś i zacna korespondentka (ob. № 49): „Ta ciągła paplanina francuska i angielska po naszych domach obywatelskich i nieobywatelskich, nie przynosi najczęściej żadnej pozytywnej korzyści, a tylko psuje język ojczysty. Od czterech wieków prawie wszyscy nasi pisarze występowali przeciw zanieczyszczaniu języka obcemi mu zwrotami, których źródło leży moralnie w owej paplaninie. Zawsze pewne sfery uważały język ojczysty za barbarzyński i mniej delikatny. Ludzie rozsądni i rozumni u nas uczą się języków obcych dla pożytku, ale większość zawsze tylko dla paplaniny“. W tym-że samym „Kraju“ z roku 1867 (№ 10) znajduje się list otwarty p. T. B. pod tytułem: „Nauczycielki cudzoziemki“, w którym czytamy: „mania ta przeszła z domów arystokratycznych do bankierów, do szlachty zamożnej, przemysłowców i t. d. Francuski terażniejszy wnoszą do ich domów pewne lekceważenie rodziny i religii, cynizm w sądzeniu ludzi i faktów, zasad i obyczajów, przytem ogólną lekkość w traktowaniu kwestyi życiowych, co kładzie mocne, niezatarte piętno na dalsze życie wychowanek“. W „Tygodniku Ilustrowanym“ w № 25 z roku 1897 p. W. Marrené - Morzkowska umieściła artykuł „o bonach cudzoziemkach“, w którym, tak samo traktując kwestyę, pisze, iż z u p e ł n i e porządne osoby, sprowadzone do dzieci z za granicy, należą tylko do „r z a d k i e h w y j ą t k ó w“, że przeważnie przynoszą one „pogardę dla naszego kraju,“ która zostawia ślady stałe w umyśle dzieci. Autorka wreszcie zaznacza, iż poważne umysły lekkomyślność naszego charakteru przypisują właśnie zgubnemu nałogowi przedwczesnego uczenia obcych języków, a niestety, lekkomyślność ta potęguje się dziedzicznie szeregiem pokoleń, poddawanych jednakim szkodliwym wpływom“.

Uznając słusność wszystkich powyższych zarzutów, p. Jelski odzywa się do społeczeństwa polskiego w tych słowach:

„Uczmy się języków obcych nie dla czezej parady, próżności i m a r n e g o w y ł ą c z n i c t w a, jak to było ciągle u nas, lecz jedynie w celu zdobywania wiedzy ze skarbnicy duchowej ludzkości całej, zwiedzajmy obce kraje nie dla występnych rozrywek, lecz by



kraj własny, potrzebujący ustawicznej ofiarności serc podniosłych, mógł się wzbogacać przez nasze pośrednictwo nabytkami świata cywilizowanego. Taka dążność i praca, podnosząc wartość naszą moralną, umysłową i ewentualnie materyalną, wykazała-by nam całą nicłość aspiracji dotychczasowych, powodujących niedorzeczne nagromadzenie szumowin obczyzny, jakowe, wzbudzając w społeczności zgnile fermenty, przyczyniały się tylko do szerzenia zarazy moralnej w kraju ojczystym“.

W broszurze, mimo zapowiedzi, słabo został uwzględniony tak zwany *absenteizm*, który, poza swoją stroną moralną, posiada dla kraju znaczenie klęski ekonomicznej. Niezaprzeczenie trudno jest zebrać co do tego materyał cyfrowy, a tylko na nim można wywody i wnioski pozytywne oprzeć. Sprawa to jednak pierwszorzędного znaczenia i dla publicystów naszych stojąca otworem. Może się znaleźć kto, co śladami p. Jelskiego idąc, rzecz tę wyczerpująco opracuje, i ku przestrodze i nauczaniu ziomków przedstawi ją, jako uzupełnienie „kultu obczyzny“.

---

W dniu 29 kwietnia roku bieżącego odbyło się walne zebranie członków Warszawskiej Kasy literackiej.

Wśród wniosków, które znajdowały się na porządku dziennym tego zebrania, na bliższą zasługuje uwagę wniosek p. St. Koszutskiego, dotyczący założenia przez Kasę własnej księgarni. Nieprzygotowane należycie do wszechstronnego rozejrzenia się w tej sprawie i do powzięcia uchwał ostatecznych, Zgromadzenie przekazało ją Komitetowi, który, po zbadaniu wszelkich *pro i contra*, decyzję swoją poweźmie i przedstawi takową następnemu zebraniu.

Księgarnia taka, według zapatrywań projektodawcy, usunęła-by ostatecznie wyzysk, tak bolesny zwłaszcza dla ludzi, pracujących na polu naukowym.

Wyzysk ten niewątpliwie istnieje, jest zjawiskiem dość częstym i nie tylko dla naszych stosunków charakterystycznym. Autor za pracę, nad którą strawił wiele czasu, której poświęcił nieraz chwile, przeznaczone na wypoczynek, otrzymuje czasem sumę tak śmiesznie małą, że nie tylko o wynagrodzeniu nie może tu być mowy, ale o prostem zadośćuczynieniu, o materyalnym uwarunkowaniu pracy dalszej.

Stąd mamy tak wiele przykładów zajmowania przez ludzi, posiadających kwalifikacje do pracy wyłącznie naukowej, skromnych posad nauczycieli prywatnych, urzędników kolejowych, bankowych i t. d. Posady te, zapewniając istnienie im i ich rodzinom, utrudniają niejednemu działalność o wiele potężniejszą i dla ogółu, i dla nich samych.

Czy jednakże zło tkwi tutaj wyłącznie w naszych stosunkach wydawniczych? Zdaje nam się, że otrzymanie dwa, lub nawet trzy razy wyższego honorarium—stanu rzeczy nie zmieni. Przyczyny tego tkwią głębiej, i doraźnie usunąć ich nie można.

Wracamy jednak do sprawy księgarń, która może być albo nakładowa, albo nakładowo-sortymentowa. I w jednym, i w drugim wypadku musiała-by się ona oprzeć na ogólnych zasadach handlu księgarskiego, co wymagało-by ściśle fachowego i wytrawnego kierownictwa. Kierownictwo takie musiałoby być płatne, co, biorąc pod uwagę zużycie na początek tylko jednej siły fachowej, obciążało-by już znacznie budżet instytucji. Dalej, księgarnia, o ile chciała-by sprzedawać na własną rękę, co okazało-by się koniecznym wobec wysokiej prowizji, praktykowanej w księgarstwie przy sprzedaży komisowej, musiała-by posiadać odpowiedni sklep. Przy obecnej drożyznie lokalów sklepowych przy ulicach pierwszorzędnych było-by to ponad siły. Już w takich warunkach, nie licząc całego szeregu wydatków administracyjnych, porta i t. p., tych drobnych pozycji, które przy zamknięciu rachunków tworzą niespodziewane setki rubli, księgarnia Kasy literackiej mogła-by podnieść honorarium autorskie nie więcej, jak o 15% do 20%. Całą resztę, to jest to, co stanowi obecnie zarobek księgarza, pochłonęły-by wydatki, z prowadzeniem jej związane.

Pomijamy jednak już i te względy. Zwracamy natomiast uwagę na to, że obliczeń niepodobna opierać nigdy na przypuszczalnym rozjeściu się całego nakładu, że każde wydawnictwo, a zwłaszcza wydawnictwo dzieł naukowych, połączone jest z pewnym ryzykiem! Ryzyko takie w handlu niejednokrotnie sownie się opłaca, w wielu jednak wypadkach naraża na stratę. I to właśnie jest najpoważniejszy wzgląd, który każe nam się oświadczyć przeciw sympatycznemu skądinąd projektowi p. Koszutkiego.

Ryzykować może każdy księgarz, każda jednostka, każde nawet Towarzystwo udziałowe, czy akcyjne, nie może tego jednak czynić Kasa literacka, która jest kasą przezorności i pomocy dla literatów i dziennikarzy, i dla tego, posiadając własną księgarnię, musiała-by ograniczyć wydawnictwa swoje nabywaniem dzieł pewnych, dzieł takich, co do których nie może być handlowej wątpli-



wości, że pójdą. Nie literacka i naukowa, ale handlowa kwalifikacja powinna tu rozstrzygać. W takich zaś warunkach projekt okazuje się zbyt czynnym, z mocy ustawy bowiem przysługuje Kasie i tak prawo podejmowania własnych wydawnictw.

Jeśli zaś idzie o podniesienie honorarium autorskiego, to najwłaściwszą ku temu drogą wydaje nam się stworzenie Towarzystwa wydawniczego udziałowego, na wzór choćby istniejącego już takiego Towarzystwa we Lwowie, którego wytworne i poważne wydawnictwa nie są nam obce. Gdyby z pośród członków Kasy literackiej tylko stu przystąpiło do założenia takiego Towarzystwa z dwudziestopięciorublowym wkładem, to uczyniło-by to już kapitał 2,500 rubli, z którym można zacząć pracę z wielkimi widokami powodzenia. Towarzystwo takie, czy pod egidą Kasy, czy niezależnie od niej, stopniowo mogło-by się rozwijać i rosnać w poważną instytucję, a przez odpowiednie unormowanie honoraryów, monopolizując w swych rękach wydawnictwa członków swoich, stało-by się poważnym współzawodnikiem niesumiennych księgarzy - nakładców, nie narażając jednocześnie w niczem interesów Kasy. Kilka lat doświadczenia wykazały-by niezawodnie, czy i o ile opłaca się założyć własną księgarnię, i ta księgarnia powstać-by mogła w razie warunków pomyślnych jako księgarnia „Towarzystwa literacko - wydawniczego“.

Tymczasem przedwczesne i niewłaściwe wydaje nam się obciążenie Kasy sprawą, która przenosi jej siły obecne, a bardzo mało posiada danych, na których podstawie można-by wnioskować o istotnej korzyści i poprawie w ten sposób bytu naszych literatów i uczonych.

---

W nocy z dnia 3 na 4 maja roku bieżącego, w sędziwych latach żywota, zmarł nagle jeden z dostojników Kościoła polskiego, biskup Sandomierski, ks. Antoni Sotkiewicz, kapłan zacny i wzorowy administrator swojej diecezji.

Urodzony 13 stycznia 1826 roku we wsi Bardo, w powiecie Opatowskim, z ojca Jędrzeja i matki Ludwiki z Targowskich, zmarły nauki początkowe pobierał w Sandomierzu, a następnie w Kielcach. Po ukończeniu tam szkół średnich, wstąpił do sandomierskiego seminarium duchownego, skąd w roku 1846 wysłany został do ówczesnej



akademii duchownej w Warszawie, którą w roku 1850 ukończył ze stopniem kandydata św. Teologii.

Wróciwszy do Sandomierza, rozpoczął tam pracę, jako kapłan. Był przez czas pewien nauczycielem religii w tamtejszej szkole powiatowej, profesorem i wiceregentem seminaryum, wreszcie proboszczem najprzód w Żbitulce, potem w Słupi Nowej, miasteczku u stóp klasztoru benedyktyńskiego na Ś-tym Krzyżu.

Spokojną pracę na tem polu przerwał mu niespodziewany wyjazd do Warszawy. W akademii duchownej zawakowała katedra prawa kanonicznego, ogłoszono konkurs na rozprawę z tego przedmiotu, i zwycięzcą z konkursu wyszedł ks. Sotkiewicz. Laureata powołano do objęcia wykładów.

Odtąd, to jest od roku 1860, przyszedł biskup przebywał stale w Warszawie przez dwadzieścia trzy lata.

Po wyjeździe ś. p. ks. Michała Nowodworskiego do Cesarstwa, ks. Sotkiewicz objął redakcyę „Przeglądu Katolickiego“. W roku 1863 mianowany został przez arcybiskupa Felińskiego kanonikiem gremialnym kapituły metropolitalnej, a po śmierci ks. prałata Zwolińskiego objął administracyę dyecezyi, otrzymawszy tytuł wikaryusza apostolskiego; stanowisko to zajmował do roku 1883, to jest do chwili, kiedy w dniu 15 marca tegoż roku Ojciec święty prekonizował go na biskupa sandomierskiego.

Rządy biskupie sprawował ks. Sotkiewicz przez lat osiemnaście ze zwykłą sobie gorliwością. W dziejach dyecezyi rządy te zapisały się dobrze nietylko pod względem doskonałej organizacyi wewnętrznej, ale i pod względem troski o stan świątyń, licznych a podupadających w tej starej dzielnicy piastowskiej. Inicytywie i staraniom zmarłego ks. biskupa zawdzięcza między innymi gruntowne odnowienie swoje piękna katedra sandomierska i kilka również starożytnych świątyń w tym groźnie.

Śmierci ks. biskupa towarzyszył ogólny i szczery żal. Kościół stracił w nim wiernego sługę, a społeczeństwo cnotliwego kapłana i prawego obywatela.

Cześć jego pamięci.

W Warszawie, w dniu 7 maja roku bieżącego, po długich i ciężkich cierpieniach rozstał się z tym światem ś. p. August Jerzy Waldemar Kreczmar, filolog, nauczyciel języków starożytnych w tutejszem gimnazjum V-em.

Zmarły należał do pokolenia, które z murów byłej Szkoły Głównej wyniosło wiedzę głęboką, prawosć i zamiłowanie do pracy. Ukończywszy wydział historyczno - filologiczny Szkoły tej, ś. p. Kreczmar przez czas pewien był nauczycielem w gimnazjum kieleckiem, a następnie przeniesiony do gimnazjum V-go, wykładał w niem łacinę i język grecki aż do dni ostatnich.

W zawodzie swoim pracował trzydzieści dwa lata. Jako nauczyciel, odznaczał się gruntowną, rzadko dziś spotykaną znajomością przedmiotu, jako pedagog — niezmiernym taktem, sprawiedliwością i słodyczą w obejściu. Zalety te jednały mu serca wszystkich uczniów i budziły w młodych przywiązanie i szacunek dla przewodnika, który, jak nikt inny, umiał prowadzić i szczepić dobro dokoła siebie.

Ciężka praca stargała przedwcześnie słaby z natury organizm zacnego profesora. Umarł w 57 roku życia.

Śmierć odbija się niewątpliwie głośnie echem w kraju całym, gdzie rozproszeni uczniowie jego, ludzie do kilku należący pokoleń i rozmaite zajmujący stanowiska, zespolą się w jednym uczuciu żalu głębokiego i szczerego współczucia dla osieroconej rodziny.

Niech spoczywa w spokoju i ciszy ten siewca, który siał dobre ziarna, świadom, że w niejednej potem duszy plenne powschodzą z nich kłosy.

## Wiadomości bibliograficzne.

— Na ostatniem posiedzeniu Komisji sztuki Krakowskiej, przewodniczący poświęcił kilka gorących słów zmarlemu członkowi Komisji, ś. p. Wojcicichowi Gersonowi, poczem sekretarz odczytał sprawozdanie z posiedzenia lwowskiego Grona Komisji z dnia 1 i 17 grudnia 1900 roku, która obradowała nad wydaniem źródeł i zabytkami głównie Lwowa i Przeworska.

Przewodniczący przedstawił rysunki i opis p. Mokłowskiego cerkwi Ławry w Ławrowie, a następnie przedstawił rezultaty badań profesora Abrahama nad rękopisem Gertrudyańskim, znajdującym się w królewskim muzeum w Cividale, i ze swej strony dodał, że kodeks Gertrudyański został opisany i zdeterminowany przez Eitelbergera w jego pracy o Cividale w roku 1859. Uczony ten odnosi go do końca X-go wieku, co się w zupełności zgadza z wywodami profesora Abrahama, które są oparte na pięciu doklejonych do niego miniaturach bizantyńskich. Profesor Sokołowski sądzi, że w zasadniczych zarysach wywody te, tak dla nas interesujące, dają rezultaty niezawodnie pewne, ale że w szczegółach zależne być muszą od zbadania bliższego samego kodeksu. Ten ostatni zajmuje żywo naukę w Niemczech i Towarzystwo naukowe w Trewirze postanowiło go wydać w kolorowych reprodukcjach na podstawie fotografii, wykonanych przez fotografa Vleha w Wiedniu, który je uskutečnił przed laty. Publikacja ta zapewne pojawi się niebawem.



W końcu p. Z. Hendel przedstawił najnowsze gruntowne architektoniczne studia swoje nad zamkiem w Tęczynie, przedstawiające w dokładnych rysunkach rekonstrukcję tej magnackiej rezydencji, opartą na śladach, dotąd dochowanych. Odtworzył jego gotyckie baszty i całą wspaniałą a różnorodną architekturę renesansową z XV-go wieku, pochodzącą widocznie z epoki restauracji, przedsięwziętej w roku 1750 przez Jana Tęczyńskiego, kasztelana wojnickiego. Budowa miała niegdyś piętno właściwe innym naszym, a dotąd dochowanym zabytkom Odrodzenia. Wśród fortyfikacji przedstawiała się jako potężny i pelen malowniczości gmach, który, zdaniem współczesnych, jeden mógł rywalizować z zamkiem królewskim na Wawelu. Nadzwyczaj malowniczo działało zestawienie wielkich dachów głównego budynku z delikatnymi atykami skrzydeł i budowanych w XVI-tym wieku bastyonów. Atyki te tworzył motyw arkadek między pilastrami, nad którymi mieściły się lekkie woluty. Wogóle cały widok zamku, przez p. Hendla opracowany wiernie aż do szczegółów, gdziekolwiek dla braku materiału uzupełniony w duchu polskiego Odrodzenia, daje nam materiał nowy i ważny do historii renesansu w Polsce.

— Z zapomogi Kasy pomocy d-ra Mianowskiego wydał p. Edward Bogusławski: „Metodę i środki poznania czasów przedhistorycznych w przeszłości Słowian“.

— Jako odbitka z „Ateneum“ wyszła rozprawa zmarłego d-ra Maksymiliana Gumpłowicza, wydana z jego teki pozgonnej pod tytułem: „Żywot Balduina Gallusa, biskupa krakowskiego (1066 — 1145)“.

— P. Marian Wawrzeniecki wydał: „Drobne wiadomości o wykopaliskach przedhistorycznych w Królestwie Polskiem“. Jest to osobne odbicie z tomu V, działu I-go Materiałów antropologiczno - archeologicznych i etnograficznych Krakowskiej Akademii Umiejętności.

— „Folklor w Etnologii“, studjum G. I. Gomme'a wyszło w przekładzie z angielskiego pani Aleksandry Bąkowskiej.

— Zeszyt 2 tomu XV-go miesięcznika „Wisła“ (marzec, kwiecień) wyszedł z druku i zawiera między innymi artykuły: Jana Fr. Magiera: „Uwagi nad przyswojeniami w gwarach naszych“; G. Smólskiego: „O Kaszubach nadlabiańskich“; Pawła Sterluga: „Przyczynek do badań nad początkiem kultury silnych“; Witowta: „Kilka przesądów ze wsi Turowa“; Ignacego Radlińskiego: „Apokryfy Judaistyczno-Chrześcijańskie“; Al. Janowskiego: „Tworząca się legenda“; Wł. Semkowicza: „Krakowiaki“.

— „Herbarza Polskiego“ Adama Bonieckiego zeszyt VI tomu III-go zawiera dalszy szereg nazwisk szlacheckich, rozpoczynających się od litery C. Zeszyt rozpoczyna nazwisko Ciepnińskich, a kończy de Constante.

— Pan Tadeusz Wojciechowski opisał: „Kościół katedralny w Krakowie“. Monografia, wydana nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności w ozdobnem *in quarto*, obfituje w pięknie wykonane ilustracje.

— W księgarni Fiszera ukazało się dzieło Wacława Nałkowskiego, pod tytułem: „Ziemia i człowiek, — szkice i studia geograficzne“.

— U Wendego wyszła broszurka G. Korbuta, pod tytułem: „Michał Wiszniewski i spuścizna po nim“.

— Jako wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“, wyszedł przekład dzieła Th. Ribot'a: „Współczesna psychologia niemiecka“, dokonany przez W. M. Kozłowskiego i S. Bartoszewicza. Książkę wydano z zapomogi Kasy d-ra Mianowskiego.

— P. Hipolit Billewicz ogłosił własnym nakładem: „Dumanie o Bogu i przeznaczeniu człowieka“.

— Pierwszy zeszyt nowego kwartalnika: „Ekonomista“, poświęconego nauce i potrzebom życia (styczeń — marzec), bogaty jest w treść zajmującą. Znajdujemy tam między innymi artykuły: „Teorie ekonomiczne i polityka społeczna“ St. Kempnera; „Pieniądz i przewrót cen w Polsce w XVI i XVII wieku“ — przez d-ra A. Szelańskiego; „Stanowisko historyczne w nauce ekonomii“ — przez Jana Steckiego; „Ekonomia socjologiczna“ — przez Bolesława Koskowskiego; „Powszechna emerytura ubogich w Anglii“ — przez Fabistę „Syndykaty przemysłowe“ — przez K. G.; „Nowa ustawa stemplowa“ — przez H. Konicę; „Towarzystwo ubezpieczeń na życie wobec przesilenia pieniężnego“ — przez St. Foka; „Towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze w Danii“ — przez S. Piotrowskiego.

— Nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności wydane zostały dwie rozprawy W. Heinricha: „Krytyczny przegląd dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnymi, — studjum z dziedziny teorii poznania“ i „O stałości wrażenia zaledwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych“.

— Część I-sza „Poradnika dla samouków“, zawierająca matematykę i nauki przyrodnicze, ukazała się w drugim uzupełnionem wydaniu.

— „Wiadomości matematycznych“, wychodzących pod redakcją S. Dicksteina, wyszły zeszyty tomu V-go 1, 2 i 3 (w jednym), i zawierają prace: Wł. Gorczyńskiego: „O stosowalności wzorów dyspersyjnych“; R. Mereckiego: „Pomiar mikrometryczny podwójnej mgławicy“; R. S. Woodwarda: „Postępy matematyki stosowanej w XIX stuleciu“; S. Dicksteina: „Kilka uwag o określeniu prawdopodobieństwa matematycznego“; Z. Czubalskiego: „Zagadnienie z teorii ubezpieczenia renty na wypadek niezdolności do pracy“; B. Niewęglowskiego: „O metodzie skróconej wyciągania pierwiastku kwadratowego z liczb“.

— Seryę przekładów utworów Ruskina pomnożyło studjum nad greckimi mytami o chmurach i burzach, pod tytułem: „Królowa powietrza“. Tłómaczenia z angielskiego oryginału dokonał Wojciech Szukiewicz.

— W dziedzinie poezji mamy do zanotowania jedyny a wytworny przekład arcydzieła Ariosta: „Orland oszalały“. Tłómaczem jest Felicyan. Poeta



odtworzył poeę, a cenny ten nabytek wydała „Biblioteka dzieł wyborowych“ (№ 181). Oryginalnych utworów niewiele przybyło. Wiosnę witają liryzmem „Fiołki“ Lamary i dobrym humorem „Dreyfusiada“, poemat bohaterski w czterech pieśniach przez W. K.

— Do literatury belletrystycznej przybyła Maryana Gawalewicz trzymotowa powieść społeczno-obyczajowa: „Warszawa“, drukowana poprzednio w odcinku „Kuryara Warszawskiego“; H. St. Pytlińskiego: „Koledzy“ i Kazimierza Danilowicza Strzelbickiego: „Póltony“. Wyszły nadto w Krakowie w przekładzie z rosyjskiego, dokonany przez Stanisława Miłkowskiego: „Szkice i opowiadania“ Włodzimierza Korolenko.

— P. Janowski zdaje w dalszym ciągu sprawę ze swoich „Wycieczek po kraju“! p. Waclaw Ciechowski ułożył Przewodnik po Kijowie“ w sporej książce, opatrzonej planem, widokami miasta i rycinami ważniejszych budynków.

— Dr A. Sempołowski, kierownik stacyi doświadczalnej w Sobieszynie, ogłosił: „Wynik prac i doświadczeń“, wykonanych przez rzeczoną stacyę od 1 lipca 1899 roku do 1 lipca 1900 roku.

— Nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności wyszła w Krakowie broszura pod tytułem: „Głos członka Akademii, J. Baudouina de Courtenay, w sprawie słownictwa chemii“.

— Firma Władysława Okręta wydała dwie rozprawy: o sztuce: Augé de Lassusa: „Sztuka w Egipcie“ w przekładzie S. Sempołowskiej i Ludwika Gonse „Sztuka Japońska“ w opracowaniu Stanisława Boufalla.

— W zeszycie V tomu V-go „Encyklopedyi wychowawczej“, który opuścił prasę, znajdujemy dokończenie artykułu Władysława Smoleńskiego: „Historya polska“, oraz artykuły: „Hiszpania“ przez Waldemara Osterloffa; „Hoffman Franciszek“ przez Anielę Szyc; „Hoffmanowa Klementyna“ przez Piotra Chmielowskiego; „Holandya“ przez Waldemara Osterloffa; „Hollak Józef ks.“ przez Feliksa Witkowskiego; „Hreczyna Grzegorz“ przez Samuela Dicksteina; „Hube Karol“ przez tegoż; „Hube Michał“ przez tegoż; „Humanizm i realizm“ przez Stanisława Drzażdżyńskiego; „Humboldt Fryd. Wilh.“ przez Waldemara Osterloffa; „Humor“ przez Bronisława Chlebowskiego; „Hygiena“ przez d-ra Henryka Nussbauma (początek).

— Poemat Andrzeja Niemojewskiego: „Bajka“, doczekał się drugiego wydania.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

**Michał książę Radziwill.**